



Noémi Szécsi
Ugrofińska wampiryzma

UROPEJSKI

Noemi Szecsi

Ugrofińska wampirzyca

Tytuł oryginału węgierskiego FINNUGOR VAMPIR

Krwawa bajka na sześćcioro bohaterów, pięć głosów i dwoje aktorów

Słowo wstępu do czytelnika

Po trudnościach związanych z wydaniem moich wielce mądrych i pouczających bajek o zwierzętach gotowa byłam zaprzedać duszę, byle tylko ktoś opublikował moje dzieło.

Dziś nie mam już duszy, umarłam wiosną zeszłego roku, od tamtej pory, podobnie jak moja babka, żywię się ludzką krwią.

Uznałam jednak, że jeśli napiszę bajkę o własnej śmierci, być może wywoła ona pewne zainteresowanie.

Jeśli chodzi o moją wiarygodność, nie należy mieć żadnych wątpliwości, gdyż od początku do końca kłamię. Jak twierdzą niektórzy, jedynym sposobem wyrażenia prawdy są kłamstwa. Ja jednak sądzę, że rzeczywistość jest w sumie nieciekawa.

I mimo wszystko ta bajka jest historią prawdziwą.

Z poważaniem

Jerne V.A

Część pierwsza

I.

Właściwie mogłabym powiedzieć, że moja babka jest kosmopolitką, bywała bowiem w różnych stronach świata i w każdym kraju od razu czuła się jak u siebie. Ale czy kogoś, kto ma kubek do mycia zębów z napisem "Okrojone Węgry to nie kraj, Wielkie Węgry to raj", można nazwać obywatelem świata? A babka taki właśnie posiada. Używa go do płukania zakrwawionych ust, kiedy przychodzi do domu bladym świtem, po udanej nocy. Czasami budzę się, słysząc, jak gulgoce.

Tak zdarzyło się i tego poranka. Jeszcze w negliżu dowlokłam się do łazienki. Było piętnaście po piątej. Babka akurat rozpakowywała swe piękne kształty z przybranej specjalnie na tę okazję doskonałości. Bo wciąż jest piękna, niczym świeżo odrestaurowana porcelanowa lalka. Jedwabna mała czarna sfrunęła z jej szczupłego ciała, ale babka nawet bez tego błyszczała, natomiast ja beznadziejnie sterczałam obok w rozciągniętej bawełnianej piżamie, którą wkładałam tylko dlatego, że jesienne noce były już chłodne, a sezon grzewczy jeszcze się nie zaczął.

- Późno wróciłaś, babciu - zauważyłam.

- A, tak. O mały włos nie pękłam. Ten dzisiejszy facet to była totalna porażka. Musiałam użyć wszelkich odcieni mowy ciała, żeby zrozumiał, o co mi chodzi. Mieszkał gdzieś na przedmieściu; gdy skończyłam, godzinę musiałam czekać na taksówkę. Patrzyłam, jak się wykrwawia. A zaraz potem wyzionął ducha.

- Oszczędź mi szczegółów. - Czasami na samą myśl okrwii robi mi się słabo. Mdli mnie. Oczyma duszy widzę otwarte rany, niemal czuję, jak sączy się ze mnie krew.

Opadam z sił.

- Teraz się krzywisz, ale i ty pokochasz kiedyś ten smak.

- Mam nadzieję, babciu.

Być może brzmi to dziwnie, że ktoś taki jak ja beczelnie nazywa ową femme /atak"babcią", ale po pierwsze, nasze pokrewieństwo jest faktem, a po drugie, babka nosiła już ponad trzydzieści trzy różne imiona i do żadnego z nich nie jest szczególnie przywiązana, natomiast jej

„babcierzyństwo” jest czymś niekwestionowanym. A tak ciągle by mi się myliło, czy aktualnie nazywa się Lilith, Lamia, a może Empusa.

- Popatrz na mnie. Prawda, że dobrze wyglądam? - Babka zbliżyła swą twarz do mojej. Jej wargi wciąż jeszcze były wilgotne i nabrzmiące. - A wszystko dzięki systematycznemu spożywaniu świeżej krwi. Pełno w niej żelaza i soli mineralnych.

- A teraz spójrz na siebie - kontynuowała. - Włosy masz oklapnięte i matowe, szczupłość też ci nie pasuje, nos tylko bardziej wystaje ci z twarzy.

Odwrociłam głowę, ponieważ widok zakrwawionych ust przyprawiał mnie o mdłości, ale babka uchwyciła mój wzrok i głęboko spojrzała mi w oczy.

- Musisz wyssać im krew, zanim oni zaczną wysysać twoją.

Bardzo się przestraszyłam, potem jednak poszłam zrobić sobie kakao. Kogo mam rozumieć pod ogólną kategorią "oni" - zastanawiałam się, wsypując do kubka cukier i czekoladowy proszek. Piję takie rzeczy, bo jeszcze żyję.

Babka już od ponad dwustu lat jest żywym trupem i w jej ustach wszystko ma nijaki smak trocin, z wyjątkiem ludzkiej krwi, bo ta jest oczywiście aromatyczna.

Z kubkiem w ręku usiadłam na niepościelonym łóżku. Z okna pokoiku na poddaszu moim oczom ukazał się widok nagich drzew, skąpanych w świetle wschodzącego słońca. Dzielnica Varosliget przywodzi na myśl najświetniejsze czasy narodu. W 1896 roku Węgrzy świętowali to, że - według pewnych opinii - ich przodkowie tysiąc lat temu przybyli na swe obecne terytorium (historycy do dziś nie są zgodni co do dnia i godziny).

A potem fecerunt magnum dldomds, jak głosi kronika Galla Anonima, czyli mówiąc współczesnym językiem, zaczęli imprezę. A może to nie wtedy? Zawsze miałam problemy z historią Węgier, ale gdy byłam mała, fascynowała mnie opowieść o tym, jak siedmiu wodzów wlewa swoją krew do kielicha i wznosi toast za przymierze. W okresie intensywnego poszukiwania własnej tożsamości znalazłam usprawiedliwienie w fakcie, że w tym kraju działalność mojej rodziny nie powstaje bez antecedencji. Nic nie może rozwinąć się tak bardzo, nie mając jakichkolwiek tradycji.

A tutaj zawsze coś się świętuje. Klimat panuje doskonały. W zimie jest zimno, w lecie gorąco. Jesienią pada deszcz, a wiosną pogoda jest kapryśna. Kiedyś bardzo poważnie nad tym myślałam i moim zdaniem Węgom brakuje jedynie morza; wówczas - dzięki wczasowiczom - rozkręciłaby się gospodarka narodowa, spadłyby ceny ośmiornic, a węgierscy żeglarze zajmowałiby czołowe miejsca w międzynarodowych regatach. Ale z kolei denerwujące byłoby, gdyby figowce obradzały bez umiaru, dwa razy w roku.

Mimo iż ludy ugrofińskie, znalazłszy się pod naciskiem agresywnych hord słowiańskich i germańskich, nie wykazały się nadzwyczajną wojowniczością, Węgry są jednym z najatrakcyjniejszych miejsc tego regionu. Rośnie tu pszenica o wysokiej zawartości

glutenu, bogate w cukier owoce, po stepach pędzą stada koni, a na bajkowej puszczy pasą się okazałe węgierskie świny i krowy. Wprawdzie nigdy ich nie widziałam, ale to może dlatego, że wcale mnie nie interesują. W każdym razie rolnictwu stanowczo sprzyjają klimat oraz żyzna ziemia.

Babka jeszcze w okresie obchodów milenijnych mieszkała w tej dzielnicy, a lokal rozrywkowy o nazwie Pra-

- Zamek Budański przypomina jej wiele niezapomnianych krwawych nocy. Dlatego kiedy powróciła na Węgry, w czasach którejs z klęsk narodowych - nie pamiętam której - była skłonna osiedlić się tylko i wyłącznie przy jednej z uliczek otaczających Városliget. Nad wyborem miasta nie musiała się zastanawiać: w tym kraju nie warto mieszkać nigdzie indziej, tylko w stolicy, w Budapeszcie.

Właściwie nie rozumiem, co pozostałe osiem milionów Węgrów robi na prowincji. Ja nigdy bowiem nie przekroczyłam granic administracyjnych Budapesztu, co najwyżej docierałam do lotniska, ale wyobrażam sobie, że ludzie z prowincji męczą się w swym bagnie i marzą, że pewnego pięknego dnia i oni będą mogli przenieść się do węgierskiej metropolii.

Tak więc, w przeciwieństwie do tego, co głoszą popularne legendy o wampirach, nie mieszkamy w ruinach zamku. W dzisiejszych czasach wampiry są zwolennikami praktycznych rozwiązań - kto by chciał wydawać majątek na wodę, gaz i prąd? Kamienica, na której poddaszu mamy dwupokojowe wygodne mieszkanie, dzięki staraniom i znajomościom naszego administratora jest w doskonałym stanie. Nie sypią się tynki, na ścianach nie ma pleśni, a balkonów nie trzeba niczym podpierać. Mimo to po klatce schodowej biegają całe stada szczurów. Nic dziwnego. Babka dokarmia je systematycznie, ponieważ - jak twierdzi - stanowią one integralny element jej imidżu.

Praktycznie są wszystkożerne, babka jednak rozpieszcza je odżywkami i karmą dla zwierząt domowych. Sterylność, wynikająca ze zbytnej gorliwości dozorca, starałyśmy się zniwelować także innymi środkami. Pewnego lata zdrapałyśmy tynk z prowadzącego do naszego mieszkania korytarza i polewałyśmy ściany odstaną wodą, dopóki nie nabrały intensywnego zapachu stęchlizny. Co więcej, babka domagała się, abyśmy wydłubały w ścianach kilka dziur po kulach. W Budapeszcie można kupić mieszkanie w takim stanie bez problemu, ale nie w dzielnicy, która nas interesowała. Dzięki temu dane nam było odczuć satysfakcję z własnoręcznie wykonanej pracy.

2.

Na zewnątrz zaczynało świtać. Nie był to żaden szczególny dzień, muszę jednak wyznaczyć jakiś punkt, niczym wystający ze ściany gwóźdź, o który zaczepię początek tej

opowieści, a akurat ów dzień wydał mi się do odpowiedni. Wtedy właśnie wyruszyłam po wiedzę i doświadczenie, co jest dziwaczną tęsknotą każdego typowego przedstawiciela rodzaju ludzkiego.

Przez jakiś czas mieszałam łyżeczką w kubku, po czym duszkiem wypiłam resztę kakao i postanowiłam dotrzymać towarzystwa babce. Leżała już w trumnie, ale jeszcze nie zamknęła za sobą wieka. Lamentowała.

- Znów muszę wstąpić, jeszcze przed zamknięciem giełdy. Dawniej, gdy podawałam się za wdowę, mogłam sobie żyć beztrudnie. Wiesz, byłam po prostu wesołą wdówką. - Zanuciła kilka taktów: - Wiener B/ut, wiener B/ut... Nikogo nie obchodziło, z czego żyję, dokąd chodzę. A teraz? W nocy żyję, w dzień pracuję.

- Nie złość się. Masz przecież coś, co cię regeneruje.

- To prawda - przyznała babka, układając się wygodnie. - A jednak czasami czuję, że nie nadążam. Nienawidzę tej kobiecej emancypacji.

- To nic przyjemnego.

- Jeśli o mnie chodzi, to ok, ja się nie starzeję, ale reszta śmiertelniczek kiedyś na tym ucierpi.

- Albo i nie.

- No dobrze, dajmy spokój. Zajmij się swoimi sprawami, Jerne - powiedziała i zatrasnęła wieko trumny.

A ja wykonałam wszystkie poranne czynności i zaraz potem wyszłam do pracy.

Muszę pracować, ponieważ każdemu wampirowi potrzebne jest jakieś alibi, przykrywka dla rzeczywistej działalności. Biedna babka też haruje, choć pieniędzy mamy mnóstwo i wcale nie musiałyby zarabiać. Jednakże taka aktywność, po pierwsze, służy zmyleniu organów urzędowych, a po drugie, umożliwia nawiązywanie kontaktów społecznych, niezbędnych, gdy szuka się kolejnych ofiar.

Babka dla zachowania pozorów inwestuje na giełdzie niewielkie sumki. Nie jest to dla niej nic nowego, ponieważ jako bogata spadkobierczyni lub wdowa zawsze obracała się w kręgach finansowoekonomicznych. Ma zresztą do giełdy smykałkę. Ale kiedy nadeszła chwila, w której to ja miałam zdecydować o wyborze zawodu, czyli alibi, moja babka i prawowita opiekunka uznała, że biznes i świat pieniędzy nie pasują do mojej wrażliwej duszy. Raczej sztuka, jeżeli już koniecznie muszę coś robić.

Aktorstwo od razu odrzuciłyśmy - znalazłabym się w świetle reflektorów, a mój wampiryzm zbyt rzuciłby się w oczy. Choć uwielbiałam obrazy i sama też malowałam uroczyste scenki, okazało się, że moje wyczucie koloru i formy absolutnie nie predestynuje mnie

do uprawiania żadnej z licznych sztuk pięknych lub rzemiosła artystycznego. Wyszło też na jaw, że szpiczaste i duże wampirze uszy oraz zamiłowanie do śpiewu nie zastąpią słuchu muzycznego. Wybór padł zatem na dziedzinę z pogranicza sztuki i nauki, a mianowicie: literaturę. Świetna decyzja, szczególnie jeśli zainteresowana osoba nie musi przejmować się zarabianiem na chleb. To nie żadna ironia. Wcale nie chciałabym pracować, żeby móc przeżyć. Praca jest po to, aby sprawiać wrażenie, że z niej żyję. Muszę jej poświęcać niezwykle dużo czasu i zajmować się najróżniejszymi rzeczami. Nie jest to bynajmniej trudne. Pisać każdy może. Nawet ja.

Piszę bajki, ponieważ bajki są proste, a ich język zrozumiały - staram się jednak nie pisać zbyt dobrze. W żadnym razie nie chciałabym zwrócić na siebie uwagi. Tylko po to piszę bajki, żeby kiedy ktoś mnie zapyta: - A ty czym się zajmujesz? - móc odpowiedzieć: - Piszę bajki o Inicjatywie, chełpliwym, ale tchórzliwym króliku.

- Można z tego wyżyć? - Węgrów głównie to interesuje.

- Nie - odpowiadam uspokajająco, ponieważ fakt, że komuś się powodzi, jest bardzo podejrzany (szczególnie pisarzowi, czyli pasożytowi!). Następnie dodaję:

- Pracuję jeszcze w wydawnictwie.

Tak, tak. Już drugi dzień przepracowałam w wydawnictwie Elektra i Ska. Byłam jedynym pracownikiem, a kierownictwo składało się z dwóch osób: z Elektry i jej współnika.

Pracę zdobyłam, dając ogłoszenie następującej treści: Świeżo po studiach, bez doświadczenia, szuka pracy bez wyzwań i odpowiedzialności, za skromną pensję. Nadeszły dwie oferty i na chwilę ogarnęła mnie kompletna niemoc decyzyjna. Nie byłam bowiem w stanie wybrać między tłumaczeniem romansów a poprawianiem błędów ortograficznych w horoskopach. W końcu doszłam do wniosku, że ezoteryka jest dla mnie mniej odpychająca. W romansach nie przeszkadza mi, że czytają je wyłącznie kobiety - i dlatego dzieła te nie mogą być niczym sensownym - ale to, że książki te zawierają zdania, od których natychmiast dostaję czkawki. Obawiałam się, że obcując zbyt długo z tekstami tego typu, sama zacznę się podobnie wysławiać, na przykład: „Kocham cię, ponieważ potrafisz wywołać uśmiech na mej smutnej twarzy”.

„To przez ciebie te łzy. Łamiesz mi serce”. Jednocześnie powieści te mrożą krew w żyłach swą dosłownością: kiedy zaczyna działać tajemnicza chemia, bohaterowie naprawdę gadają straszne głupoty.

Zależało mi na pracy, która nie wymagałaby ode mnie myślenia, ponieważ swój potencjał umysłowy zarezerwowałam dla świata bajek. Poza tym wydawnictwo - które zajmowało się głównie niezwykle ostatnio popularną psychologią i okultyzmem - mieściło się

niedaleko naszego domu i wyobraziłam sobie, jak miło będzie zaczynać dzień od orzeźwiającego spaceru.

„Mój partner”. Tak, z niewinnym uśmiechem na twarzy, mówiła o swym współniku NormaElektra, szefowa wydawnictwa. Najwyraźniej to ona pilnowała wszystkiego. Była kobietą, którą widzi się trzy razy, rozmawia z nią godzinami, a za czwartym razem nie poznaje się jej na ulicy. Co wiem z doświadczenia, ponieważ to właśnie przydarzyło mi się pewnego poranka. W ten sposób dowiedziałam się również, że NormaElektra potrafi karcnąć wzrokiem. I to by było tyle, tytułem wstępu, na jej temat.

NormaElektra właśnie wyruszała, żeby zdobyć prawa autorskie do książki o samouzdrawianiu, znajdującej się na szczycie nowojorskiej listy bestsellerów, kiedy w drzwiach trzypokojowego mieszkania, w którym mieściło się wydawnictwo, stanął umiarkowanie przyjemny, niezbyt przystojny mężczyzna. Przywitani się obojętnym małżeńskim całusem, ona wyszła, on zwrócił się w moją stronę.

- Więc to ty jesteś Jerne. Tak masz na imię, prawda?

Ja jestem jermak.

Przedstawiłam się, choć nie lubię takiego bezceremonialnego spoufalania się, szczególnie przy pierwszym spotkaniu.

- No i jak ci się podoba nowa praca?

- W porządku.” jest ciekawa.

- Czyżby misja kulturalna nie napawała cię entuzjazmem?

- Ależ tak, bardzo się cieszę, że mogę tu pracować.

Patrząc nad jego ramieniem, śledziłam tytuły książek na półce. A on analizował zakres moich obowiązków.

-... kawy nie musisz robić. ‘

- Jakie to uspokajające. I tak nie potrafię.

- A teraz moglibyśmy resztę twoich zadań przedyskutować przy piwie.

- Nie piję piwa.

- Możesz się napić czegoś innego.

- Czegoś innego też nie piję - odpowiedziałam zimno i mitygująco, uśmiechem próbując załagodzić swój niegrzeczny ton.

- Nie to nie. - Jermak flegmatycznie poczłapał w stronę swojego biurka. W połowie drogi odwrócił się i dodał: - W takim razie bierz się do roboty!

3.

Załamana nadzwyczajną długością dnia pracy, wlokłam się do domu

wybetonowanymi ścieżkami parku.

Od czasu do czasu podnosiłam głowę, żeby - zauważywszy naprzeciw jakiegoś starego znajomego - móc w porę umknąć. Przekraczając próg domu, pomyślałam, że właśnie ostatecznie straciłam szansę na to, żeby coś się jeszcze dzisiaj wydarzyło. Kontrolnie spojrzałam na skrzynkę pocztową.

Moje nazwisko składa się z nazwisk dwóch fizyków
(włoskiego i francuskiego), mających związek z prądem.

Zawdzięczam to pomysłowości babki - żeby wszyscy znajomi mieli o co wypytywać. Staram się unikać sytuacji, w których musiałabym się oficjalnie przedstawiać, na skrzynce pocztowej wypisane mam tylko inicjały nazwisk, Jerne w zupełności wystarcza, żeby listonosz się nie pomylił. Otworzyłam skrzynkę i pod nogi poleciała mi podłużna koperta ze znaczkiem POLSKA. Po bliższych oględzinach stwierdziłam, że jest to list, który dwa tygodnie temu wysłałam do Edwarda Leszczyckiego, znajomego z Polski. Adresat nieznany, zwrot do nadawcy.

Otworzyłam kopertę i idąc po schodach, przeczytałam własny list. Oto, co napisałam do Edwarda Leszczyckiego czternaście dni temu, o drugiej w nocy, w Budapeszcie:

Drogi Edwardzie!

Być może pamiętasz, że kiedy wyjeżdżałeś, powiedziałam, że ja zostaję, i wyśmiałam Cię, że wracasz do Europy Wschodniej. Wyobraź sobie, że ja też wróciłam! Z tą różnicą, że znajduję się w Europie Środkowo - Wschodniej. Ale myślę, że obojgu nam jest tak samo dobrze.

Nie potrafiłam oprzeć się prośbom i zachętom babki.

Przyjechała do mnie i poświęciła wiele dni, żeby mnie przekonać. Ciągłe opowiadała, jakie ekscytujące rzeczy mogą się człowiekowi przydarzyć tutaj, na Węgrzech. Miała rację.

Po długiej nieobecności już dwa miesiące mieszkam na Węgrzech i mogę stwierdzić, że nigdzie indziej życie nie jest tak interesujące.

Pomyślałam o tobie, gdyż przypomniła mi się nasza rozmowa na temat urzędników. Długo zastanawialiśmy się, do kogo możemy ich porównać. Zgodziliśmy się bowiem od razu, że jeśli wymyślimy, do jakich znanych nam stworzeń są podobni, łatwiej będzie nam pojąć, jak mamy z nimi postępować, pozbawimy ich niedostępności i mistycyzmu.

Upierałam się, że mi jednak najbardziej przypominają ludzi, a dokładniej autystyków. Nie chciałam obrażać autystyków, było to jedynie skojarzenie z jakimś tekstem, z którego dowiedziałam się, że wszystko, co odbiega od porządku, do którego autystycy są przyzwyczajeni, wyprowadza ich z równowagi. Na to ty odpowiedziałeś, żebyśmy dali spokój

autystkom, ponieważ niektórzy z nich są niesamowicie inteligentni, a z urzędnikami można odnieść największy sukces, traktując ich jak niepełnosprawnych umysłowo.

Wybacz, że nudzę Cię wspomnianiem naszej rozmowy, ale musiałam to napisać. Myślę, Edwardzie, że oboje mieliśmy rację. wypracowana przez nas wówczas teoria pomaga mi niezmiernie w życiu codziennym.

Poza tym jest mi tu bardzo dobrze. Wiele się u mnie dzieje. Dziś na przykład byłam na rozmowie kwalifikacyjnej w pewnym wydawnictwie. Wygląda na to, że będę w nim pracować jako korektorka. Będę odpowiedzialna za gramatykę i ortografię, co jest o tyle śmieszne, że choć do czternastego roku życia sporo mówiłam po węgiersku, nie mam o nim jednak zbyt wielkiego pojęcia.

Redaktor naczelna nazywa się NormaElektra, poważnie. Okrucieństwo nadających imiona rodziców bywa niepojęte: nosić jednocześnie imiona dwóch bohaterów tragicznych to lekka przesada. Może dlatego nigdy się nie uśmiecha.

Ale obiecała mi, że wydawnictwo zainteresuje się twórczością młodych pisarzy, i być może wyda moje bajki, pod warunkiem, że będą na "odpowiednim poziomie": Na to mogą liczyć najbliżsi współpracownicy.

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. Pamiętasz jeszcze o Zimowym Lesie? Podaj mi swój dokładny adres!

Z przyjacielskimi pozdrowieniami, J VoltaAmpere No tak. Wciąż potrafiłam formułować po angielsku okrągłe, proste zdania. Zmiałam kartkę i wyrzuciłam ją do kosza.

Zimowy Las. Tam spędziłam swe najbardziej chłonne lata i świadomie dążyłam do osiągnięcia doskonałości w zawodzie, który miał być przykrywką dla mojej wampirycznej działalności, ale też miał dawać satysfakcję zarówno mnie, jak i mojemu otoczeniu: w bajkopisarstwie. Zimowy Las - Winterwood - mały, nieznan

„college” w pewnym miasteczku na południu Anglii, do którego wysłała mnie babka. Doszły ją bowiem słuchy, że uczą w nim kolejne wcielenia sióstr Bronte, co dla mnie, przyszłej bajkopisarki. mogło być odpowiednie. Muszę przyznać, że babka - jak przystało na rozsądnego opiekuna - zawsze gotowa była poruszyć niebo i ziemię, żeby w przyszłości był ze mnie wykształcony trup.

A czy mogło być bardziej idealne miejsce niż Anglia?

Ile doświadczeń! Na przykład dzięki międzynarodowemu towarzystwu w szkole nauczyłam się kląć po francusku od tamtej pory w ten właśnie daję upust napięciu wywołanemu stresami, nie lubię bowiem otwartej wulgarności.

Czasami mówię więc: sterta lakan, albo: worek derida, ale kiedy powiedzmy, bosą

stopą uderzę o kant mebla, krzyczę: fuko! Bez końca mogłabym wymieniać zdobyte tam umiejętności praktyczne, ale naturalnie w szkole starałam się również przyswajać wiedzę teoretyczną.

Na ogół po lekcjach całymi dniami przesiadywałam w bibliotece, w weekendy natomiast, rozłożona na łóżku, chłonełam monologi szczurów wodnych i kretów, przechwałki ropuch, bohaterskie czyny śmiałych myszy domowych, słowne potyczki figur szachowych, przygody rudych awanturników, tragiczne losy sierot, mistyczne opowieści koboldów i skrzatów, no i tyle tam było różnych szlachetnych królików... W rezultacie tytuł mojej pracy dyplomowej brzmiał: *Obraz królika w brytyjskiej literaturze dziecięcej, ze szczególnym uwzględnieniem epoki wiktoriańskiej i edwardiańskiej (The Manifestation of Rabbit in British Childrens Literature with Special Reference to the Victoria and Edwardian Era)*. Była w niej mowa między innymi o królikach Beatrix Potter, Lewisa Carrolla i A. A. Milne' a, ale również o całej masie bezimiennych postaci, wspomnianych przez autorów jedynie jako powiedzmy -"starszy królik" (elder rabbit).

Pani promotor od początku była nastawiona do tego tematu negatywnie. Przede wszystkim zaraz na wstępie wytknęła mi, że słynne dzieło Milne' a ukazało się w roku 1926, a zatem występująca w nim postać autorytarnego Królika nie należy do epoki edwardiańskiej, lecz co najwyżej do czasów georgiańskich. Była specjalistką od niedźwiedzi, w związku z tym od razu doradziła mi pisanie o tym brązowym, futrzastym ssaku, mówiąc, że jeśli chodzi o mit niedźwiedzia, powinnam dysponować osobistymi doświadczeniami, czytała gdzieś bowiem, że u ludów ugrofińskich istnieje zwyczaj zwany "niedźwiedzią uczcią". Ja jednak nie mam tego typu wspomnień, ponieważ na Węgry, gdzie spędziłam znaczną część swego dzieciństwa, żaden misiek z własnej nieprzymuszonej woli nie zagląda, nie mówiąc o tym, że na samą myśl o - ściśle związanym z tym tematem - zdecydowanie stukniętym Kubusiu Puchatku chce mi się rzygać.

Króliki są głupimi, śmierdzącymi i rozpustnymi zwierzętami, w bajkach wyposaża się je w najróżniejsze ludzkie przywary, i tak stają przed nami postaci z krwi i kości, a nie nafaszerowani kulami idioci. Chciałabym, żeby wreszcie wszyscy zobaczyli, że króliki są tak samo odważne i żądne przygód, jak pospolite gryzonie domowe, lecz osobowość mają dużo bardziej skomplikowaną. Nie przeczę, że myszy, ze względu na rozmiary, już od razu są w korzystniejszej sytuacji, ale nie wolno nam lekceważyć króliczych predyspozycji fizycznych, które są niezwykle przydatne w kształtowaniu charakteru.

Sama również opieram ideę swych dzieł na tych właśnie cechach.

A więc Edward Leszczycki wyprowadził się. Trudno.

I tak nigdy nie odpisywał.

Część druga

4.

Czwartego dnia całkiem przyzwyczałam się do nowego miejsca. Właściwie z radością spędzałam jedną trzecią swoich dni w tym ciemnym i wąskim, ale za to całkiem nieźle ogrzewanym pokoju. Praca stanowiła dla mnie dokładnie takie wyzwanie, jakiego oczekiwałam od życia. A czyj? Koniugacja przedmiotowa czy podmiotowa? Razem czy osobno? Przecinek, średnik czy dwukropek? Takie kwestie wypełniały moje uniwersum, i czułam prawdziwą rozkosz, kiedy po półgodzinnych poszukiwaniach mimo słabnącej koncentracji moim oczom ukazywał się czyhający pikantny błąd lub literówka. Czasami nawet, w trakcie poskramiania oszalałych tekstów, miałam możliwość układania żywych dialogów do moich bajek o zwierzętach.

Dobrze pamiętam, jak w pierwszym tygodniu pracy, w czwartek, NormaElektra zapukała do szklanych drzwi mojego pokoju.

- Jerne, jakiś młody człowiek do Ciebie. Mówi, że jest przyjacielem z dzieciństwa.

Zastanawiałam się, kto mógłby się tak przedstawić, ale wtedy do pokoju wtargnął Sami, wraz z towarzyszącym mu zawsze słodkawym zapachem. Tak. Między szóstym a czternastym rokiem naszego życia system szkolnictwa razem kształtował nas na takich, jakimi jesteśmy teraz. Ostatnio słyszałam o Samim kilka lat temu - dowiedziałam się wówczas, że jest liderem zespołu Coitus Interruptus.

- Cześć, Jerke! - przywitał;unie zszerokim uśmiechem.

Nie gniewałam się za koleżeńskie zdrobnienie mojego imienia, brzmieniem przypominające dźwięki wydawane przez młode kozy i owce, ale było to już trochę nudne.

Z podniesionymi ze zdziwienia brwiami zapytałam, czego tu szuka. Wypalił od razu.

- Niedawno w nocy na postoju taksówek spotkałem twoją matkę. Przywitałem się grzecznie, na co ona spojrzała na mnie tak, jakby chciała mi odgryźć głowę. Wtedy zauważyłem, że stała tam z jakimś dwadzieścia pięć lat młodszym facetem, mniej więcej w naszym wieku, i zatkało mnie. Nie przeczę, twoja matka nieźle się jeszcze trzyma, twarz i figurę ma wciąż taką jak wtedy, kiedy razem bawiliśmy się w piaskownicy, ty i ja. Jak ona to robi?

Lifting? Odsysanie?

- Pije ludzką krew.

- Cha, cha... Dobry żart. No, więc powiedziała mi, że tutaj pracujesz, w jakimś wydawnictwie, które wydaje książki o samo uzdrawianiu. Nie znała nazwy, tylko ulicę, gdzie co rano chodzisz do pracy.

- A ty akurat tędy przechodziłeś?

- Zgadłś. Akurat przechodziłem, spacerowałem sobie spokojnie, oglądałem wystawy...

- Mamy tu wszystko, sklep z nasionami i naprawę parasoli.

- Tak, i wtedy nagle zauważyłem w bramie ten miedziany szyld: Wydawnictwo Elektra i Ska. Pomyślałem, że wpadnę. Jestem już bardzo zepsuty, przydałoby mi się kilka kilo uzdrawiających duszę książek. A co u ciebie? Co robisz całymi dniami w tej norze?

- Czytam.

- To fajnie. Twoja matka wspomniała też, że piszesz.

W tym świetle wydawałam się rzeczywiście wszechstronna.

- To prawda.

- A co piszesz?

- Bajki o zwierzętach.

- To też musi być fajne. Ja jestem raczej typem lirycznym. Wiesz, to ja piszę teksty piosenek dla zespołu.

Wszystkie odpowiadają kryteriom gatunku.

- Naturalnie.

- Przeczytaj mi którąś ze swoich bajek, tak dla stylu.

Latami żadnego telefonu, żadnego listu, a teraz, ot tak, chce po prostu poznać moje bajki. Nie miałam na to najmniejszej ochoty, choćby dlatego, że dobrze pamiętałam zakończony rękoczynem incydent sprzed lat, wynikły z faktu, że ośmieliłam się wygłosić krytyczną uwagę na temat nieśmiertelnego bohatera bajki SaintExupery'ego.

Z okrzykiem: "Jak śmiesz wyzywać Małego Księcia!",

Sami rzucił się na mnie, choć wyrwało mi się tylko, że wyżej wspomniany jest zwykłym wymoczkim. W każdym razie, moim zdaniem, jest rzeczą anormalną, kiedy trzydziestokilkuletni mężczyzna wyobraża sobie, że jest Małym Księciem. (Mam na myśli autora).

- No, czytaj! - zachęcał mnie Sami.

- Zanim lekkomyślnie zaczniemy, pozwól, że zapytam, co myślisz o Kreciku?

- Jakim Kreciku?

- O Kreciku z bajki, tym, który tak strasznie chce mieć ogrodniczki z kieszeniami.

- Fajny facet.

To przynajmniej brzmiało uspokajająco. Zwierzęcy bohaterowie sypiący sentencjami przyprawiają mnie o mdłości. Nawet ten wyliniały lis, który mówi: "Oswoiłeś mnie i teraz jesteś za mnie odpowiedzialny", czy coś w tym stylu - bez namysłu przyłożyłabym mu w łeb. Krecik przynajmniej siedzi cicho albo wydaje z siebie nieartykułowane dźwięki. Jest wprawdzie trochę głupkowaty, ale chyba raczej wynika to ze zwierzęcego niedoświadczenia. Natomiast znanego u Anglosasów Kreta z książki Kennetha Grahame'a cechuje ludzka naiwność.

- To jest królik. To znaczy moje zwierzątko. Królik.

- On jest głównym bohaterem?

- Tak. Nazywa się Inicjatyw.

- Co jest, skończyłaś anglistykę? Nie cierpię, kiedy tak wyskakujesz ze swoją znajomością języka. Dlaczego nie ma normalnego węgierskiego imienia?

- Kiedy wy zaczniecie się nazywać Stosunek Przerwany, to dam mu na imię Przedsięwzięcie, nie wcześniej.

- Dobrze już, nie musisz się od razu obrażać. Masz rację, w końcu tak jest bardziej tajemniczo. Jeśli chodzi o dzieci, to królikową panienkę spokojnie moglibyśmy nazwać Nekrofilią.

- KraftaEbanga i Havelocka Ellisa masz pewnie w małym palcu?

- Kogo?

- Nieważne. No więc moimi bohaterami są dzikie i wolne zwierzęta, które żyją zgodnie ze swoją nieokiełznaną naturą.

- I pieprzą się?

- Ej, Sami, to jest bajka dla dzieci!

- Przepraszam, pomyślałem o tej nieokiełznannej naturze.

- Pomówmy o czymś innym...

- A co z bajką?!

Jermak zajrzał przez szklane drzwi, potem zapukał.

- Jerne? Co z tekstem, który dałem ci trzy godziny temu?

Oczywista aluzja dotarła też do Samiego.

- To ja już pójdę. Fajnie było nareszcie porozmawiać z kimś o czymś sensownym. Mogłabyś kiedyś wpaść i posłuchać, jak gramy. Zadzwoń, dobrze? Jak będę wiedział dokładniej, gdzie i kiedy występujemy.

- Jerne, pamiętasz, że jesteś w pracy? - dobiegł z zewnątrz głos jermaka.

- Co to za dupek?

- I Ska.

- To dlatego tak się czepia. Mam nadzieję, że ta Elektra pokazujemy, gdzie jego miejsce.

- Jak czasem.

- Słuchaj, a może miałabyś ochotę gdzieś wyskoczyć dziś wieczorem? Moglibyśmy pogadać o starych dobrych czasach.

- No dobrze. O której?

- O siódmej. Na placu, przy drabinkach.

5.

Jak już wspomniałam, były to czasy, kiedy jeszcze żyłam i delectowałam się smakami. W związku z tym często jadałam. Robiłam to ze względu na smaki, bo kiedy byłam naprawdę głodna, to po prostu żarłam. O tym, że babcia, tak jak inne archetypiczne babcie, będzie czekać na mnie z kolacją, kiedy zmęczona wrócę do domu, mogłam tylko pomarzyć. Tak więc, kiedy nachodziła mnie ochota, musiałam działać sama.

Po męczącym dniu pracy kroїłam pomidora, babcia siedziała koło mnie i malowała sobie paznokcie u nóg. Czasami wyczuwałam w niej jakieś towarzyskie uzależnienie, stale mnie szukała i chciała rozmawiać.

- Śnił mi się Mór Jókai - nagle westchnęła ciężko. - Nie mogę go zapomnieć. Mija sto, sto pięćdziesiąt lat, a ja wciąż go pamiętam.

Nie miałam naj mniejszego zamiaru pytać, co dokładnie jej się śniło - znałam to na pamięć. Babka z mniejszą lub większą częstotliwością śniła o Mórze jókaim, węgierskim powieściopisarzu z drugiej połowy siedemnastego wieku, nazywanym również wielkim bajarzem, gdyż dzięki swej ogromnej wyobraźni seryjnie produkował zawile romanse. Kontynuowałam krojenie.

- Wiesz, co mi się śniło?

- Wiem - odpowiedziałam, ale od razu zauważyłam, że ta szczerść mnie zgubi.

- Skąd mogłabyś wiedzieć? Opowiem ci. Stał w czarnym atłasowym surducie, a jego fiołkowe oczy śmiały się do mnie. Zbliżałam się do niego, przywoływał mnie wzrokiem. Szłam coraz szybciej, żeby jak naj prędyzej przytulić go do siebie i wbić zęby w białą skórę jego szyi. I wtedy naturalnie wszystko się rozplynęło, i obudziłam się.

Szkoda byłoby, gdyby ten interesujący sen mnie ominął. Wiedziałam, że teraz kolej na Rózę Laborfalvi.

- Ta nieznośna Laborfalvi! Nigdy nikomu nie pozwoliła się do niego zbliżyć. To

znaczy żadnej kobiecie kontynuowała babka.

Nawet babce.

- Nawet mnie.

Bo była zazdrosna.

- Bo była zazdrosna. W porównaniu z Mórem była starą kobietą. A ja, zawsze kiedy do nich przychodziłam, wyglądałam pięknie i młodo. Na próżno prosiłam, żeby pan pisarz mnie przyjął mnie, wielką miłośniczkę jego książek. Służąca wchodziła do domu, a zaraz potem pojawiała się jaśnie pani, uważnie mi się przyglądała i mówiła:

„Mąż pracuje teraz nad powieścią, przykro mi, panienko, ale nikogo nie przyjmuje”.

Akurat było jej przykro.

- Akurat było jej przykro. Po prostu go pilnowała.

- Dlaczego nie poszłaś, kiedy Jókai owdowiał? Był bardzo samotny. Po Laborfalvi, przed Bellą Nagy - rzuciłam rozsądną propozycję.

- Zwariowałaś? Starzy ludzie wywołują u mnie obrzydzenie. Nie uważasz, że to odrażające, jak dumnie obnoszą te swoje starzejące się ciała, po ulicach, placach i innych miejscach publicznych? Ci, którzy przekroczyli czterdziestkę, dawno nie powinni już żyć, a mimo to wszędzie ich pełno... Tylko o ciebie się martwię, Jerne, że sama też tak skończysz.

- Jak?

- Jeśli jak najszybciej nie weźmiesz się za wysysanie krwi, to sama zobaczysz. Masz to w genach, co do tego nie ma wątpliwości, ale tak naprawdę zmotywuje cię dopiero własna śmierć. Do tego momentu nie będziesz żałować, że dni mijają.

- Chcę umrzeć, babciu, ale trochę później.

- Do tego wcale nie trzeba umierać. Ja nie mówię, że masz umrzeć, chciałabym tylko nareszcie zobaczyć, że ty też jesteś taką silną, mądrą, piękną wampirzycą, jak ja.

A propos, pokazywałam ci już swoją wizytówkę?

- Zrobiłaś sobie nowe wizytówki?

- Wiesz przecież, jak niezbędną rzeczą w biznesie są efektowne, gustowne wizytówki, które skutecznie wprowadzają moich partnerów w błąd. Patrz! - Wyjęła z torebki cienki albumik. - W tej serii jest dwadzieścia różnych rodzajów, na czerpanym papierze, czcionką Sacré Coeur. Godzinami zastanawiałam się, zanim wymyśliłam dwadzieścia nowych nazwisk. Pomału zaczynam wykorzystywać stare.

- Przepiękne. A te? Na których pod nazwiskiem napisane jest „ugrofińska wampirzyca”?

- Te zrobiłam do użytku wewnętrznego. Na okazje, kiedy spotykam podobnych

sobie...

- Ale ugrofińskie wampiry nie istnieją. "Ugrofiński" to kategoria językoznawcza albo etnograficzna. Dlaczego nie węgierska wampirzyca?

- Cóż za pospolity pomysł. Pomyśl tylko, jak zareaguje nadęty anglosaski wampir, kiedy oznajmię mu, że jestem węgierską wampirzycą. Uprzejmie chrząknie. "Tak, a gdzie to właściwie jest? Budapeszt czy Bukareszt?". Ale już samo słowo "ugrofińska" wzbudzi w nim szacunek, a mojej osobie doda pewnej egzotyki.

- I to wszystko?

- I to wszystko.

- Myślałam, że cierpisz na coś w rodzaju patriotyzmu.

- Bez przesady. Chociaż muszę przyznać, lubię tu mieszkać. Węgrzy dysponują niezwykle bogatym materiałem genetycznym, i stąd ich wygląd zewnętrzny jest urozmaicony zarówno pod względem kształtów, jak i kolorów, i często są naprawdę atrakcyjni. Wielu z nich jest ładnych i apetycznych. Nigdzie nie ma bardziej nudnego pożywienia, że się tak wulgarnie wyrażę, niż w krajach etnicznie jednolitych. Możesz mi wierzyć. W takich miejscach ludzie są podobni do siebie jak dwie kromki chleba z masłem, jak dwa ugotowane kartofle albo jak dwa wędzone śledzie. Rozumiesz? Czy moje porównania były wystarczająco plastyczne?

- Tak.

Babka wzięła się za badanie zawartości mojego talerza.

- Co jesz? Co to za paskudztwo?

- Sałatka.

- Ona nie da ci wiecznej młodości. Tyle razy ci mówiłam, Jerne, słuchaj się babki. Jak chcesz zjeść coś naprawdę pożywnego, zamów sobie dostawcę pizzy.

Faktycznie, mówiła. Powtarzała mi to już tysiąc razy, i w dodatku miała nadzieję, że kiedyś zamienię swoją lekką kolację na jakiegoś spoconego kuriera albo kurierkę.

6.

Stałam przy drabinkach, czekając na Samiego, i nagle zobaczyłam siebie w wieku lat ośmiu: spocone dłonie ześlizgują się z metalowych rurek, gardło ściska mi strach, a potem leżę bezwładnie na drobnym żwirze. Bo Sami powiedział, że jak nie odważę się stanąć na rękach na samej górze drabinek, to jestem mięczak. To było słowo, którego nauczył się wtedy z jakiegoś filmu przygodowego. Odważyłam się, ale mi się nie udało. Odkąd skończyliśmy trzy lata, spędzaliśmy czas na tym samym placu zabaw, ale wtedy jeszcze nie przyjaźniliśmy się, ponieważ Sami należał do bandy niszczycieli zamków z piasku, co we mnie marzącej o

przeniesieniu do piaskownicy neogotyckiego zamku króla Ludwika II Bawarskiego - budziło zdecydowany sprzeciw.

Jednakże pewnego upalnego letniego dnia, kiedy reszta dzieci była na wakacjach, zostaliśmy zdani na swoje towarzystwo. Asystowałam Sarniemu przy pierwszej sekcji żaby i to był przełom. Później żałowałam tego, co zrobiłam, w wieku lat dziewięciu przestałam się tym chwalić i opowiadać, że to ja podawałam szczypce i skalpel. W każdym razie kolegowaliśmy się do momentu, kiedy odkryłam, że w pobliżu działa biblioteka dziecięca. Naturalnie przez pewien czas chodziliśmy też do jednej klasy, dopóki babka nie wysłała mnie do szkoły z internatem.

- Cześć! Długo czekasz? - usłyszałam Sarniego.

- Nie, przyszedłam przed chwilą. Zauważyłam, że od tamtych czasów nie pomalowali drabinek.

- A co, w Anglii często malują?

- Nie wiem, nie chodziłam na place zabaw.

- A mnie się zdarzało. Ale tylko w nocy. Wtedy nie ma kolejki do huśtawek.

- Ja zawsze huśtałam się w nocy.

- Ty zawsze byłaś inna. Byłaś jedyną osobą w klasie, która wyszła z Pinokia w środku seansu. Już wtedy podejrzewałam, że zostaniesz kimś.

- A jednak nie zostałam.

- Ale jeszcze zostaniesz. Chodziłaś do zagranicznej szkoły, piszesz, i w ogóle.

- Dopiero kilka dni temu wysłałam swoje bajki do wydawnictwa do recenzji.

- Na pewno się uda. W czwartej klasie wygrałaś przecież konkurs bajkopisarski.

- To było w drugiej i nie chodziło o pisanie, tylko opowiadanie. W czwartej w pisaniu bajek nawet nie zajęłam miejsca. Chociaż wystartowałam z plagiatem Bociana Kalifa z Baśni z Tysiąca i Jednej Nocy.

- I co, zdyskwalifikowali cię?

- Nawet nie zauważyli! Po prostu im się nie spodobało.

- Ja też nie wygrałem żadnego konkursu. A jednak mi się udało. Jeśli na każdy koncert przyjdzie o dziesięć osób więcej niż na poprzedni, to wkrótce będę gwiazdą.

Mam szansę: knajpa jest zawsze pełna, kiedy gramy.

- Na czym grasz?

- Teraz już tylko śpiewam. Na początku grałem na gitarze i śpiewałem, ale stwierdziłem, że robiąc dwie rzeczy naraz, nie mogę dać z siebie wszystkiego. Postawili mnie z przodu, bo lubię, kiedy na mnie patrzą. Na razie jeszcze nikt nie patrzy, ale sytuacja

poprawia się systematycznie, z koncertu na koncert. Słuchaj, a może się czegoś napijemy?

- Masz na myśli alkohol? - spytałam ze strachem.

- No tak, ale nie stuprocentowy. Taki, który powstał w wyniku fermentacji jakiegoś owocu albo zboża - tłumaczył Sami. - Jęczmienia, chmielu, pszenicy. Winogron, ewentualnie śliwek.

- Ja nie spożywam napoi alkoholowych.

- Nie? To jak chcesz zostać pisarką?

- Nie chcę być tak wielką pisarką. Tylko autorką bajek.

- Jeden kieliszek mogłabyś. Dla towarzystwa.

- Absolutnie. Alkohol mi szkodzi. Staję się po nim wesoła i miła.

- Trudno, zamówisz coś innego. Chodźmy - powiedział Sami i ruszyliśmy w stronę widocznych w oddali świateł.

7.

Po raz trzeci walcząc z nader okropnym germanizmem, bardzo plastycznie wyobrażałam sobie, jak to będzie, kiedy już stanę się publikującą autorką. Przede wszystkim wezmę do ręki tomik, który dopiero opuścił drukarnię

(„świeży, jeszcze ciepły”), obejrzę stronę tytułową i przerzucę kartki, na których widnieć będą moje własne słowa. Wypełni mnie duma na samą myśl o tym, jaką drogę przebyłam od wieku lat pięciu, kiedy nawet nie potrafiłam czytać, a literę N pisałam na odwrot. Na początku będę bacznie śledzić media, obserwować, z jakim przyjęciem spotka się moja książka. W ciągu kilku miesięcy pojawią się dwie recenzje, w jednej z nich wstanie napisane, że za głupiutkimi historyjkami o zwierzętach kryje się rzeczowa krytyka społeczna, a mnie rozpierać będzie duma: to będzie właśnie to, co pragnęłam usłyszeć. Później, kiedy już ucichnie cały szum wokół książki, co tydzień będę chodzić do księgarń i księgarenek, w których jest literatura na najwyższym poziomie, a czytelnika częstuje się herbatą. Kroki skieruję do działu z literaturą młodzieżową, spojrzeniem pogłaszczę grzbiety moich bajek i od czasu do czasu kupię po jednym egzemplarzu - żeby było widać, że jest na nie popyt. Że mają swoich zwolenników wśród prawdziwych miłośników literatury.

Piękne marzenia. Westchnęłam głośno (ach!) i rozmarzona wyjrzałam przez okno. Wtedy ktoś delikatnie położył rękę na moim ramieniu. Spojrzałam do góry. Norma-

- Elektra z szerokim uśmiechem na ustach skinęła, żebyśmy poszły za nią. Usiadłyśmy w jej pokoju naprzeciwko siebie.

- Napijesz się kawy, Jerne?

- Nie, dziękuję.

- A ja tak. - Ledwie usiadła, a już zerwała się i ruszyła do ekspresu. - Przeczytałam twoje bajki.

- I co o nich sądzisz?

- Jeśli dobrze pamiętam, umówiliśmy się, że wydawnictwo je opublikuje.

- O ile będą na odpowiednim poziomie.

- Właśnie o to chodzi. Powiem wprost. W takiej postaci nie możemy ich wydać.

- Ale dlaczego?

- Mam to uzasadnić?

- Jeśli możesz.

- W porządku. - Stojąc tyłem do mnie i majstrując przy ekspresie do kawy, zaczęła tłumaczyć: - Nie ma wątpliwości, że jesteś bardzo zdolną bajkopisarką. Doceniam również, że pisanie bajek uważasz za swoje powołanie. Jest wiele osób, dla których jest to tylko zajęcie dodatkowe... - Ekspres zaczął bulgotać. -... a jednak piszą lepsze bajki niż ty. Ale faktycznie coś w tobie drzemie. Tylko nie dojrzało jeszcze do publikacji. - Usiadła z powrotem przy biurku i oddała mi rękopis. - Widzisz?

Na fioletowo zaznaczyłam fragmenty, które absolutnie się nie nadają, na marginesie dopisałam uwagi.

- Kochanie! - jermak zajrzał przez szparę w drzwiach. - Muszę wyjść, możliwe, że późno wrócę do domu. Nie czekaj na mnie.

- Dobrze, jak przyjdiesz, to będziesz - powiedziała Elektra i z uśmiechem machała ręką, dopóki głowa jermaka nie zniknęła za drzwiami.

- Co w nich jest na przykład złego?

- Ojej, nie bądźmy aż tak negatywnie nastawieni.

Powiem ci raczej, co jest dobrego. Dialogi są zdecydowanie twoją mocną stroną. Krótkie, proste zdania. Ale opisy są puste i brak w nich życia.

- Aha.

- Nieważne. Nie to jest największym problemem.

Tylko to, że te króliki, lisy, wilki, skunksy, krety i chomiki są cyniczne i wredne.

- No jasne. Dlatego tytuł brzmi Wredne zwierzęta.

- Jerne, ale tak nie można! Potrzebne jest przesłanie moralne.

- A rzeczowa krytyka społeczna?

- Co takiego?

- Czy twoim zdaniem jest w nich rzeczowa krytyka społeczna?

- W nich, to znaczy w tym? - NormaElektra z obrzydzeniem stuknęła palcem w rękopis.

- W każdym bądź razie powinnaś była przynajmniej zaznaczyć, kto jest dobry, a kto zły.

Dzieci tego nie rozróżniają.

- Nie były ciekawe?

- Były bardzo ciekawe. Ale nie wydam ich.

- Dlaczego?

- Bo to wydawnictwo należy do mnie. To znaczy do nas. Ale jeśli chodzi o wspólnika, to z całą pewnością wiem, że jego hierarchia wartości jest taka sama, jak moja. - Chyba się skrzywiłam, bo dodała: - Ale popraw je jeszcze, i wtedy zobaczymy.

Część trzecia

8.

Oto butelka. Jest w niej coś, co nazywamy palinką. Mój mały czytelniku, mam nadzieję, że dopóki żyjesz, nie będziesz pił czegoś podobnego. To trucizna. Tak samo jak wódka, rum i whisky, nazywane napojami mocnymi. Są tak mocne, że wykańczają i zabijają ludzi.

Siedziałam przy biurku w wydawnictwie, minęła już godzina dziesiąta, a mnie tylko tyle udało się stworzyć, jeśli chodzi o przesłanie moralne. Na dodatek był to plagiat ulotek Towarzystwa do Walki z Alkoholizmem.

Przyznaję, że to marny wynik, ale skąd posłaniec złych mocy miałby pojęcie o ludzkiej moralności. Całe szczęście, że nie kazali mi uzupełnić bajek o elementy teorii tańca, bo na tym znam się jeszcze gorzej. Pomijając fakt, że przez cały czas trzymałam stronę rozpustnej bandy małych i dużych leśnych gryzoni, najzwyczajniej nie jestem podatna na dobro. Ale przynajmniej słyszałam, że nadużywanie alkoholu jest ludzką bolączką.

Nie pragnę literackiej nieśmiertelności, życie wieczne osiągnę i tak, dzięki płynącej we mnie wampirzej krwi jedyne, czego bym chciała, to opublikować swoje dzieła.

Czyżbym oczekiwała zbyt wiele? Dlaczego moje szlifowane tak starannie bajki są mniej warte niż spisane na kolanie, przy kawiarnianym stoliku, wiersze jakichś tam poetów, wyrażające chwilowy stan ich ciała i umysłu? Mam pełną świadomość, że tylko wybrańcy potrafią pisać wiersze, prozę natomiast - w zasadzie każdy, i dlatego należy dokonywać ostrej selekcji. Ale jeśli ktokolwiek wart jest tego, żeby zostać bajkopisarzem, to z pewnością ja.

W tych trudnych chwilach przychodzi mi do głowy przypadek Hansa Christiana Andersena. Hans Christian Andersen nigdy się nie poddawał. W młodości miał wstać tancerzem: został odrzucony. Później chciał być aktorem i śpiewakiem: po kilku występach w ogonach wyrzucono go z teatru. Potem - i później też, nieustannie - próbował sił jako poeta: jego wiersze wyśmiewano (szczególnie wtedy, kiedy sam je czytał). Poniósł też porażkę jako dramaturg: jego sztuki wygwizdano. W końcu stworzył kilka przerażających próz i fakt ów dla kultury europejskiej miał dwie poważne konsekwencje: tak zdenerwował pewnego młodzieńca o nazwisku Kierkegaard, że ten napisał swoje pierwsze poważne dzieło: obszerną krytykę Andersena; nadto utwory te osiągnęły spory sukces w całej Europie i zapewniły pisarzowi środki do życia, i mógł on wreszcie zająć się pisaniem baśni, a teraz w żadnym

dziecięcym pokojiu nie może zabraknąć tych sadomasochistycznych dzieł.

Pierwsze historyjki o zwierzętach napisałam jeszcze w szkole podstawowej, zatytułowałam je Życie i przygody poczciwego psa, zwanego Dzielny Joco i pokazałam pani nauczycielce. Zachęcała mnie, żebym podążała tą drogą, przestrzegłszy, że bajkopisarz to ktoś, kto żegluje po morzu słów między Scyllami i Charybdami. Słodka pieśń syren sentymentalizmu może go zawieść na mieliznę, a to' oznacza koniec. Ale precyzyjne formułowanie myśli czyni żeglarza głuchym na owe wabiące pieśni. W ten sposób może swoją łodzią dopłynąć do portu, do którego zmierza."Wpuść sobie do uszu wosk zwięzłości, żeby uniknąć rozbicia statku!", radziła mi nauczycielka.

Ale nie tylko to jest ważne. Weźmy na przykład bajki o zwierzętach. W zasadzie istnieją dwa rodzaje historii zwierzęcych. Jedne z nich opowiadają o schowanych w zwierzęcej skórze humanoidach, które noszą ubrania, prowadzą życie towarzyskie i mają ludzkie cechy. Drugie próbują przedstawiać zwierzęta jako zwierzęta. Jest to o tyle trudne, że mało kto ma pojęcie, jak to jest być zwierzęciem. A wystarczyłoby trochę więcej empatii. Nie zapominajmy również o naszych skłonnościach, aby ze zwierząt futerkowych, nadających się do przytulania, robić bohaterów pozytywnych, natomiast bohaterów negatywnych ze zwierząt równie futerkowych - ale już mniej nadających się do przytulania - nie mówiąc o tych, które zamiast futerka mają łuski lub są obślizgłe. Ale wszystko to tylko powry: zwierzęta to ograniczona zgraja, pozbawiona zasad i wartości moralnych, skoncentrowana wyłącznie na jedzeniu i rozmnażaniu. Antropomorfizm oznacza świadomość śmierci, pomyślałam, i czerwonym ołówkiem skreśliłam akapit, w którym dwie podchmielone łasice gwizdzą na taszczącego wypełnione burakami siaty Inicjatywa. Jestem tam, gdzie kończy się brzeg, natchnienie mnie opuściło, muszę poszukać nowego sensu życia.

Westchnęłam. Na zewnątrz było ciemno, padał przenikliwy, jesienny deszcz. Nigdzie się stąd nie ruszam, zdecydowałam. Kto zauważy, że spędziłam tu noc? W mniejszym z dwóch połączonych pokoi, tam, gdzie pracowałam, zrobiłam sobie posłanie. Zsunęłam osiem krzeseł, które miałam do dyspozycji, i naszykowałam całkiem wygodne legowisko. Drzwi zostawiłam uchylone, żeby z sąsiedniego pokoju, którego okna wychodziły na ulicę, wpadało trochę światła.

Moja głowa bezwładnie opadła na skórzane obicie biurowych krzeseł. Zasnęłam natychmiast i śniło mi się, że w wieku lat szesnastu straciłam dziewictwo, ale nie to było przerażające, lecz fakt, że jadłam niemyte czereśnie, ośleplam, a po mojej twarzy skakały jakieś brudne gryzonie. Dlatego nie zmartwiło mnie zbyt, że zbudził mnie chrobot klucza. Mówiąc szczerze, nie należę do tych, co niczego się nie boją; najpierw leżałam więc

wciśnięta w krzesła, z zamkniętymi oczami, na wypadek, gdyby to było włamanie, z nadzieją, że złodziej zabierze, co będzie chciał, a mnie nawet nie zauważy. Z dobiegających dźwięków wywnioskowałam jednak, że przybysz zdjął płaszcz, i stwierdziłam, że włamywacz raczej nie zaprzętałby sobie głowy czymś takim. Cicho spełzłam ze swego legowiska i na czworakach zmierzałam w stronę drzwi.

Kiedy dojrzałam intruza jużzuż chciałam się podnieść i przywitać, ale zastanowiło mnie, czy aby nie będzie mi miał za złe mojej obecności. Wtedy on podszedł do znajdującej się w kącie małej umywalki i dobrze widziałam w blasku księżyca, że to, co próbuje zmyć z twarzy, to krew (!). Wypłukał usta, a kiedy się odwrócił, uliczne lampy oświetliły jego twarz. Na widok pełnego żądy, okrutnego uśmiechu przeszły mnie ciarki. Rany. Wszystkie okrzyki, które cisnęły mi się na usta (wielkie nieba, dobry Boże, Jezu, Matko Boska, Jezus Maria), związane są ściśle z kulturą chrześcijańską - osobom mojego pokroju nie wypada więc ich używać. Musiało mi zatem wystarczyć samo gapienie się i osłupienie. Tak czy siak mój szef jest wampirem. Mój szef też jest wampirem.

Jermak jeszcze przez kilka chwil doprowadzał się do porządku: w owłosioną klatkę piersiową wtarł dziecięce mydélko, ochlapał się wodą, po czym wiszącym nad umywalką małym ręcznikiem wytarł swoje białe ciało, noszące wyraźne ślady skłonności do tycia. (A ja wycieram w niego ręce! - przeszedł mnie dreszcz). Założył czystą koszulę i pociągnął kilka łyków z wyjętej z kieszeni piersiówki. Zamknął szafkę, klucz ukrył w szmacie do podłogi, zabrał swoje rzeczy i szybko opuścił mieszkanie.

Wdrapałam się z powrotem na legowisko. Prychnęłam i pokręciłam głową: że też na tym brudnym świecie jest tyle wampirów. Biedna NormaElektra. Ciekawe, czy o tym wie. Po całym tym zajściu nie miałam już odwagi zasnąć. Bałam się, że rano nie obudzę się w porę, a biorąc pod uwagę zaistniałą sytuację, byłoby wielce niekorzystne, gdyby wydało się, że widziałam, jak Jermak obmywa się z krwi. Hmm. Mam szefa krwiopijcę. Zaczęłam rozważać swoje szanse przeżycia i doszłam do wniosku, że mogąc się tu objąć przez osiem godzin dziennie za sumę równą minimum socjalnemu, nie powinnam narzekać.

I nie narzekam.

Kiedy tylko zrobiło się jasno, udałam się do sąsiedniego pokoju, żeby zbadać ślady. Z brudnej, mokrej szmaty wydobyłam klucz i otworzyłam szafkę. Walało się tam mnóstwo rupieci: cygara, tytoń, stare fotografie, książki, listy, błyszczące kamyki i zamknięta szkatułka, której zawartość w ogóle mnie nie zainteresowała. To mają być utensylia wampira? Sięgnęłam po koszulę, chciałam jej się dokładnie przyjrzeć. Krew. Co do tego nie ma wątpliwości. Życiodajna ciecz zabrudziła kołnierzyk tam, gdzie skapywała mu z ust. Mimo

wszystko dawałam IO% szans, że ktoś porządnie dał mu w zęby.

9.

Pomimo spaceru w rześki poranek dotarłam do pracy na tyle wcześnie, że mogło to wzbudzić podejrzenia NormyElektry. Miałam nadzieję, że zauważy, jaką jestem wspaniałą, godną zaufania siłą roboczą. Przez cały dzień obserwowałam jernaka. Był zmęczony i nieogolony. Nie rozumiałam, w jaki sposób ktoś z tak mało pociągającą aparycją może należeć do szlachetnego gatunku wampirów. Sama też nie mogę się pochwalić zbytnią urodą, jednak charakterystyczny arystokratyczny nos przydaje memu wyglądowi dostojności. Na twarzy jernaka nie odnalazłam śladów ingerencji z zewnątrz, a jedynie wyraźne zadowolenie, które widziałam również u babki, kiedy w ciągu jednego tygodnia powiodło jej się ze wszystkimi pracownikami firmy maklerskiej. Tym, co przekonało mnie ostatecznie, że Jernak nie jest zwykłym śmiertelnikiem, był jego osnuty tajemnicą wiek. Starłam się wy - badać, ile też może mieć lat, nawet za cenę posądzenia o wścibstwo. Kiedyś po prostu podeszłam do jego biurka i zapytałam: - Przepraszam, a ile Ty właściwie masz lat?

- Trzydzieści - odpowiedział i spojrzał na mnie wielkimi oczami.

Każdy może tak powiedzieć. Bardzo podejrzane.

Po dniu, który upłynął pod znakiem obserwacji jednego wampira, udałam się do domu, gdzie czekał na mnie drugi. Babka leżała na kanapie, w satynowej podomce, z okładami na udach.

- Co się stało, babciu?

- Sama zobacz, pięć siniaków!

- Ojejku, a kto ci to zrobił?

- Wracałam do domu nad ranem, kto miałby ochotę włączyć po schodach, kiedy nogi strasznie go bolą od wysokich obcasów, a w przeklętej kamienicy nie ma nawet windy! Pomyślałam sobie, że wnietoperzuję się na to piąte piętro. Na czwartym dopadł mnie dozorca z miotłą i tłukł, dopóki mu starczyło tchu.

- Nie dziw się, nie każdy lubi nietoperze.

- Tak? To co, twoim zdaniem, powinien mnie zatłuc na śmierć?

- Tego nie powiedziałam. Tyle tylko, że potrafię zrozumieć jego wzburzenie.

- Cóż za empatia. Twoja babka o mały włos skończyłaby jako zdechły nietoperz, a ty tylko kiwasz głową.

- Ależ babciu, ty się tak łatwo nie poddajesz.

- Czego mogłabym się po Tobie spodziewać! Masz w sobie tylko kilka kropli wampirzej krwi! Twoja matka i ojciec...

Z zainteresowaniem czekałam na ciąg dalszy, ale babka zamilkła. Miałam nadzieję, że pewnego pięknego dnia wykrzyczy mi wszystko w twarz - wtedy przynajmniej dowiedziałabym się czegoś o rodzicach. Ale to, że urodziła mnie matka, było tylko cczą nadzieją. Pudelko, w którym dostarczono mnie, kilkudniowe niemowlę, do babki, listonosz opatrzył następującymi naklejkami: POLECONY,

PRIORYTET, OSTROŻNIE - KRUCHE. Zawartość przesyłki: wnuczka. Leżałam skulona w trocinach i śmierdziałam naparem z maku. Prawdopodobnie nigdy nie zdołam się odwdzięczyć babce za to, że mnie do siebie wzięła, choć w pierwszym odruchu zapakowała mnie z powrotem i chciała odesłać nadawcy - listonosz nie przyjął zwrotu, mówiąc, że na dowodzie nadania nie ma nadawcy. Karmiła mnie, ubierała i broniła zawsze, kiedy było to konieczne. Na przykład gdy w wieku dwunastu lat leżałam w gorączce i przyszedł po mnie Lenin i Rozporządzenia Prezydium Partii (postacie wielkości Króla Olch), nie pozwoliła, żeby mnie zabrali, pokazała im zęby i w ogóle.

Odwaga od razu z nich wyparowała.

- A ty gdzie byłaś w nocy, Jerne? Czyżby? Piłaś krew?

- Nie.

- Mogłam się domyślić.

- Dlaczego? To też mogłam robić.

- No jasne. Chciałabym to wreszcie zobaczyć, To oczywiste. Babka uważała mnie za niedoświadczonego szczeniaka. Poczłapałam do swojego pokoju i przez okno patrzyłam na światła wielkiego miasta.

10.

- Sami, cały czas źle się czujesz? Nie zmęczył cię zbytnio ten spacer? - zapytałam. - Kiedy dzwoniłam po południu, twój brat powiedział, że jesteś w łóżku.

- Już dochodziłem do siebie. W przeciwnym razie nie poszedłbym z tobą - powiedział Sami pogodnie, energicznie próbując otworzyć butelkę z piwem o ławkę, na której siedzieliśmy. - Była u mnie moja była dziewczyna, zawsze kiedy mam gripę, idę z nią do łóżka.

Udało mu się otworzyć butelkę, pociągnął spory łyk napoju, zakupionego przed chwilą w pobliskim sklepie całodobowym, nazywanym przez Sarniego nieoficjalnie

„złodziejskim”, co odnosiło się do polityki cenowej stosowanej przez właściciela. Ja w tym samym miejscu kupiłam gazetę i teraz, kiedy w końcu usiedliśmy na jednej z ławek w parku, na brzegu jeziora, zaczęłam przeglądać ogłoszenia.

- Popatrz! - stuknęłam palcem w jedno z nich. -

„Przyjmę pięciu malarzy konceptualistów, od zaraz. Doświadczenie niekonieczne. Płaca: kiedyś”.

- Kusząca propozycja - cmoknął Sami. - Ale jak to? Szukasz pracy? Przecież jeszcze niedawno byłaś zadowolona z tej, którą masz.

- Jestem zadowolona. Nie zasługuję na nic lepszego.

Ale konceptualizm zawsze bardzo mnie interesował.

- Dlaczego nie miałabyś spróbować? Jak piszą, zieloni też mogą próbować. To, że jesteś bajkopisarką, to jedna sprawa, dlaczego nie miałabyś być malarzem konceptualistą albo śpiewaczką operową? Artyści są wszechstronnie uzdolnieni. Ja planuję, że zacznę się zajmować tłumaczeniem literatury. A propos, kiedy ukażą się twoje bajki?

- Być może nigdy.

- Jak to? Słuchaj, dajmy kaczkom rogalika. Głupie są. Nawet jesienią siedzą w tej zimnej wodzie.

Jeden z rogalików - nabytych również we wspomnianym sklepie całodobowym - pokruszyliśmy na drobne kawałki i rzuciliśmy kaczkom do wody.

- Dlaczego miałyby się nie ukazać? - kontynuował Sami. - Przecież pracujesz w wydawnictwie, u źródła...

- Na jakim ty świecie żyjesz? Myślisz, że tam panują jakieś układy? Przy wydawaniu książek obowiązują trochę ostrzejsze standardy.

- Nie miałem pojęcia. Ale dobrze, że mi powiedziałaś.

- Nawiasem mówiąc, niedawno oddałam poprawione bajki. Teraz czekam na decyzję.

- To trzymam kciuki. - Sami wrzucił do wody ostatni kawałek rogalika i sięgnął po butelkę. - Słuchaj, jerno, już dawno chciałem cię zapytać...

- Pytaj.

- Wolisz chłopców czy dziewczyny?

- Sama nie wiem. - Zastanowiłam się. - Ani chłopców, ani dziewczyny. W ogóle nie przepadam za ludźmi.

- Aha. A za zwierzętami?

- Z nimi też nie utrzymuję stosunków.

- Wszzło słońce - oznajmił Sami. - Zjedzmy śniadanie!

Rozdzieliliśmy rogaliki. Ja dostałam dwa, ale żadnego nawet nie ugryzłam. Patrzyłam na pęczniejące w wodzie białe kulki.

- To dobrze, że już teraz wrzuciliśmy rogaliki do wody - stwierdził Sami z pełnymi ustami. - Zanim kaczki się obudzą, wszystko będzie namoczone i miękkie. Czuję wenę do

napisania piosenki o moim stosunku do życia, ale chyba najpierw się prześpię, zanim zejda się psiarze i biegacze. A ty?

- A ja ruszam do pracy. Już ponad dwanaście godzin nie pracowałam. Zaczyna mi tego brakować.

- Dobra. Nie zapomnij do mnie zadzwonić, gdybyś jeszcze kiedyś miała ochotę na spacer. Było mi bardzo miło.

- Mnie też.

Pomachałam mu i poszłam w stronę pracy.

II.

Poprawiona wersja, którą złożyłam w poniedziałek, leżała już na moim biurku. Tym razem Elektra nawet nie pofatygowała się, żeby osobiście poinformować mnie o odrzuceniu bajek. Zajrzała na kilka minut przed końcem pracy. Przysunęła sobie krzesło do mojego biurka i uśmiechając się, uroczo zapytała:

- Doszłaś już do siebie?

Powtarzałam sobie po cichu odpowiednią mantrę:

„Hans Christian Andersen”.

- To bardzo ważne, żeby człowiek potrafił znosić porażki - kontynuowała moja pracodawczyni. - Porażki popychają nas do przodu. Pokazują nam drogę do sukcesu. Ludzie, którzy żyją marzeniami, często się rozczarowują. Trzeba zachować poczucie rzeczywistości, stawiać sobie cele, które mieszczą się w granicach możliwości, i dostosowywać je do aktualnych doświadczeń. Wierzę, że każdy młody człowiek ma talent. Ale do osiągnięcia pewnych celów potrzeba dużo czasu, dużo doświadczenia i praktyki. Kiedy za pięć, dziesięć lat spojrzysz wstecz, sama przyznasz, że nie pokazując twoich pierwszych dzieł szerokiej publiczności, chciałam tylko twojego dobra.

Nadejdzie czas, kiedy poczujesz, że nareszcie odnalazłaś swój indywidualny styl, i sama stwierdzisz, że szkoda byłoby, gdyby rzucały one cień na twoją sławę.

Zmarszczyłam czoło.

- Jerne, ciesz się, bo daję ci teraz szansę, żebyś wykazała się swoją wiedzą i talentem. Popatrz! - Położyła przede mną jakąś poźółkłą książkę. - To jest zbiór bajek ludowych, które rzadko trafiały do antologii. Znalazłam go w antykwariacie, na okładce widnieje nazwa jakiegoś małego wydawnictwa, które od lat nie istnieje, redaktorów też dawno już nie ma, nie trzeba płacić żadnych honorariów ani praw autorskich. Niedawno rozmawiałam z właścicielem podobnego do nas małego wydawnictwa, który opowiadał mi, z jakim zyskiem udało im się ostatnio wydać właśnie zbiór bajek ludowych. Rodzice zawsze chętnie kupują

takie rzeczy. Dlaczegoż więc Elektra i Ska nie miałyby wydawać bajek, skoro jeden z naszych najważniejszych pracowników jest specjalistą w tej dziedzinie.

- Ale moje bajki... - jęknęłam.

- Nareszcie jakieś zadanie w sam raz dla ciebie. To jest stary, oryginalny zbiór, trzeba go więc trochę przykroić, dostosować do poziomu dzieci. Wyrzucisz gwarę, uprościsz skomplikowane zdania, pozbędziesz się nieprzystojnych sformułowań, tak, żeby wszystko było proste, łatwo przyswajalne i zrozumiałe dla dzieci. No?

Widzisz, jak inspirujące zadanie ci wyznaczam? Jak ci się podoba?

- Bardzo mi się podoba. Bardzo,

- Wiedziałam, że przypadnie ci do gustu. Ale bardzo cię proszę, nie pisz takich zdań, jak: "Lis przez całe popołudnie był oralnie sfiksowany". W twoich bajkach jest tyle obcych wyrazów, że cztero, pięcioletnie dzieci pospadałyby z łóżek jak martwe. Prosta węgierszczyzna, ok?

- Ok.

- No to naprzód, do dzieła! - powiedziała Elektra wesoło, po czym opuściła pokój, a następnie wydawnictwo.

- Pozamykaj wszystko, jak będziesz wychodzić! krzyknęła na pożegnanie.

Prawdopodobnie Hans Christian Andersen w podobnej sytuacji wzdrygnął się tylko i ze spokojem ukląkł przed kolejnym możnym protektorem. Moje bajki, moje piękne, fascynujące, mądre bajki... i ja, dyplomowana bajkopisarka, po ukończonym w Winterwood kierunku Literatura Dziecięca. Wysłuchałam cyklu wykładów Klasyczne dzieła literatury dziecięcej i Symbolika czarodziejskich bajek. Uczęszczałam na seminaria Watt Disney i tradycją bajki oraz Blaski i cienie pisania bajek - i wszystko na próżno. Jestem teraz tutaj, polubiłam swoją pracę, wstawianie przecinków w czterystustronicowym podręczniku jogi sprawia mi radość, ale przerabianie bajek to już za wiele. Dlaczego ja w ogóle muszę pracować? Takich rzeczy nigdy nie robił nawet sam Hans Christian Andersen.

12.

Ledwie weszłam na klatkę schodową, do moich uszu dobiegło słowo "szczury". Ponieważ wspomnienie jakichkolwiek padlinożernych ssaków, pasożytów i gryzoni wywołuje u mnie jednoznaczne skojarzenie z babką, zajęłam się manipulowaniem przy skrzynce pocztowej, by podsłuchać nerwową rozmowę dozorczyńni i jednej z sąsiadek, pełną epitetów i oburzenia. To, co zdołałam usłyszeć przez kilka minut - zanim zdrapałam swoje nazwisko - w zupełności mi wystarczyło. Pognałam na górę i wpadłam do mieszkania.

Stado szczurów dokazywało na dywanie, dwa większe walczyły w kuchni o jakiś

ochłap.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, że tu się schroniły. Deratyzacja zacznie się lada chwila, musiałam je ulokować w bezpiecznym miejscu. - W ustach babki bynajmniej nie brzmiało to jak tłumaczenie, lecz jak komunikat.

- Babciu, na śmierć wystraszyłaś dozorczynię tymi swoimi zwierzątkami.

- Mam prawo trzymać takie zwierzęta domowe, jakie mi się podoba.

- Dobra, to idź jej wytłumacz, że to twoi ulubieńcy.

- Jest zbyt ograniczona, żeby to zrozumieć.

- Sama jesteś ograniczona. Nie każdego cieszy widok wyłażących z muszli klozetowej brudnych szczurów, tłustych od kociego żarcia. Mogła umrzeć ze strachu.

- To ona powiedziała? - zapytała babka zadziornie.

- Tak. Opowiadała jednej z sąsiadek, że jeszcze nigdy nie słyszała ani nie czytała o tym, żeby szczury potrafiły kanalizacją dostać się na taką wysokość.

- To głupota. Przecież wchodzi nawet na dziewiąte piętro. Szczególnie jeśli są tak umięśnione i dobrze odżywione, jak moje. Niech się lepiej kochana pani dozorczyńni zapozna z najświeższą literaturą fachową.

- A ja uważam, że ma rację. Mnie też te twoje zwierzątka napawają obrzydzeniem.

- No pewnie.

Miałam pięć lat, stałyśmy z babką na podwórzu naszego domu, obok szczura rozmiarów tyrannosaura rexa, który ze zblazowaną miną gapił się na stertę śmieci.

- Szczury są jednymi z przyjaciół wampirów - pouczała mnie babka. - Pogłaszcz go! - rozkazała. Nie byłam zbyt skłonna do zaprzyjaźniania się. Zamiast tego wszczełam straszny lament, szczur natychmiast dał drapakę, a wszyscy sąsiedzi wybiegli tłumnie na galerię domu sprawdzić, czy arogancka piękna kobieta z piątego piętra nie obdziera przypadkiem dzieciaka ze skóry. Dopiero potem, po szczurach, są nasi kuzyni, wilki, i tradycyjnie nietoperz.

- Co to znaczy "no pewnie"?

- Czego innego mogłabym się po tobie spodziewać?

- No proszę, znowu to samo. Kto jest wampirem, a kto nim nie jest. Mów śmiało, co ci leży na sercu, ulżyj sobie.

- Nie buntuj się, moja droga!

- Dlaczego nie mogę być prawdziwym wampirem?

- A dlaczego miałabyś nie móc? Oczywiście, że możesz.

- Tylko?

- Czasami skłonności rodzinne nie wystarczą. Nie chcę cię urazić, ale nie masz w

sobie wrodzonych zdolności, nawet na pobieraniu krwi mdlejesz. Być może nie będziesz miała odwagi nikogo zranić.

- Dlaczego miałabym nie mieć odwagi?

- Sprawdźmy. Złap szczura, nie bój się, nie ucieknie, są oswojone... i do dzieła!

- Szczura?

- A widzisz tu jakichś apetycznych młodzieńców?

- Mam zaczynać akurat od szczura?

- Sama tego nie robię, ale widziałam kiedyś film, w którym główny bohater wrzucał je w siebie jednego za drugim, ze smakiem, mlaskając. Widać nie są takie złe.

- Nie sądzę, żebym była w stanie w ogóle ich dotknąć.

- Cóż więc pozostaje? Poćwicz na sobie!

- Co takiego?

- Chcesz to zrobić zębami czy żyletką?

Udawać dalej, że nie dowierzam? Dlaczego nie, mam czas.

- Co takiego?

- Nie słyszałaś? - krzyknęła babka.

- Żyletką.

Babka wysunęła szufladę stołu i wcisnęła mi do ręki całe opakowanie.

- Do dzieła, kochanie.

- Tutaj, przy tobie?

- Zostanie w rodzinie.

Szybko wyciągnęłam jedną żyletkę. Zacisnęłam zęby i zdecydowanymi ruchami wykonałam trzy cięcia na lewym nadgarstku. Krew zaczęła kapać obficie, jak woda z sopli topniejących na rynnie.

- Dobrze. A teraz zrobimy opatrunek. - Z tej samej szuflady, w której były żyletki, babka wyjęła gazę. Dyszałam z przejęcia i trzymając się poręczy, osunęłam się na fotel.

- Czy wampiry pragną nirwany? - zapytałam. Babka spiła krew, ranę posypała jakimś proszkiem, a na nadgarstku skonstruowała zgrabny opatrunek.

- Martwisz mnie, Jerne. Twój pradziadek, gdyby jeszcze żył, przewracałby się w grobie - powiedziała i popchnęła mnie w stronę mojego pokoju.

Część czwarta

Następnego dnia jermak ani na chwilę nie spuszczał wzroku z mojego opatrunku. Kiedy NormaElektra wyszła na spotkanie z jednym z autorów, jermak przysunął krzesło do mojego biurka i rozsiadł się.

- Pokażesz mi?

- Co?

- Swoją ranę.

Na nadgarstku grzecznie goiły się trzy małe ranki i mogłam się obawiać, że za moment całe stado wampirów będzie kłapać przy nich zębami. Babka ostrzegła mnie, że niebezpiecznie jest drażnić je otwartymi ranami. To znaczy nas.

- Krwawi? Boli cię jeszcze?

- A co cię to obchodzi?

- Mam coś, od czego się zagoi.

- Co? Jaskółcze ziele?

- Również.

- To moja sprawa.

- Mówię poważnie, gdybyś tylko potrzebowała jakiejś pomocy, powiedz, mam na myśli przede wszystkim pomoc duchową, nie materialną. Na przykład gdybyś chciała z kimś porozmawiać. Zastukaj tylko w szybę, jestem w sąsiednim pokoju. Albo możemy pójść, powiedzmy, na kawę.

- Nie chce mi się pić.

- Kawę nie dlatego się pije. Piję się ją po to, żeby pić razem. Odpowiadam za ciebie, przecież jesteś moją podwładną, razem pracujemy. Twoje dobre samopoczucie leży w moim interesie, jest bowiem warunkiem efektywnej pracy. Jesteś zadowolona z tego, kim jesteś?

- Dziękuję za zainteresowanie, ale nawet jeśli nie byłabym zadowolona, to również wyłącznie moja sprawa.

- Dobrze już, dobrze. Za żadne skarby nie chcę się narzucać, każdy czasem potrzebuje dobrego słowa - tłumaczył się jermak i jak zaczarowany wpatrywał się w opatrunek. - No, pokaż! - dopraszał się, sięgając po moją rękę. Z przerażeniem schowałam dłoń pod stół.

- Nie musisz się wstydzić.

- Ani przez chwilę się nie wstydziłam, ale to nie twoja sprawa.

- Dobrze już. Teraz spokojnie możesz iść do domu.

Jest piątek, czwarta po południu. Nikt już o tej porze nie pracuje. Idź do domu.

Postawił krzesło na miejsce i ruszył do swojego gabinetu.

- Znajdę sposób - odwrócił się w drzwiach z chytrym uśmiechem - żebyś się przede mną otworzyła.

Rozdział III: Kilka skarg.

- A więc Pana zdaniem jestem cynicznym zwierzęciem - odezwał się niespodziewanie Chomik, zapalając kolejne cygaro. Kret, który do tej pory podziwiał wiszącego na ścianie chomiczego salonu cennego RipplRónaiego, wzdrygnął się.

- Przepraszam, co Pan powiedział? - zapytał lekko zdumiony, gdyż w głosie Chomika wyczuł delikatne rozdrażnienie.

- Przypadkiem dowiedziałem się, co Pan o mnie rozpowiada wśród ludu Biogrodu. Łasica była tak miła i przekazała mi, że przed niewielkim zbiegowiskiem ze szczegółami opowiadał Pan, w jaki sposób wszedłem w posiadanie cienistego zakątka marchewkowego pola i jak podobno wyśmiałem tych, którzy martwili się o los głodującej rodziny zajęczej - ciągnął Chomik urażonym głosem. Kret, dla którego od lat zen było światłem i siłą, usiadł wygodnie w fotelu i chrząknął:

- Poczęstowałby mnie Pan cygarem?

- Proszę uprzejmie. - Chomik z ociąganiem wyjął zdobioną cygarnicę. Kret sięgnął po cygaro, powąchał je i ze smakiem zapalił.

- A gdybyśmy tak po prostu delektowali się cygarami? - zaproponował.

Chomik skinął głową, po czym obaj zastygli nieruchomo. spowici dymem. Po jakimś czasie Chomik znowu przerwał milczenie.

- Zawsze prawie płaczę, kiedy przypomina mi się 48.

- 48?

- Rok 1848, jutrzeńka narodów.

- Dlaczego Pan teraz o tym mówi? Chce mnie Pan sprówokować? Znowu Pan strzela tymi swoimi nacjonalistycznymi pociskami?- zapytał Kret zblazowanym głosem, między jednym zaciągnięciem a drugim.

- Niech Pan nie będzie przewrażliwiony, Krecie powiedział Chomik przyjaźnie. - Chodzi tylko o to, że moglibyśmy uczcić ten dzień również w Biogrodzie. Pan jest zwierzęciem intelektualnym, mógłby Pan to zorganizować.

- jasne - rzucił Kret. Dym spowijał go delikatnie.

- jednemu z moich przodków moglibyśmy wystawić pomnik, temu, który skoczył do

gardła cesarskiemu żołnierzowi. Któreś zdolne zwierzę mogłoby go odwzorować.

- Wie Pan, jakie jest moje zdanie na ten temat - powiedział złowrogim głosem Kret.

- Na jaki temat? Niech się zastanowię... już wiem. wystarczy jeden błysk w Pańskim oku i już gotów jestem do samokrytyki. No tak, to chyba można nazwać kultem jednostki.

- Pan chyba ma paranoję, Chomiku - wycedził Kret, ponieważ zdecydował, że za żadne skarby nie będzie się denerwował. Chomik zgasił wypalone do połowy cygaro, zostawił je w popielniczce i podszedł do małego stolika. Co za świętokradztwo, pomyślał Kret, nie odezwał się jednak ani słowem.

- Paranoję? Być może. A teraz napijmy się.

- jubileusz, urodziny?

- Powiedzmy. Okazji nigdy nie brakuje. Na przykład przed kilkoma dniami dowiedziałem się, że jeden z moich synów z tegorocznego miotu. właśnie został dziadkiem. Szybki chłopak, colpowiedział z dumą Chomik i z szafeczki pod stolikiem wyjął dwie czyste szklanki.

- Gratulacje. ~ chomiki, jesteście niezwykle płodne - powiedział Kret z rezygnacją.

- Ale teraz będę z Panem szczery, mój Kreciku. Po prostu chcę się urząnąć, zezwierzęć. Takie mam plany na najbliższy czas. Chciałbym, żeby Pan się przyłączył.

- Proszę się nie gniewać, Chomiku, ale zmuszony jestem odmówić - powiedział Kret i wyprostował się. - Wysokokaloryczny alkohol zagroziłby mojej dziecie odchudzającej.

Sam Pan pewnie wie, jak tuczące są napoje alkoholowe...

Proszę bardzo. Ale się uczepiłam tego wątku alkoholowego. Stało się tak dlatego, że był to jedyny problem natury moralnej, który wydał mi się w miarę namacalny.

Nic innego nie przyszło mi do głowy. Nie wiedziałam, od czego ludzie stają się źli, dla mnie zło było naturalną formą istnienia.

Słuchałam radia, nadającego ekscytujące komunikaty, wywołane tym, że nie czekając na inaugurację zimy, zaczął padać śnieg. Co pół godziny wzywano ludność do gromadzenia zapasów: konserw, suchego prowiantu i wody, żeby ewentualne przerwy w dostawach nikogo nie denerwowały. Ze złością pochyliłam się nad swoim tekstem. Nie wyprowadzą mnie z równowagi jakimiś opadami śniegu, które o tej porze roku są czymś zupełnie naturalnym. W radiu zachowują się, jakbyśmy żyli w strefie tropikalnej, a śnieg na początku grudnia był anomalią.

Około piątej w moje okno zastukał nietoperz. Otworzyłam jedno skrzydło i wpuściłam go. To była babka, która zachwycona spowodowanym przez zaspę ustaniem ruchu ulicznego, a co za tym idzie, znacznym spadkiem stężenia dwutlenku węgla w powietrzu, od zmierzchu

krążyła nad miastem.

- Zaobserwowałam, gdzie zbierają się ekipy odśnieżające. - Twarz babki nawet nie zaróżowiła się od ruchu na świeżym powietrzu. - U mnie zaspy nie mogą spowodować przerw w zaopatrzeniu.

Otrząsnęła się, krople wody poleciały prosto na mnie.

- Słyszysz, słonko? Telefon dzwoni.

Nie ruszyłam się.

- Zostaw, ja odbiorę. - Babka ruszyła do przedpokoju.. Po chwili była z powrotem i szeptała mi do ucha: - Jakiś męski głos pyta o ciebie. Ciekawe, kto to może być. Wiesz?

- Nie przedstawił się?

- Nie.

Podniosłam słuchawkę.

- Jerne VoltaAmpere, słucham.

- Cześć, mówi jermak. Zastanawiałem się, czy miałabyś czas pójść się czegoś napić, pięknie sypie śnieg. Powinniśmy się spotkać. W ważnej sprawie służbowej. Chciałbym porozmawiać o twoich bajkach.

- Aha.

- Nie powiesz chyba, że nie pijesz też herbaty albo że nie masz czasu? Dlaczego miałabyś kłamać?

- Rzeczywiście nie mam czasu. Ale na kilka godzin mogę przerwać pracę. Gdzie się spotkamy?

- Pokażę ci pewne miejsce.

- Dobrze. Będę na placu przed wydawnictwem.

- W porządku, za dwadzieścia minut.

Babka przez cały czas stała za moimi plecami.

- I co? Jakimi środkami zamierzasz zwiększyć swoją urodę?

- Nie zamierzam zwiększać swojej urody.

- To nie będziesz mu się podobać.

- A po co? Wcale tego nie chcę.

- Po co? Nie bądź taka drażliwa! Nie szkodzi, że wybrałaś mężczyzn. Będziemy się dzielić. Jest ich w bród i naprawdę warto się z nimi zadawać. Przede wszystkim są całkiem sporych rozmiarów, a więc mają wystarczającą ilość krwi. Poza tym są złożeni z tylu atrakcyjnych elementów, że najchętniej po wyssaniu krwi rozkładałabym ich na kawałki i przyglądała się. Pełne wargi, orzechowe, piwnozielone, jasnoniebieskie oczy, gęste, łukowate

brwi, szlachetne nosy, podgolone karki, falujące kosmyki, zgrabne uszy, kościste i długie palce, silne nadgarstki, owłosione i nagie torsy, umięśnione ramiona, uda. Nie interesują mnie ich charaktery ani wykształcenie, ale od ich ciał kręci mi się w głowie bardziej niż od truflí. A ten jakie ma oczy? Colore di nocciola, colore di mare?

Kiedy była mowa o mężczyznach, z babki zawsze zaczynał tryskać któryś z języków pochodzących od łaciny.

- Skąd mam wiedzieć? - Nie miałam nawet ochoty nic wyjaśniać.

- To wacz! Kiedy w agonii oczy wyjdą mu na wierzch, będziesz mogła się przyjrzeć. Ma ładne zęby?

- Nie obchodzi mnie to.

- Czy to nie absurdalne? - odparła babka ze śmiechem. - Co? Chcesz się napić herbaty? A może kawy?

Zrobię ci. W rurach jest pełno wody. Mamy mnóstwo herbacianych liści, mnóstwo ziaren kawy. A ty chcesz wyjść w największą śnieżycę. Nie powinnaś się ruszać ani na krok.

Zdażyłam się już ubrać. Trzasnęłam drzwiami i zbiegłam po schodach. Wolę poczekać na placu, w zimnie, niż wysłuchiwać tego wszystkiego. Cała rozmowa przypominała mi scenę, kiedy mimo złych przeczuć przedstawiłam babce swojego szkolnego kolegę, a ona za jego plecami mrugała i mlaskała, dając znać, że młodziak wygląda na smakowity kasek. Niemal spaliłam się ze wstydu.

Padający z fioletowego, rozświetlonego nieba śnieg pokrył mój płaszcz z końskiego włosia. Widok wymarłych ulic był tak ekscytujący, że chwilę podbiegałam kawałek - na ile pozwalało mi ciężkie okrycie. Dotarłam na miejsce przed czasem, ale nie musiałam zbyt długo czekać z wystawioną do śniegu twarzą, łapczywie połykając płatki. Wkrótce ze śnieżnej zawiei wyłonił się jermak.

Przeszkadzam ci jak cholera, co?

- A co teraz porabia NormaElektra?

- Elektra pracuje. Tłumaczy książkę o związkach partnerskich.

- Jaki będzie tytuł?

- "Dorosłe związki". Wspólnie napiszemy do mej przedmowę. Ale teraz chciałbym porozmawiać o tobie.

Cały czas zastanawiałam się, kiedy zamierza wyssać ze mnie krew. Domyślałam się jego zamiarów i opanowała mnie przemożna ciekawość, jak będzie to robił. Najchętniej sama położyłabym mu głowę na kolanach - gdyby nie ci wszyscy ludzie dookoła - żeby nie musiał się męczyć, dążąc do upragnionego celu. Ale mówiąc delikatnie, brzydziłam się go jak

szpinaku.

- Twój opór jest co najmniej dziwny, nie wydaje ci się, Jerne?

- Jaki znów opór? Siedzę tu z tobą. Nie tego chciałeś?

- Ja niczego od ciebie nie chcę. Jedyne tego, żebyś traktowała moje towarzystwo naturalnie.

- Po co?

- To było wrogie pytanie, nie czujesz? Jedną z moich fundamentalnych zasad mówi, że podstawą owocnego stosunku pracy są harmonijne stosunki międzyludzkie.

Co o tym sądzisz?

- Nie miałam zamiaru być wroga.

- Wiem. Ale jesteś spięta. Rozluźnij się. Mnie nie musisz się bać. Powiedz, dlaczego się boisz?

- Mówiłeś przez telefon, że chcesz pogadać o moich bajkach.

- Oczywiście. Twoje bajki bardzo mnie interesują.

- Naprawdę?

- W przeciwieństwie do Elektry, dostrzegłem w twoim rękopisie wyobraźnię. Czytając je, czułem, że jest w nich coś przejmującego. Trochę zmienisz styl, i można będzie je wydać.

Swoim pytaniem, jakie zmiany powinnam wprowadzić, spowodowałam lawinę nieoczekiwanych rozmiarów.

Na początku od razu wyszło na jaw, że Jermak jest ogromnym ~ wielbicielem Proppa i Bettelheima. Później była mowa o tym, że do symboli powinno się przywiązywać wagę. Co więcej, wagę należy przywiązywać wyłącznie do symboli i trzeba się uwolnić od realistycznych frazesów, żeby tekst wypełnił się głębokim znaczeniem. W ten sposób wstanę zauważona również w innych kręgach i zaistnieje w literaturze dla dorosłych.

- Poważnie. To się często zdarza. Mogę wymienić niezliczone przykłady.

- Ale ja chcę być bajkopisarką.

- Piękny plan, ale niezbyt ambitny. Bajkopisarze też są czytani i lubiani, ale prawdziwi pisarze są szanowani, cytowani, nagradzani...

- Herbata ci wystygnie.

- No więc popraw swoje bajki. Szkielet musi być tak surowy, żeby od razu rzucało się w oczy głębsze znaczenie.

Wierz mi, ja się na tym znam. I jak będą dobre, wydamy je. Czuję, że nam dwojgu dobrze by się razem pracowało: ja bym podrzucał pomysły, a ty byś je realizowała. Lubię mieć koło siebie pilnych i godnych zaufania pracowników. Wiesz, ja raczej jestem od

myślenia.

- Muszę już iść.

Wstałam z krzesła i uprzejmie podałam mu rękę.

- Dziękuję za zaproszenie.

- To ja dziękuję, że przyszedłeś - powiedział Jermak hipnotyzującym wzrokiem wpił się w moje bezsilne spojrzenie.

- Bardzo mi się podobasz - powiedział. Na moment osłupiałam. - Podoba mi się taka siła robocza.

Nie zareagowałam - z idiotycznym uśmiechem podążyłam w stronę wyjścia. Domyślałam się, że jestem dobrą siłą roboczą, ale nie sądziłam, że aż tak.

16.

Część piąta

Kiedy któregoś piątkowego popołudnia dotarłam do domu i chciałam przywitać się z babką, zobaczyłam, że sprząta histerycznie. Stała na krześle i pakowała do tekturowego pudła swoją kolekcję horrorów.

- Będziemy mieli gości - wytłumaczyła.

Zwróciłam jej uwagę, że jeśli ma zamiar wyrzucić obojętne lub ewentualnie pozytywne wrażenie, powinna raczej skupić się stojącej w rogu pokoju marmurowej trumnie, która służyła jej jako miejsce do drzemki za dnia. Zignorowała mnie. Nawet biorąc pod uwagę skłonność gości, aby z tytułów stojących na półkach książek wyciągać wnioski dotyczące charakteru gospodarzy, i tak nie rozumiałam, dlaczego właśnie książek trzeba się za wszelką cenę pozbyć, a nie innych upiornych rekwizytów.

Zasiadłam obok kartonu po bananach i zaczęłam grzebać w książkach. Być może Jest to całkiem wartościowa kolekcja, ale nie znam się na tym. Sporo jest wśród nich pierwszych wydań, jednak większość to tak zwane szmatławce. Egzemplarz Draculi Brama Stokera z 1897 roku, zaczytany do cna: babka zazwyczaj pęka ze śmiechu, jak potworny strach budził w całym towarzystwie jeden jedyny, na dodatek niezbyt rozgarnięty, wampir, i na koniec oznajmia, że jej ojciec w ten sam sposób wstał zlikwidowany przez "wredną bandę polującą na niewinne dusze".

Tak więc, biorąc pod uwagę moje specyficzne pochodzenie, ową klasyczną powieść grozy mogę czytać niczym zapis historii rodzinnej. Choć takie rzeczy - muszę przyznać - nie są czymś niezwykłym.

Naturalnie znalazłam też inne klasyczne dzieła, między innymi Carmillę Le Fanu, wiersze zebrane Coleridge'a - a wśród nich poemat Christabel - antologię z La Belle Dame Sans Merci Keatsa i Kroniki wampirów Anne Rice; wszystko to lektury dzieciństwa, które naturalnie miały wpływ na moją tożsamość. Piętrzyła się też wielka sterta łacińskich kodeksów o wampirach, wydrukowana gotykiem broszura dotycząca strasznego przypadku pewnego bawarskiego wilkołaka (ilustrowana drzeworytami) oraz liczne rozprawy naukowe na temat mołdawskich, węgierskich i czeskich krwiopijców.

Jednakże rzeczą, dla której faktycznie niepotrzebnie wycinano lasy, były owe kilometry strachu i grozy: na ich okładkach jakieś pindy, ubrane w porwane czarne koronki i nieudolnie zrobione na wampy, wymachiwały pejcjami. Zbieranie czegoś takiego mogę

tłumaczyć tylko i wyłącznie manią kolekcjonowania, w przeciwnym bowiem razie bezczeszczenie elementami pornograficznymi żywej tradycji, mającej mocne zaplecze literackie, uznałabym za niewybaczalne.

- Co to za gość? Po co przychodzi?

- Na kolację.

- On będzie jadł czy ty?

Babka machnęła ręką, w której trzymała zdjęty przed chwilą z półki gruby tom dowcipów o wampirach.

- To było bardzo śmieszne. Zapisz.

Best Vampire jokes. Nowe, poszerzone wydanie. Otworzyłam na chybił trafił.

- Babciu, a znasz ten, jak spotykają się dwa wampiry...

- Znam wszystkie.

Milczałyśmy kilka chwil, potem wyrwało mi się: - To kto przychodzi?

Babka spojrzała na mnie koso, z zaciśniętymi ustami.

- Mój mąż.

- Nie pamiętam żadnego twojego męża.

- Bo to jest mąż z dawnych czasów.

Zdziwiłam się. Ciekawe z jak dawnych? Bo na przykład kiedy w 1890 roku babka, wówczas rumuńska baronówna, bywała w londyńskim towarzystwie, zaręczyła się z jakimś angielskim arystokratą. Znam historię życia babki ze szczegółami właściwie na pamięć, ale ten epizod jest dla mnie wyjątkowy ze względu na to, że właśnie wtedy została przedstawiona Oscarowi Wilde'owi, którego ja, odkąd zrozumiałam znaczenie słowa "indecency", wielbię i uważam za wzór. Babka nazywała się wówczas Lamia Constantinescu. Notoryczna krwiopijczyni.

Tak więc miss Lamia brała udział w pewnym party, które swą obecnością uświetnił Oscar Wilde. Lady Everett, gospodyni przyjęcia, zachwycona urodą babki, chciała jej się przypodobać, przedstawiając ją zaszczytnemu gościowi. Słynny mistrz sztuki życia, człowiek dowcipny z zawodu, właśnie wymieniał myśli z grupką otaczających go młodych ludzi, kiedy podeszły dwie kobiety. Jak wspomina babka po ponad stu latach, Wilde był mężczyzną odpychającym, ale jego oczy błyszczały intrygująco. Lady Everett przedstawiła młodą damę pisarzowi, a następnie rzekła: - Mr. Wilde, to piękne stworzenie jest szczęśliwą narzeczoną. Za półtora miesiąca poślubi lorda Ruperta Cleany'ego.

Nie pamiętam, jakie nazwisko podała babka, to akurat jest nazwą marki środków piorących, ale pasuje jak ulał - podobno był to człowiek cnotliwy, czysty jak łąza.

Wtedy Oscar Wilde z ukosa posłał egzotycznej rumuńskiej piękności współczujące spojrzenie, poprawił sobie spinki do mankietów, żeby zyskać na czasie, i rzucił aforyzm: - Małżeństwo jest godnym zakończeniem pięknego związku, nieprawdaż, miss?

Lady delikatnie zmarszczyła brwi, ale miss Lamia roześmiała się nietaktownie z tego cudnego paradoksu.

I jak dotąd sądziłam, nigdy - niekoniecznie pod wpływem owej maksymy, lecz z przyczyn racjonalnych - nie wyszła za mąż. Zanim lord zdążył ją namówić na małżeństwo, babka znalazła odpowiednią wiktoriańską wymówkę. Oznajmiła, że od dawna nie jest już niewinną panienką, i to dla lorda Ruperta było za dużo - stanowczo za dużo. Tak więc prześliczna baronówna Lamia uciekła przed skandalem do Wiednia, gdzie następnie zbierała swoje ofiary jako Elżbieta Batory. Resztę już znamy:... wiener B/ut, wiener B/ut.

- No ale co to za mąż?

- Z lat trzydziestych.

- Ależ musi być stary!

- To jeszcze nic, ale jaka ja jestem nienaturalnie młoda, szczególnie biorąc pod uwagę, że byliśmy wtedy w jednym wieku.

- Babciu, wykaż trochę inicjatywy! Powiedz, że jesteś swoją własną wnuczką. Ale kto to taki? Nigdy mi o nim nie opowiadałaś. Kim jest? Jak się nazywa?

- Jerne, zamknij wreszcie buzię i zacznij się zbierać.

W weekend nie chcę cię tu widzieć. Może byś wreszcie wyssała komuś trochę krwi? Ja i bez ciebie mam problem.

Przychodzi mój jedyny mąż, twój dziadek, którego po raz ostatni widziałam w dniu naszego ślubu.

Jeśli o mnie chodzi, czułam, że temat absolutnie nie został wyczerpany, jednak babka nie zamierzała wdawać się w szczegóły. Tak więc nie protestowałam, obawiając się, że ze złości mogłaby mi wyrządzić jakąś krzywdę. Posłusznie spakowałam do plecaka czystą bieliznę na zmianę, trochę jedzenia i Kapitał Marksa - odkąd skończyłam trzynaście lat, planowałam, że przeczytam go w całości. Sądziłam, że w wydawnictwie z pewnością znajdę schronienie, przynajmniej na jedną noc.

Najwyraźniej pracoholizm całkowicie zawładnął Jermakiem. W piątek, o godzinie szóstej po południu, siedział jeszcze przy swoim biurku w wydawnictwie. Kiedy weszłam, odwrócił się w moją stronę razem z krzesłem.

- O, Jerne! Zapomniałaś czegoś? - zapytał dobrotliwie z uśmiechem, za którym kryła się kpina. - Może serca?

- A ty co? Tyle masz pracy? - naburmuszona, odpowiedziałam pytaniem na pytanie. Miałam nadzieję, że nie będzie chciał doczekać tu północy, kiedy wyrusza na łowy. Przecież w domu czeka na niego Norma-

- Elektra.

- Nie mam co się spieszyć. Elektra wyjechała na weekend do przyjaciółki. Ale widzę, że samotność mi nie grozi. - Zaśmiał się krótko, a w rozchylonych ustach błysnęły ostre kły.

- Zgadza się, zapomniałam czegoś. Poszukam i zaraz idę. - Przeszłam szybko do mniejszego pokoju i zaczęłam chaotycznie przekładać rzeczy na biurku. Wyjęłam z kieszeni portmonetkę i sprawdziłam, czy starczy mi pieniędzy na hotel.

- Dokąd się wybierasz z tym ogromnym plecakiem? - Jermak oparł się o futrynę i swoim ciałem zagroził przejście.

- Do babci.

- Tak? To twoja babcia jeszcze żyje?

- Jeszcze jak!

- A ty jesteś dobrą wnusią i jedziesz do niej w odwiedziny?

- Zgadza się.

- Ona jest taką prawdziwą babcią, która gotuje pyszne rzeczy i z otwartymi ramionami przyjmuje gości? Jestem taki samotny w ten weekend. Nie zabrałabyś mnie ze sobą?

Nie jesteś zbyt wybredny, bydlaku jeden. Babcie też...

Trafiłby swój na swego.

- Niestety nie. Babcia nie umie gotować i nienawidzi ludzi. Tylko moją obecność jest w stanie jakoś znieść.

- A więc jedziesz odwiedzić babunię. Pewnie zawozisz jej trochę ciasta i wino.

- Skąd. Babcia ma cukrzycę.

Jermak zmarszczył czoło i oblizał zęby. Miałam zamiar się przeżegnać. Gdybym tylko wiedziała, jak to się robi.

- A ty? Zostajesz jeszcze w pracy? - zapytałam z udawaną obojętnością, i zarzuciłam na plecy swój dobytek.

- Sam nie wiem, może jeszcze z godzinkę... Myślałem, że ty też zostaniesz... Ale tu nie ma wygodnego łóżka... Nie lubię tu nocować - Jermak powoli cedził słowa.

- No to ja idę. Babcia czeka.

- Pozdrów babcie ode mnie. 'Życz jej zdrowia - powiedział Jermak i zszedł mi z drogi, żebym się zmieściła z plecakiem.

- To widzimy się w poniedziałek.

- Do zobaczenia, Jerne.

Miałam zamiar przeczekać, aż Jermak wyjdzie, i zakraść się z powrotem. Nie żebym nie miała pieniędzy na hotel. Nie, pieniądze nie stanowiły problemu. Raczej miało to być moje nieśmiałe szukanie przygód: co by było, gdybym godzinami stała schowana za słupem ogłoszeniowym, a potem wjechała windą na trzecie piętro. Gorączka piątkowej nocy. Przywarłam się zatem do słupa i obserwowałam uliczny zgiełk. W rzeczywistości mało kto tędy chodził, dopiero koło siódmej wieczorem pojawiła się grupa obrońców zwierząt, niosących zjedzone przez mole stare futra oraz kilka siatek pojemników z farbą emaliową - zapewne zmierzali w stronę króregoś z salonów kuśnierskich, znajdujących się w centrum.

O co właściwie chodzi tym obrońcom zwierząt, zastanawiałam się, patrząc na ich wygodne skórzane buty.

Moim zdaniem los zwierząt był naprawdę zły w czasach, kiedy wśród perwersji seksualnych na pierwszym miejscu znajdowała się sodomia. Krowy i ogiery nawet na chwilę nie mogły zmrużyć oka, obawiając się własnych gospodarzy. Domyślam się, że zwierzęce dusze wtedy właśnie zrobiły się takie twarde, jak - gwoli lekkiej prowokacji - opisują to w późnośredniowiecznych i wczesnonowożytnych opowieściach, na przykład Francis Bacon, lub też autorzy greccy i rzymscy.

Rozmyślenia nad powszechną dobrocią zwierząt pochłonęły mnie w nadchodzących godzinach, z czego można wnioskować, jak bardzo się nudziłam. Światła na górze zgasły dopiero około godziny dziesiątej. Po kilku minutach zobaczyłam wychodzącego jernaka. Oczekałam jeszcze chwilę - na wypadek, gdyby przyszło mu do głowy po coś wrócić - i weszłam do budynku. W czasie, gdy winda ze zgrzytem wjeżdżała na wybrane przeze mnie piętro, wydostałam pęk kluczy. Pod drzwiami nasłuchiwałam jeszcze przez chwilę, potem śmiało włożyłam klucz do zamka. Ostrożnie poruszałam się w ciemności, szukając po omacku kontaktu. Wokół lustra w przedpokoju było trochę światła - od odbijających się w nim lamp ulicznych. Badałam ścianę, ale nie udało mi się znaleźć włącznika.

Cofnęłam się, żeby zamknąć drzwi, które ciągle jeszcze były otwarte na oścież. Nagle poczułam na szyi czyjś oddech. Krzyk uwiązł mi w gardle. Próbując obrócić się o sto osiemdziesiąt stopni, żeby stanąć twarzą w twarz z intruzem, prawą ręką zrzuciłam lustro. Rozbiło się w drobny mak. Jermak roześmiał się bezdźwięcznie, potem przybrał poważny wyraz twarzy i zaczął badać moją dłoń. Ja też na nią spojrzałam. W miejscu, którym uderzyłam w lustro, pojawiło się kilka kropel krwi. Jermak chwycił mnie za nadgarstek, podniósł moją rękę do ust i zachłannie, z rozkoszą, spijał sączącą się krew. Od dotyku jego delikatnie szorstkiego języka przeszedł mnie dreszcz i zadrzałam jak żaba Galvaniego.

Mimo to z ciekawością czekałam, co będzie dalej. Jermak nagle puścił moją rękę. Zrobił krok do tyłu, po czym schylił się, żeby pozbierać kawałki szkła.

- Co ty tu robisz?

- Babci nie było w domu... a siostra ma gościa... chciałam tu przenocować. - Choć mówiłam prawie prawdę, wydawałam się niezbyt pewna siebie.

- A więc mieszkasz z siostrą? Nie wiedziałem.

A ja... - Zbierał drobinki na starą gazetę. -... myślałem, że przyłapałem złodzieja. Przyszedłem po to. - Zabrał z biurka portfel. - Dopiero w sklepie przy kasie zorientowałem się, że go tu wstawiłem.

Nasze spojrzenia znowu się spotkały. Na czubku mojego palca. Opuściłam wcześniej rękę i na podłodze w małej kałuży zebrała się rubinowoczerwona krew.

- Chcesz chusteczkę? - rzucił Jermak obojętnym głosem. - Elektrze powiem, że to ja zbiłem lustro, żeby nie potrąciła ci za nie z pensji.

- Wszystko mi jedno.

- Zetrzyj tę krew, dobrze? Jak zaschnie na parkiecie, wstaną brzydkie ślady.

- Oczywiście.

- To ja idę.

- To cześć.

- Będziesz tu jutro?

- Nie. Idę do babci.

- Tak jak dzisiaj?

- No tak...

- Dobranoc.

- Dobranoc.

Wyszedł. Z okna obserwowałam, jak idzie pustą ulicą.

Potem podeszłam do umywalki i starannie zmyłam z palca szczypiącą wampirzą ślinę i własną, zaschniętą już krew.

Ssąc otwartą jeszcze ranę, chodziłam w kółko po pokoju.

Muszę przyznać - trochę nerwów mnie to kosztowało.

Było blisko... Rozważałam swoje szanse: życie czy śmierć.

Ponieważ z czystej kalkulacji wyszło mi, że większe zło nie mogłoby mnie spotkać, opanował mnie spokój.

18.

Tylko liść zielonej pietruszki, osierocony na porcelanowym talerzu, i pusta filiżanka

zdradzały, że miałyśmy gościa. Odkąd pamiętam, to był chyba trzeci taki przypadek.

- Co u dziadka? - zapytałam babkę, która gapiała się przed siebie z miną najedzonej kobry.

- Teraz, kiedy pokroiłam go na kawałki i przepuściłam przez elektryczną maszynkę do mięsa, nie odczuwa już, biedak, ciężaru istnienia.

- Ależ babciu! Coś się stało? Nigdy nie robiłaś podobnych rzeczy! - Dopiero wtedy zauważyłam, że twarz babki jest całkiem pozbawiona życia. Wiem, że zbyt wysoko stawiałabym poprzeczkę, gdybym od żywego truoła wymagała, by tryskał życiem, jednak nawet w porównaniu ze zwyczajnym trupio bladym kolorem, jej pergaminowożółta cera budziła niepokój. W końcu to rodzina.

- Jestem wyczerpana. Całą noc mełłam mięso. - Babka odsunęła trumnę na bok, a pudła z książkami wepchnęła pod łóżko. - Nie chce mi się teraz robić porządku.

Zostałam na swoim miejscu, a nuż coś mi jednak opowie. Po babce widać było, że chce mi się zwierzyć - nikogo innego nie miała pod ręką.

- Wiesz, Jerne, jak go poznałam, był piękny, niczym młody Ganimedes, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, aż mi ślinka pociekła. Wysoki, szczupły, ale umięśniony, miał jasną cerę, różowe usta i oczy tak niebieskie, że aż mi się słabo zrobiło. Idąc ulicą, oszłamiająco kołysał biodrami, a promienie słońca rozświetlały jego brązowe loki. Był bogatym paniczem, studiował na uniwersytecie archeologię i orientalistykę. Stał się moją obsesją. Byłam na każdych regatach wioślarskich, meczu tenisowym, premierze teatralnej, balu, wykładzie uniwersyteckim, wszędzie, gdzie można go było spotkać. Przez rok robiłam na niego nagonkę, i choć mój doskonały wygląd wywarł na nim duże wrażenie, efekt końcowy był żalostny: poprosił mnie o rękę. W nadziei, że w ten sposób uda mi się do niego zbliżyć, powiedziałam "tak". Zaraz po ślubie wyjechał na wykopaliska do Delf, niedaleko świątyni Apollina. Nigdy więcej go nie widziałam. Ale wstawił mi po sobie pamiątkę.

Ośmielona niespotykaną wylewnością babki zapytałam:

- To był chłopiec czy dziewczynka? Mam na myśli tę pamiątkę.

- I jak się postarzał, mój piękny Narcyz! Coś straszne. Na dodatek chciał zmusić swoją niegdysiejszą żonę do podpisania jakiegoś dokumentu, że ta zrzeka się praw do dziedziczenia, tak by mógł w swoim nowym testamencie wyznaczyć innego spadkobiercę. Powiedziałam mu, że osoba, której szuka, od dawna nie żyje, a ja jestem jej wnuczką z drugiego małżeństwa, i nic mi nie wiadomo o tym, że babka była już raz mężatką, zanim mój ukochany dziadek się z nią ożenił. Obiekt moich dawnych pragnień skurczył się żalostnie. Człapał o lasce, podczas jedzenia w ustach kłapała mu sztuczna szczeka; był przygłuchy,

zdziecinniały, wyłysiały, ciało miał całe pomarszczone. Gdyby został ze mną, cieszyłby się życiem wiecznym. Jak pięknie do siebie pasowaliśmy! Weselnicy mdleli z zachwytu; tak wspaniałej pary nikt jeszcze nie widział, jak świat światem. Mam gdzieś ślubną fotografię, chyba jej nie wyrzuciłam, na której, w wianku mirtowym na świeżo zakręconych lokach, przytulałam się mocno do jego szerokiego torsu; wszyscy klaskali, taka z nas była cudna para.

A na drugi dzień rano mnie opuścił.

- Smutna historia.

- Masz rację. Ale mój mąż wrócił do mnie, i teraz jest tam, gdzie jego miejsce. W zamrażalniku. Na razie jeszcze nie podjęłam decyzji o jego późniejszym wykorzystaniu.

Ale mam kilka pomysłów.

- Szkoda, że nie udało mi się choć raz z nim spotkać.

- A po co? Był brzydkim staruchem; na oko sześćdziesiąt kilo kości, mięsa, skóry i wnętrzności. Zobacz! - Babka wyjęła z kieszeni złoty pierścień, był jeszcze trochę lepki, więc wytarła go starannie brzegiem szlafroka w ciemnozielone liany.

- Nie przeszło przez maszynkę. Uczylaś się, Jerne, łaciny?

- Nie.

- Coś jest na nim wygrawerowane po łacinie. To może być rodzinna dewiza. Wiesz, twój dziadek pochodził z jakiegoś szlacheckiego rodu.

- Jak 90% ludności węgierskiej.

- Ale ten był jeszcze bardziej szlachecki. Dziadek był prawdziwym arystokratą. Jednym z niewielu wybranych.

Proszę, może być twój.

Rzuciła mi pierścień. Złapałam go i zdziwiłam się, jaki jest ciężki. Przeczytałam napis: Anima muliebris in corpore virili inclusa. Przymierzyłam na palec, i choć całkiem spodobał mi się pomysł posiadania rodzinnego klejnotu, zwróciłam go babce.

- Ty go zatrzymaj. Ja nie noszę pierścionków i dla tego staroświeckiego monstrum też nie zrobię wyjątku.

- Trudno. Najwyżej dam go do przetopienia.

Byłam zmęczona, poza tym nie miałam ochoty jeszcze i w weekend zmuszać się do życia. Osunęłam się więc na łóżko i obudziłam dopiero następnego dnia rano. Niedzielne przedpołudnie. Babka zazwyczaj przesiaduje wtedy w swoim pokoju - zaciąga zasłony i ogląda filmy o wampirach. Śmieje się do rozpuku, świetnie się bawi i koniecznie chce, żebym dotrzymywała jej towarzystwa - komentuje wtedy filmy, tłumacząc mi, dlaczego Bela Lugosi jest lepszy niż Boris Karloff - ale ja jakoś nie przepadam za takim spędzaniem czasu.

- To ma być wampir? Chyba mu się tylko wydaje.

Śmieszne. - Tak wyglądały rozpaczliwe starania babki, żeby podtrzymać rozmowę. Twardo opierałam się w sąsiednim pokoju.

Siedziałam na łóżku, po turecku, i rozmyślałam nad względnością mojego niedzielnego złego samopoczucia.

Dokuczały mi nieprzyjemne mdłości, jednak biorąc pod uwagę, że w danej chwili cały chrześcijański świat modlił się o unicestwienie zła, nie było najgorzej. Po dłuższym namyśle doszłam do wniosku, że z pewnością pomoże mi świeże powietrze. Założyłam płaszcz, czapkę, szalik i rękawiczki, i właśnie kładłam dłoń na klamkę, kiedy usłyszałam, że babka wydaje jakieś dziwne dźwięki. Charczała wysokim głosem, co może się wydać niedorzeczne, ale wcale tak nie było. Zaniepokoiło mnie to. Zajrzałam do jej pokoju. Bez pukania.

- No, co się dzieje? - spytałam.

- Zgnił mi mały palec.

- Niemożliwe.

- A jednak. Skaczę sobie po kanałach, na jednym z nich akurat była transmisja mszy i na moment zapatrzyłam się na freski w kościele, były przepiękne, ten barokowy przepych, a kiedy podniosłam pilota, żeby zmienić program, mały palec wstał mi na kolanach. Sama zobacz!

Na jej dłoni leżał samotny mały palec.

- Tak szybko szerniał?

- Wiesz, w moim wieku... Widzisz? Węgry znów zwróciły się w stronę Boga. Co nas czeka, kiedy nadejdzie Boże Narodzenie i ludzie przez trzy dni będą się darzyć wzajemną miłością oraz tęsknić za dobrem?

- Nic dobrego.

No właśnie, w święta miłości takie ciemne moce jak my zawsze dostają po głowie. Bez wątpienia mamy jakieś konszachty z piekłem, w notesie babki figuruje nawet numer telefonu samego szatana, choć nie sądzę, żeby często ze sobą rozmawiali. Ma ten numer tylko na wszelki wypadek.

- Chyba już nie przyrośnie. Mój wdzięk znacznie na tym ucierpi.

- Nie przejmuj się. To w końcu tylko mały palec... Pa, babciu! - Pomachałam na do widzenia. - Idę na spacer.

Byłam już w drzwiach, kiedy babka zawołała za mną: - Jerne!

- Tak?

- Wyjedźmy na święta na Syberię! Pamiętasz, jak miło było w zeszłym roku?

- W porządku.

Rzeczywiście było miło! Odkąd skończyłam czternaście lat, co roku tam właśnie spędzamy Boże Narodzenie. Bo na Syberii śnieg to jest śnieg, a nie zamrznięta woda święcona. Nie to, co w Rzymie. Kiedy papież pomachał z balkonu, zimny wiatr, niczym kwas, wżarł się w wyzywające ciuchy babki - wszystkie nadawały się do wyrzucenia.

- W takim razie zrobię rezerwację - ekscytowała się babka.

- Dobrze. Pa, babciu. - Chciałam już wreszcie wyjść.

- Zaczekaj! - Babka wybiegła z pokoju. - Idę z tobą. Poszukamy jakiegoś prawdziwie bezbożnego przybytku w tym mieście.

Część szósta

20.

Powodem mojego osłabienia musiała być utrata krwi, syberyjska zima zawsze bowiem była dla mnie czymś wspaniałym: szaleńcza jazda motorowymi saniami i otoczenie ludów pierwotnych. Nasze zimowe lokum, do którego od lat powracałyśmy, składało się niezmiennie z dziesięciu domów i przez tych nielicznych, którzy wiedzieli, że takie miejsce w ogóle istnieje, nazwane wstało centrum syberyjskiego ruchu turystycznego.

Mimo to szybko przejrzałam prawdziwe (egoistyczne?) pobudki babki. Nawet uwzględniając, że Boże Narodzenie jest dla nas niezbyt przyjemne, mogłybyśmy je przecież spędzać w jakimś popularniejszym kurorcie. Babce jednak marzyła się świeża krew reniferów. Uznałam to za zrozumiałe, gdyż jak wiadomo, krew to życie i siła; miałam też świadomość, że choć mnie osobiście na myśl o tym nie cieknie ślinka, to jednak tutaj krew reniferów uznawana jest za wielki przysmak, podobnie jak w Korei wyszukane potrawy z psów. Zresztą nie trzeba szukać tak daleko: węgierska gastronomia może się poszczycić podobnymi atrakcjami (galareta i flaki, dobrzy znajomi).

W dodatku babka od razu zapragnęła renifera białego, bo to coś wyjątkowego, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy różnica między reniferem białym a tym w kolorze ziemi jest porównywalna z różnicą między norweską a polską konserwą z dorsza. Na moje argumenty, że śnieżnobiałe osobniki zdarzają się niezwykle rzadko i że nawet tubylcom udaje się na nie trafić tylko po długotrwałych poszukiwaniach - albo dzięki łutowi szczęścia - i że taki sukces jest prawdziwym znakiem z niebios, który w naszej sytuacji nie byłby rzeczą pożądaną, babka uspokoiła się i zażądała zwykłego, młodego, wypasionego renifera.

Już drugiego dnia po przyjeździe od samego rana nie dawała mi spokoju, namawiając mnie, żebym - zamiast wylegiwać się na metalowym łóżku w naszym domku z bali, przy dźwiękach koncertu życzeń, nadawanego przez Wolną Europę - ustrzeliła jej renifera.

- Przecież ja nie znam rosyjskiego! - zaprotestowałam.

- Jakoś nie widzę związku między tą luką w twoim wykształceniu a możliwością upolowania zwierzyny.

- Poza tym do reniferów się nie strzela - dodałam, ponieważ niedawno zakończyłam lekturę niezwykle interesującej książki, poświęconej technikom polowania na renifery. - Tylko się je ogłusza.

- Najpierw ogłusza, a potem strzela. Tyle to i ja wiem.

- To byłoby okrutne. Ja wiem lepiej: najpierw ostrożnie osacza się zwierzę, zniecka zarzuca mu na szyję pętlę, a potem uderza w głowę, dopóki nie straci świadomości.

- Tak jest rzeczywiście dużo bardziej humanitarnie.

Ale z tym poradziłabyś sobie bez konieczności wymówienia choćby jednego słowa po rosyjsku.

- Tak, babciu, tylko że Samojedzi duszą renifery za pomocą arkana.

Po upływie godziny nadąsana brnęłam w śniegu po pachy, opatulona od stóp do głów, z sześciometrową liną w jednej dłoni i pokaznym drągiem w drugiej. Co za ofiarność! Pewną pociechę stanowił fakt, że babka kroczyła zaraz za mną, wraz z miejscowym łowcą reniferów, i starała się przywołać obejmującą około stu słówek znajomość rosyjskiego, nabytą w roku 1912 podczas petersburskich białych nocy.

- Kochana babciu, słyszałaś może, że na takim ziąbie nos zamarza, a potem zwyczajnie odpada? - rzuciłam za siebie, z całą premedytacją, dobrze pamiętając, jak trudno było się babce pogodzić z utratą małego palca. Jeszcze niedawno sama ją przekonywałam, że z dziewięcioma palcami też można żyć pełnią życia, teraz jednak chciałam, żeby poczuła się tak samo nieprzyjemnie, jak ja w pożyczonych walonkach z protektorem, rozmiar czterdzieści.

W tym momencie poczułam nagły ból: w mym sercu obłuda, na nogach o numer za małe buty.

- Jakieś małe zwierzę futerkowe - tłumaczyła babka słowa miejscowego myśliwego. - Nie rozumiem, co mówi, domyślałam się tylko, bo pokazywał na swoją futrzaną czapkę.

Więc to tak. Oślepią blaskiem śniegu, wpakowałam się w pułapkę zastawioną na całkiem inne zwierzę, przeznaczone na czapkę. W czasie, kiedy babka opatrywała mi nogę, udało mi się złapać Głos Ameryki. Byłam ledwo przytomna, zardzewiały potrzask przebił mi żyłę. Bałam się, że to już koniec. Ojej, co ze mną będzie, ojej.

- No więc czego się tam spodziewali?

- Czegoś włochatego, co niechętnie dziurawią ze względu na skórę.

Czyli nie mnie. Nie szkodzi, przynajmniej przez chwilę mogłam się poczuć jak zwierzę futerkowe.

21.

Z Syberii wróciłyśmy na początku stycznia. Pierwszego dnia nie miałam siły wygrzebać się z łóżka. Zadzwoeniłam do wydawnictwa i poprosiłam NormęElektrę o pozwolenie na wychorowanie się. Babce nic nie mówiłam - nie chciało mi się wysłuchiwać

kazania, dowodzącego, że krew jest życiodajnym płynem, i popierającego spożywanie świeżej krwi ludzkiej. Nie chciałam jej wołać, ale już stała w drzwiach. Można wprawdzie kwestionować wszechwiedzę wampirów, ale babć - nigdy.

W rękę trzymała fińską książkę kucharską, przeglądając ją z entuzjazmem.

- Szukam przepisu na krwawe naleśniki. Był tu też chleb żytni z krwią renifera.

- Nie wspominaj przy mnie o krwi renifera.

- Z pewnością ma ogromne wartości odżywcze.

W najlepszym wypadku cierpisz na zwykły niedobór żelaza, na który pomoc może świadome odżywianie i kuracja farmakologiczna, ale sama wiesz, że tu chodzi o coś znacznie poważniejszego, co wymaga bardziej radykalnego rozwiązania. Co sądzisz o psychoterapii?

- Jako dyscyplinie naukowej czy motywie literackim?

- Mam na myśli to, żebyśmy poszukały jakiegoś sympatycznego specjalisty, który poprzez terapię pomógłby ci pokonać twoje opory związane z wysysaniem krwi.

- Skąd wiesz, że mam opory?

- Znam się na tych sprawach. Ja też chodziłam na coś takiego. W latach trzydziestych panowała wielka moda, każdy poddawał się psychoanalizie, i pomyślałam, że ja też spróbuję.

- I spróbowałaś.

- To było w Budzie, prywatna praktyka doktora nie-

- wiemjakozwał. Jakieś żydowskie nazwisko. Miałam wtedy adoratora z podchorążówki, lekarza wojskowego, on mi powiedział, że Żydzi potrafią czerpać korzyści nawet z chrześcijańskiego poczucia winy. Być może denerwowało go, że to on musiał płacić za sesje. Był wysokim, przystojnym mężczyzną - mam na myśli psychiatrę i tylko dlatego chodziłam do niego tak długo, aż dwa lata, przez dwa lata dwadzieścia pengó tygodniowo. Podchorąży jedynie przez miesiąc płacił rachunki, bo tylko przez miesiąc piłam jego krew; a on nawet tego nie poczuł, wyobrażasz sobie, żołnierz, musiał być zahartowany. Zawsze powtarzał, że ten kraj wiele wycierpiał, a potem nagle skończyła mu się krew.

- A psychiatra? Co mu o sobie opowiadałaś?

- Wszystko ze szczegółami: jak wybieram mężczyzn, jak ich uwodzę, jak wbijam zęby w skórę ich szyi. Widzisz, na takiej terapii wszystko wygląda całkiem inaczej. Praca psychiatry polega przede wszystkim na tym, żeby niczemu się nie dziwić. Na specjalnych zajęciach praktycznych uczy się ich, jak mają zachować kamienną twarz, kiedy chory mówi im na przykład: "Od dwustu lat żywię się ludzką krwią". Poza tym zawsze twierdziłam, że to wszystko tylko mi się śni. Bardzo interesujące, niezwykle interesujące, mówił, proszę mówić dalej, i napisał artykuł o moim przypadku. A więc: poszukamy specjalisty, pochodzisz do

niego trochę, opowiesz mu o swoim dzieciństwie, tylko tak oględnie, i zobaczysz, od razu poczujesz się lepiej.

- Myślisz, że to pomoże?

- A masz wybór?

- No dobrze, niech będzie.

- To teraz usmażę ci krwawe naleśniki. Złapię kilka sympatycznych tłustych szczurów na klatce schodowej...

Musiałam mieć przerażoną minę, bo babka zaraz dodała: - Dzieciaka z piaskownicy nie mogę przecież wyciągnąć! Tak w biały dzień...

22.

Opisałam swoje cierpienia szczegółowo, ale nie chcę nikogo zanudzać. Zdradzę tylko, że odczuwałam nieopisany ból całego ciała, od pięt aż po sam czubek głowy. Od środka trawiła mnie trzydziestosiedmiostopniowa gorączka, od czasu do czasu plułam krwią - do białego wiadra, żeby pokazać babce, w jak krytycznym stanie się znajduję. (Sądziłam, że skłoni ją to do zajęcia się mną). Dopelnieniem wszystkiego były nieustające mdłości, nie wspominając o ranach ciętych.

Początkowo zamierzałam stać przyoknie i przez lornetkę obserwować populację dzielnicy, jednak po chwili doszłam do wniosku, że nie tylko w całej mojej dzielnicy, ale na całym świecie nie ma człowieka, dla którego skłonna byłabym opuścić łóżko. W ogóle pomysł ten wykiełkował chyba za sprawą jakiegoś pionierskiego przymusu organizowania wolnego czasu albo też z gnijących w moim umyśle resztek pozytywnego myślenia. Tak więc sztywno gapiałam się na strony książek, tudzież w wybrane punkty na ścianie, dopóki nie nastał wieczór. W końcu zebrałam się w sobie i wstałam, żeby opierając się łokciami o parapet, obserwować, jak babka ześlizguje się na dół po rynnie od podwórza. Klęła potwornie, gdyż w szpilkach i wieczorowej sukience ze złotej lamy ciężko jest chodzić po blaszanej rurze, nawet jeśli można sobie pomagać, przytrzymując się uschniętego bluszczu. Ale tradycji musiało stać się zadość.

Po upływie godziny stwierdziłam, że człowiek ogarnięty apatią łatwo może paść ofiarą szkodliwych ideologii, i postanowiłam nie zostawać w domu - i tak nic już nie widziałam w ciemnościach. A może by się trochę rozerwać? Knajpa, w której grał zespół Samiego, mieściła się dwie przecznice od nas. Jakoś udało mi się tam dowlec.

Energicznie otworzyłam drzwi, zamówiłam szklankę soku pomidorowego i niemal położyłam się na barze, tak ciążyła mi głowa. Muzyki nie było słychać.

- Cześć, Jerke!

- Jerne. Mam na imię Jerne. - Tyle udało mi się wydusić na leżąco, ale musiałam też otworzyć oczy. Chociaż i tak wiedziałam, że to Sami. W rękę trzymał kufel z piwem i czuć było od niego mdły zapach, od którego przewracało mi się w żołądku. Splunęłam. Jak już wspomniałam, bardzo źle się czułam.

- Jesteś urocza, Jeri.

Na próżno starałam się zachowywać jak osoba dobrze wychowana - ale nie wychodziło mi, siedziałam więc bezwładnie, z poślizgniętą twarzą.

- Co cię tak wykończyło?

- Być może mam anemię czy coś takiego.

- Zamów sobie Bloody Mary. Albo... - Sami ze śmiechem nadstawił swoją apetyczną białą szyję -... wysij mi trochę krwi!

Przez kilka chwil jak zaczarowana gapiłam się na prześwitujące przez cienką skórę żyłki, niczym zabawkowy wampir ze sztuczną szczęką. Nie oglądałam zbyt wielu filmów, jednak od tego widoku coś we mnie drgnęło.

Mówi się, że w dzisiejszych czasach to nie życie wpływa na sztukę, lecz odwrotnie. Uśmiechnęłam się i oblizałam wargi.

- Szkoda, że dopiero teraz wpadłaś, Jerne, pół godziny temu skończyliśmy grać, a ja od razu się uwalilem, więc właściwie nie bardzo da się ze mną pogadać.

- Szkoda.

- Wiesz, był taki okres w moim życiu, kiedy nie jadłem mięsa, nie piłem kawy, nie paliłem i nie spożywałem alkoholu.

- To bardzo chwalebne.

- Ale szczęśliwe dzieciństwo kiedyś musiało się skończyć...

- I nastąpiła brutalna dorosłość.

- Zgadza się. Teraz już niczego sobie nie odmawiam.

- W taki sposób nie będziesz zbyt zdrowy, kiedy umrzesz. Lepiej bierz coś na uspokojenie.

- Tego mi trzeba. Stawanie się gwiazdą daje mi w kość. Niedługo wchodzimy do studia, będziemy nagrywać płytę. Mamy kontrakt z pewną niezbyt dużą, ale ambitną wytwórnią. My też jesteśmy ambitni. - Łyknął piwa. - Trzeba by zmienić nazwę zespołu. Coitus Interruptus jest wprawdzie bardzo śmieszny, ale wytwórnia wolałaby coś subtelniejszego. Co byś powiedziała, na przykład, na Animal Triste.

- Słuchaj, Sami, ty jesteś po filologii klasycznej?

- Nie, ale coś niecoś zapamiętałem z liceum.

Siedzieliśmy na podłodze w męskiej toalecie, plecami opierając się o kafelki. Kilka minut temu Sami poświęcił jedną ze swych dymiących pałeczek dla dobra wspólnej zabawy. Po kilku machach mój przyjaciel wypalił prosto z mostu: - Jak to jest, że nikogo nie masz?

- Ty chyba też nikogo nie masz, prawda?

- To całkiem coś innego. To jest stan przejściowy.

Wkrótce zostanę słynną gwiazdą rock'n'rolla, a dziewczyny będą mi rzucać na scenę swoje czarne koronkowe stringi. Po koncercie wyjdę przed garderobę do wyczekujących w ekstazie groupies i palcem wskażę kilka z nich: ty, ty, i ty, pójdziecie ze mną.

- Aż trzy?!

- Dlaczego nie? Carpe diem, czy jakoś tak. Żyj chwilą. Gdzie jest napisane, że chwila ma być tylko jedna?

- Nigdzie.

- No właśnie.

- Ale teraz dlaczego nie masz?

- Kobiety?

- Kobiety.

- Ponieważ buduję swoją karierę, wiesz przecież. I teraz na tym się koncentruję. Nie mam czasu na kobiety.

- Rozumiem.

Zamilkliśmy, kiedy z sąsiedniej kabiny dobiegło bulgotanie.

W usta wcisnął mi swój język, a dłoń między nogi. Naturalnie mogłoby być na odwrót. Byłam zdumiona. Dlaczego nie robię tego częściej? Podobało mi się to błyskające niczym flesz funkcjonowanie mózgu, w szczególności zaś momenty, w których zdawało mi się, że nie istnieję.

Jednakże w jednym z przeblysków uświadomiłam sobie, że moim pierwotnym celem jest picie krwi. Szybko podjęłam decyzję, podniosłam się, szyja Samiego była akurat odsłonięta, zdążył już zdjąć koszulę. Po co, po co, po co.

Padłam na wznak na łóżko. Ruchliwe ręce Samiego pracowały nade mną.

- Przyszło ci do głowy, kiedy ugniataliśmy błoto w piaskownicy, że przelecę cię, kiedy już będziemy duzi? - dyszał, tracąc dech, gdy usilnie próbował zdjąć ze mnie ubranie, a ja leżałam bezwładnie, niczym worek kartofli.

- O, gdyby tak UFO widziało, co ja teraz z tobą zrobię! - krzyknął Sami, przewracając mnie na brzuch.

W tym momencie zgasły wszystkie światła. Szkoda, bo poza wyssaniem krwi

chciałam też wypróbować stosunek seksualny - na ścianie toalety przeczytałam, że najlepszą rzeczą na świecie jest kopulacja na haju, i koniecznie chciałam się dowiedzieć, czy rzeczywiście ma to zbawienny wpływ na migreny i podły nastrój.

Okolo trzeciej nad ranem zaczęłam dawać oznaki życia i stwierdziłam, że znajduję się w stanie niemal nienaruszonym. Podobnie Sami, który w pewnym momencie zrezygnował z rozbierania mnie. Po zlokalizowaniu kilku charakterystycznych szczegółów rozpoznałam własny pokój, swoje rzeczy, i udałam się do łazienki, żeby ugasić pragnienie. Natknęłam się na babkę, która zaczęła się na mnie drzeć, że jej wnuczka nie będzie piła krwi jakiegoś narkomana, co to w ogóle ma znaczyć. Wtrąciłam, że zapach, który wypełnia mieszkanie, to tylko marihuana.

- I to samo ma we krwi.

Rozpoczęliśmy pozbawioną sensu dyskusję na temat szkodliwości środków odurzających, którą zakończyły pierwsze promienie wschodzącego słońca. Wtedy to bowiem babka zaproponowała, żebyśmy pozbyły się mojego gościa. Natychmiast. Wyciągnęliśmy z garderoby zjedwiny przez mole perski dywan i zawinęliśmy w niego śpiącego Samiego. Wspólnymi siłami wytargałyśmy go na ulicę i porzuciłyśmy kilka domów dalej, w bramie. Tego tylko brakowało, żeby się obudził w naszym mieszkaniu.

Na ścianie oprawiony portret Vlada Tepesa, nie wspominając o innych rzeczach.

- Nie zamarnie? - zapytałam, wlokąc się o świecie w stronę domu.

- Skąd! - machnęła ręką babka, ale czułam, że wezbrała w niej nowa fala pretensji.

- O co chodzi?

- Przypominasz sobie, że bym kiedykolwiek przyprowadziła do domu którąś ze swoich ofiar? - rzuciła. - To jest jedna z głównych zasad, coś w rodzaju "w łóżku się nie je" w tradycyjnym wychowaniu.

- Ale tylko dlatego nie jemy, żeby w nocy nie kłuły nas okruszki.

- I tylko dlatego.

Hans Christian Andersen nie cieszył się powodzeniem u kobiet. Śmiały się z niego za jego plecami i nie chciały z nim tańczyć. Nawet Jenny Lind, szwedzki słowik, nie traktowała go poważnie jako mężczyzny, choć miała o nim wysokie mniemanie jako człowieka. Ale spokojnie, nie trzeba się martwić, gdyż - jak donosi autor jego najnowszej biografii, którego serdecznie pozdrawiam i przekazuję słowa uznania za jego sumienną pracę - wielki bajkopisarz regularnie się masturbował, odwiedzał też domy publiczne. Dobrze wiedzieć. Mam wiele oryginalnych spostrzeżeń na ten temat, jednego jestem zaś całkowicie pewna: kobieca solidarność niejednemu mężczyźnie zniszczyła życie. Po prostu kobiety ustaliły, że

H.Ch. Andersen jest żaloszny, i od tej pory facet, czego by nie zrobił, i tak nie miał żadnych szans. Kobiety. Wredna mafia, ja wam to mówię. Biedny, słaby Andersen. Gdyby żył, powiedziałabym mu: - Świat nie składa się z samych kobiet. Nie przejmuj się nimi, przyjacielu.

Kobiety są straszne. W dodatku w chwili ukończenia trzydziestu lat zaczyna im się wydawać, że ktoś powierzył im misję utrzymania na tej planecie porządku społecznego i tak dalej. Czułam, że NormęElektrę dość mocno ogarnęła owa mania. Od samego rana była wkurw na, nieustannie terrorywowała mnie i jernaka. Nawet przez dwoje zamkniętych drzwi wyraźnie słyszałam, jak w trakcie kłótni wrzeszczy do męża, że to on (jermak) i ja (jerne VoltaAmpere) jesteśmy tymi, którzy uniemożliwiają szybką i efektywną pracę.

Jeśli o mnie chodzi, byłam zdania, że uwaga ta dotyczyć powinna tylko jermaka. Mogłam to stwierdzić, gdyż dokładnie wiedziałam, ile czasu zajmuje mi poprawianie pisanych lub przygotowywanych przez każde z nich tekstów. O ile u NormyElektry była to zazwyczaj kwestia kilku zbędnych lub brakujących przecinków, o tyle Jermak - jako kosmopolityczny wampirsamouk - okazał się całkowicie nieczuły na przykład w kwestiach składni.

Nie wspominając o morfologii czy stylistyce.

Usłyszałam też, jak NormaElektra piszczy i krzyczy, a potem złości się, bo Jermak ośmielił się oblać ją szklanką wody. Następnie trzasnęły drzwi i jedno z nich się oddaliło. Co za temperamenty, pomyślałam. Osobą, która wyszła, był jermak. NormaElektra z kolei wkrótce zajrzała kontrolnie do mojego pokoju. Na jej pastelowej bluzce schła mokra plama wielkości dłoni.

- Jerne!

- Tak?

- Dostałam trzecią wersję twoich bajek. Niedługo przeczytam.

- Dziękuję.

- Jerne!

- Tak?

- Chyba nie zajmujesz się bajkami w godzinach pracy?

- Zdarza mi się, że czasami myślę nad nimi poza wyznaczonymi przerwami na drugie śniadanie, obiad i podwieczorek.

- Czy ty przypadkiem nie jesteś bezczelna?

- Nie, skąd. Jakże bym śmiała.

- Czyli pracujesz cały czas?

- Naturalnie.

- A jednak wydaje mi się, że zajmujesz się czymś innym. Pod poro rem wizyt w toalecie czytasz literaturę fachową. W wannie znalazłam czasopisma!

- Literackie? To na pewno nie ja je czytałam:

- Jak nie ty, to kto? Z naszej trójki to ty jesteś literaturoznawcą.

- Ja nie mogę czytać czasopism literackich.

- A to dlaczego? Religia ci zabrania? - NormaElektra patrzyła na mnie jak na idiotkę.

- Nie. Ale boję się, że mogłyby mieć na mnie jakiś wpływ. Panicznie boję się oddziaływania współczesnej literatury na moją twórczość.

- W takim razie miej się na baczności. Jeśli nie będziesz uważać, jeszcze przypadkiem nauczysz się formułować myśli - stwierdziła (oczywiście uszczypliwie) NormaElektra i zniknęła, żeby powściekać się w samotności.

Przyznaję - skłamałam. To ja przeglądałam te czasopisma, starałam się jednak przeczytać je na tyle szybko, żeby nie zdążyły w żaden sposób wpłynąć na moją twórczość,

Część siódma

Następnego dnia Norma Elektra miała do załatwienia dużo spraw poza wydawnictwem, w związku z czym ja co chwilę spoglądałam w stronę drzwi, zastanawiając się, kiedy pojawi się w nich jermak, żeby mnie werbalnie molestować. W międzyczasie oczywiście pracowałam - naturalnie na tyle, na ile pozwalał mi kac. Elektra pilnowała, żeby ani na moment nie zabrakło mi zajęcia - tym razem postanowiła zaatakować uczniów szkół średnich antologią poezji. Uważałam to za zwykłą pazerność, nie mogłam sobie jednak pozwolić na krytykę (dodajmy, że nie skończyłam jeszcze poprzedniego zadania). Siedziałam przy biurku z kamienną twarzą, niczym robot, i sprawdzałam poprawność interpunkcji w wierszach.

Moja dusza bynajmniej nie śpiewa, a liryczność kojarzy mi się wyłącznie z instrumentem strunowym zwanym lirą. W celu zwiększenia zapału do pracy zorganizowałam więc konkurs na sześć najpopularniejszych motywów poetyckich: 1. jesteś piękna, kocham cię, 2. ty nie kochasz mnie, 3. ja nie kocham ciebie, 4. jestem nieśmiertelny, 5. carpe diem, 6. zmiana pór roku - cierpliwie stawiałam kreseczki po każdym wierszu. Jermak zajął dopiero około godziny dwunastej, kiedy to "jesteś piękna, kocham cię" i "carpe diem" - od samego początku na prowadzeniu - toczyły rozstrzygający pojedynek.

- Co za zapał! - skomentował jermak. - A myślałem, że jesteś chora. Słyszałem od Elektry, że nie czułaś się najlepiej. Faktycznie, blado wyglądasz.

- Ty też jesteś niedzisiejszy.

- No wiesz, Jerne, znów ten nieprzyjazny ton. Myślałem, że już się do siebie zbliżyliśmy... w ten weekend... wiesz... - Schylił się nade mną i ochryplym głosem szepnął mi do ucha: - Masz dobry smak, Jerne...

- Daj spokój, czego właściwie ode mnie chcesz? Nie widzisz, że pracuję?

- Na pytanie, czego właściwie chcę, mógłbym odpowiedzieć, że być może niczego. - Wyprostował się i zrobił kilka kroków w tył. - Na pytanie, czego pragnę, niechętnie bym w tej chwili odpowiadał. Jak już się spełni, to ci powiem - powiedział z zadumą. - A ty, Jerne, czego ty chcesz?

Nagle przypomniało mi się, że kiedy byłam jeszcze całkiem małym wampirem i nie mogłam zasnąć, babka opowiadała mi na dobranoc historyjkę, która zaczynała się mniej więcej tak: Daleko, daleko, w górach Hauas, jeszcze przed podziałem Węgier, na wysokich

wierzchołkach skał stały sobie dwa zamki. W każdym z nich mieszkał hrabia Drakula. Obaj bezustannie szukali zwady, gdyż zamki zostały zbudowane przy jednej drodze, i w związku z tym musieli dzielić się przejeżdżającymi podróżnymi, którzy i tak pojawiali się dość rzadko, ponieważ droga była grząska i na dodatek prowadziła donikąd.

- Dlaczego nie wybudowali autostrady? - zapytałam w tym miejscu z dziecięcą ciekawością, ale babka zdenerwowana machnęła ręką: była już spóźniona, a ja wciąż nie chciałam zasnąć; nie potrafiła docenić mojej chęci znalezienia kompromisu (trzeba przyznać - nieco anachronicznego). Teraz, w wieku lat dwudziestu, musiałam przyznać, że warto było wysłuchać tej historii ponad dwieście razy i móc zaczerpnąć z niej pomysły do własnego życia.

- Spędźmy razem całą noc, od zmierzchu do świtu! - odpowiedziałam na pytanie jernaka, Wyraźnie się zmieszał. Zrobił kilka kroków w tył.

- No, no. Aż mi dech zaparło. Kto by pomyślał, że takie rzeczy chodzą ci po głowie. Odważna jesteś, nie maco.

- Zastanów się, jak możemy to zrealizować. Teraz będziemy mogli się zmierzyć. - Warto było wykorzystać całe zdania z bajki. - Okaże się, co z tego wyniknie.

- Też jestem ciekaw.

Stał jeszcze przez chwilę w drzwiach, drapiąc się po brodzie.

- Przestraszyłam cię?

- Skądże. Zawsze mnie cieszy, gdy zadam dobre pytanie. Ale teraz pozwolę ci pracować. Dam ci znać, jak coś wymyślę - powiedział Jermak i pospiesznie opuścił pokój.

- Spędźmy razem całą noc, od zmierzchu do świtu! powiedział jeden z wampirów. Drugi natychmiast na to przystał: - Teraz będziemy mogli się zmierzyć i okaże się, co z tego wyniknie. Kto z nas jest bardziej zły, kto mądrzejszy, kto silniejszy. Do tego, który zwycięży - należeć będą wszyscy zabłąkani w tych stronach podróżni.

- Niech się stanie! - zakrzyknęli jednocześnie i podali sobie ręce. Ustalili miejsce i czas. Wkrótce nadszedł umówiony dzień, pomału zbliżała się noc...

Z pewnością zwyciężył albo jeden wampir, albo drugi.

Nie pamiętam który, bo nigdy nie udało mi się wytrwać do końca - to była potwornie nudna bajka.

Śniło mi się, że leżę na wznak na jakimś twardym i niewygodnym łóżku. Wokół mnie skrywająca wszystko ciemność, nieprzenikniona przestrzeń, świeciło tylko moje białe, nagie ciało. Z ciemności tej wyłonił się męski, również nagi, kształt. Wdrapał się na łóżko - które było wysokie, niczym stół - usiadł mi na brzuchu w okolicy bioder, przytrzymał ręce i

chciwie wgrzył się w moją szyję.

Wtedy rozpoznałam napastnika: to był jermak. Niczym uległa ofiara, bez protestu znosiłam, że wysysał ze mnie krew, długo i zachłannie, pozbawiając mnie wszystkich sił. Potem zębami zaczął obgryzać moje ciało - temu też się nie sprzeciwiałam. W końcu puścił mnie i osunął się na podłogę. Leżałam na zakrwawionym prześcieradle, wokół mnie strzępki mięsa. Nie padło ani jedno słowo.

Obudziłam się.

Przez jakiś czas leżałam jeszcze, dokładnie przypominając sobie cały sen, żeby dobrze go zapamiętać. Uznałam, że zarówno ze względu na swą tematykę, jak i przebieg zasługuje na to, żeby podzielić się nim z lekarzem specjalistą, kiedy już dojdzie do skutku zainicjowana przez babkę terapia. Odsuwając firankę, wyjrzałam przez okno: padał deszcz ze śniegiem, krajobraz przybrał wszystkie odcienie szarości. Z sąsiedniego pokoju dobiegały dźwięki Totentanz Liszta. Dies irae, dies illa. Budzący nadzieję poranek.

Bardzo ostrożnie, po omacku, skierowałam się w stronę łazienki, dokładając wszelkich starań, żeby babka mnie nie usłyszała i nie zapragnęła podzielić się ze mną wciąż żywymi wspomnieniami o Franciszku Liszcie, nie robiąc przerw nawet na nabranie powietrza. Niestety, nie odzyskałam jeszcze koordynacji ruchowej.

- Co to za hałas? - babka usiłowała przekrzyczeć Taniec śmierci.

- To tylko ja, babciu. Nie gniewaj się. Stłukłam twój nostalgiczny kubek.

Babka wyłączyła muzykę.

- Ten z Wielkimi Węgry?

- Tak. Przepraszam.

- Nic się nie stało. Ten napis już mi się znudził powiedziała, po czym w pokoju na nowo rozbrzmiały ciężkie dźwięki fortepianu. Powyjmowałam skorupy z umywalki i ułożyłam je w mydelnicze.

W łazienkowym lustrze badawczo przyjrzałam się swojej wymiętej twarzy. W niektórych utworach pojawiają się informacje, jakoby wampiry - istoty bez duszy - pozbawione były lustrzanego odbicia. Nie jest to prawdą.

Babka - znów muszę się na nią powołać, gdyż jest jedynym znanym mi autentycznym źródłem i autorytetem twierdzi, że jeszcze na początku dwudziestego wieku co przesądniejsi ludzie w wielojęzycznej CK Monarchii nosili kieszonkowe lusterka, by móc sprawdzać, czy podejrzane osobniki, które zdarzało im się spotykać, nie są aby wampirami. Babka śmiała się z tych dziecinnych zwyczajów.

O, gdyby przesady miały pozbawiać wampiry - tak czułe na punkcie swego wyglądu -

akurat odbicia w lustrze!

Osobiście byłabym bardzo szczęśliwa, nie mając zielonego pojęcia o tym, jak wyraźnie widać na mojej twarzy mą ciemną duszę i lekką, lecz chroniczną bezsenność.

Jak zwykle dotarłam do pracy, nie korzystając ze środków komunikacji miejskiej. Skręcając w ulicę, przy której mieściło się wydawnictwo, zauważyłam jernaka, kuśtykającego w tym samym kierunku; 'tylko z przeciwnej strony. Może naderwał sobie ścięgno, kiedy wyruszając na nocne łowy, spelzał po ścianie niczym jaszczurka. Przywitaliśmy się.

- Źle spałaś? - zapytał wprost jermak.

- Tak.

- Jakieś koszmary?

- Zgadza się.

- Opowiedz mi, proszę. Kolekcjonuję koszmary.

- Było nas.

- Tym bardziej jestem ciekaw!

- Śniło mi się, że leżymy w jednym łóżku.

- Tyjja?

- Tak.

- To rzeczywiście straszne. No, chodź, napij się czegoś na ten strach - powiedział Jermak i zaciągnął mnie do pobliskiej kawiarni.

Był tylko jeden wolny stolik, wszyscy schronili się tu przed uparcie padającym deszczem. Mnie osobiście pogoda nie deprymowała, opady mogą być rzeczą pozytywną, szczególnie z punktu widzenia rolnictwa. Obawa przed deszczem cechuje głównie mieszkańców nowożytnych miast. Zamówiłam herbatę, Jermak nic nie chciał.

- Opowiadaj dalej, o tym wspólnym leżeniu - zachęcał.

- Ze jak?

- Co robiliśmy w tym łóżku?

- Krew. Dużo krwi. Tylko to pamiętam.

Badawczo patrzyłam mu w twarz, czy się nie zdradzi.

Spodziewałam się takich objawów, jak ślinienie, ciężki oddech, pocenie, itp. Zamiast tego ziewnęła apatycznie i rozsiadł się wygodniej na krześle.

- A więc krew. A czyja, jeśli mogę spytać?

- Moja.

- Ależ masz potworne sny, Jerne. Co jadłaś na kolację?

- Szpinak.

- To przecież jest lekkostrawne. A ile ma witamin! powiedział głośno i zaczął się bujać na krześle. - Ale cieszę się, że się przypadkiem spotkaliśmy. Wiesz, lubię przypadki. Szukam ich. Poza tym chciałem ci coś powiedzieć w związku z poprzednią sprawą... Teraz, jak już jesteśmy gotowi, musimy tylko poczekać na odpowiednią okazję.

Na właściwy moment. Dam ci wtedy znak, a ty będziesz wiedzieć, że właśnie nadszedł.

Odniosłam wrażenie, że filiżanka zamieniła się w kamień. Moje zimne jak lód, zsiniałe ręce ledwo mogły ją podnieść.

- Ciekawa jestem, co z tego będzie - mruknęłam.

- Nic, czego byś nie chciała.

Ze też nie zdechnie z głodu jako wampir, z taką kiepską gadką, przebiegło mi przez myśl. Milczeliśmy kilka chwil, podczas których w zamyśleniu mieszałam herbatę palcem wskazującym prawej dłoni.

- Kiedy tak na ciebie patrzę - odezwał się Jermak - jak nigdy jestem pewny swego sukcesu.

- Naprawdę?

- Nie żebym o tym marzył, ale już się cieszę na myśl, jakie wspaniałe odniosę zwycięstwo.

- To się ciesz - przystałam, a potem spojrzałam na zegarek: - Wzywają nas obowiązki, nieprawdaż?

Faktycznie. Chodźmy.

Jednym haustem dopiłam herbatę, rzuciłam na stolik pieniądze i wyszliśmy na tę paskudną pogodę.

26.

W piątek obudziłam się o szóstej rano. Chciałam podrzemać jeszcze godzinkę, ale pewien incydent na dobre wybił mnie ze snu. Otworzyło się okno - budzik wskazywał akurat cztery po szóstej - i do pokoju wdarł się ostry snop światła. A z niego wyłonił się młody mężczyzna. Skórę miał białą jak śnieg, włosy długie, czarne jak heban, a usta niczym dojrzałe poziomki. Był całkiem nagi, na wysokości moich oczu pojawiły się owłosione uda, a kiedy ruszył w moją stronę, jego olbrzymich rozmiarów członek dyndał w tę i z powrotem. Ukucnął przy mnie i spojrzał mi w oczy niezwykle smutnym, błagalnym wzrokiem. Z jego ciała było niesamowite gorąco.

Udało mi się tak wytrzymać jakieś pięć minut, potem jego obecność zaczęła być

zdecydowanie krępująca. Miałam nadzieję, że to tylko sen. Bo mogło tak być. O szóstej trzydzięci wstałam z łóżka i udałam się do łazienki. Cierpiętnicze spojrzenie mężczyzny odprowadziło mnie aż do progu. Przemyłam twarz zimną wodą, pozbyłam się śpiochów i wróciłam do pokoju. Anioł - doszłam do przekonania, że to musi być on - siedział na skraju łóżka, przeglądał moje listy i notatki, szybko przebiegając wzrokiem kartki rękopisu. Kręcił głową. Mrugał ze smutkiem. Jak gwiazdy niemego kina w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym.

- Aniołku! - zawołałam go. Nie zareagował. Podeszłam i dotknęłam jego ramienia. Spojrzał na mnie załzawionymi oczami. A potem znów opuścił głowę, nie odezwawszy się ani słowem. Postanowiłam nie narzucać się z rozmową. O siódmej trzydzięci, jak co dzień, wyszłam do pracy, zostawiając anioła samego w naszej wampirzej kryjówce.

Wydawnictwo świeciło jeszcze pustkami, ale ja nie potrzebowałam niczyich poleceń, dobrze wiedziałam, co mam robić. Zawsze cechowało mnie wysokie poczucie obowiązku. Ostatni fragment powstającej właśnie antologii bajek wymagał szczególnie wiele pracy - okazał się twardym orzechem do zgryzienia. Musiałam bowiem wyeliminować z bajki akurat to, co - niczym czerwona nić - łączyło całą fabułę.

Najmniej problemów było ze wstępem, wystarczyła bowiem jednorazowa wzmianka na temat rzeczy, o której mowa, a mianowicie: że pewna dziewczynka nią nie dysponowała. Co wpływało deprymująco na jej mentalność, ponieważ wszyscy inni posiadali to coś, ona jedna - nie.

Martwiła się i rozpaczała bezustannie, a w swej bezradności udała się do wiedźmy, żeby zapytać, co ma czynić.

- Nie smuć się, moje dziecko - pocieszała ją czarownica - łatwo da się temu zaradzić. Wróć do domu, upiecz trzy zgrabne placuszki i po zmroku pójdz do lasu. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. - I dziewczynka tak właśnie uczyniła.

Dotąd w porządku, ale potem zaczyna się aktywny współdziałanie lisa, wilka oraz niedźwiedzia, całkowicie pozbawiony jakichkolwiek wyrafinowanych metafor. Próbowałam wprowadzić kilka przedmiotów codziennego użytku, potem rozważałam zmianę płci głównej bohaterki - z dziewczynki na chłopca - ponieważ doszłam do wniosku, że powstała w ten sposób sytuacja oferowała niezliczone możliwości. Na koniec przygotowałam nawet tabelkę, w której zaznaczałam funkcje, jakie musi spełniać ów przedmiot lub ewentualne substytuty, jednak pole manewru w znacznym stopniu ograniczało mi to, że wspomnianą rzecz musiałam złożyć z dwóch łap niedźwiedzia, wilczego pyska i lisiego języka.

Nagle poczułam czyjąś dłoń na ramieniu. Nawet nie spojrzałam do góry.

- Myślałaś, że nie ma nikogo?

- A co? Byłaś tu?

- Dopiero przyszłam. Ale na drugi raz nie zostawiaj otwartych drzwi. Sama widzisz, że ktoś mógłby wejść.

- Jak tu trafiłaś?

- Wspominałaś kiedyś nazwę ulicy. A na tej jest tylko jedno wydawnictwo.

- Strasznie silny zapach mają te twoje nowe perfumy, babciu. Jak tylko podeszłaś, od razu wiedziałam, że to ty.

- I tak ma być. Musiałam czymś stłumić ten przenikliwy anielski zapach, który rozchodzi się w całym domu.

Jak skisłe mleko.

- Nic dziwnego, na moim łóżku siedzi anioł.

- Co ty mówisz! Bardzo cię proszę, Jerne, usuń go z domu i wywietrz, zanim wrócę. Jak on się w ogóle tam znalazł?

- A bo ja wiem? Wszedł przez okno i już. I nie krzycz na mnie!

- A to dopiero! Może bóg chrześcijan rzeczywiście jest taki, jak mówią: bezinteresowny, i każdy jest przed nim równy. Oto zsyła anioła stróża nawet tym złym. A on co mówi?

- Kto?

- Anioł.

- Nie mówi. Jest głuchoniemy.

- No proszę! To chyba nazywa się zatrudnianiem' niepełnosprawnych.

- Po co przyszłaś?

- Chciałam zobaczyć, z jakimi ludźmi pracujesz.

Lecz tu nikogo nie ma. Zawsze są tacy punktualni?

- Nie wiem, gdzie się podziali. Ale to nie moja sprawa. Oni są właścicielami, a ja pracownikiem. To ja mam pracować.

- Nie przesadzaj, serdeńko. Wampiry nie rodzą się po to, żeby pracować. Między innymi dlatego kształciłam cię humanistycznie. Właściwie przyszłam się pożegnać.

Znalazłam atrakcyjną ofertę last minute, lecę na weekend do Paryża. Wstyd się przyznać, ale ostatni raz byłam tam jeszcze za czasów dyktatury jakobinów.

- Tak? Ale to nie było za moich czasów.

- Wtedy jeszcze żyłam. I wyobraź sobie, raz rozmawiałam nawet z samym Robespierre' em!

- No proszę. I co ci powiedział?

- Powiedział: "Proszę zakryć piersi, obywatelko!", i wcisnął mi do ręki swoją chusteczkę.

- Ciesz się, że nie kazał się ściać!

- Wtedy jeszcze potrafili robić chusteczki... A ja, głupia, nie zachowałam jej na pamiątkę.

- Baw się dobrze w Paryżu!

- Dziękuję. A ty zrób coś z tym aniołem. Widzimy się w niedzielę wieczorem.

Babka złapała swoją walizkę z cielecej skóry i wyszła.

Około wpół do dwunastej drzwi się otworzyły i stanęła w nich NormaElektra z torbą podróżną.

- O, jerne, ty tutaj? A prosiłam Armina, żeby do ciebie zadzwonił i zawiadomił, że dziś nie pracujemy. Muszę pojechać na targi książki a on z samego rana poleciał na jakąś konferencję, Armin? Nie wiedziałam, że Jermak ma jeszcze jakieś inne imię.

- Oczywiście zapomniał, tak jak i o tym, że miał mi przynieść do domu ten katalog. - NormaElektra wyciągnęła jeden z piętrzących się na biurku papierów. - Chociaż dwa razy mu przypominałam. No i sama musiałam przyjść.

- Co mam zrobić z tą ostatnią bajką? Nie mogę znaleźć...

- Nie teraz, za półtorej godziny mam samolot. Omówimy to w przyszłym tygodniu. - Odwróciła się jeszcze w drzwiach i krzyknęła: - Idź do domu! Dziś nie pracujemy!

Rzeczywiście, najpierw musiałam pójść do domu.

Anioł drzemał w moim łóżku, nadal nie miał nic na sobie, nie zdziwiło mnie więc, że przykrył się stu pięćdziesięcioletnią szydełkową kapą babki. Sapał sobie spokojnie, z ust ciekła mu ślina, bardzo słodko spał.

Wykręciłam numer.

- Cześć, mówi Jerne.

- A więc dostałaś moją wiadomość.

- Tak.

- Byłaś czujna.

- I co teraz?

- Spotkamy się na dworcu, na peronie szóstym, o piątej rano.

- W porządku, przyjdę.

- Będę czekał.

Odłożyłam słuchawkę. Cóż za konspiracja. Ale nikt nie może mi przeszkodzić.

Wszyscy są już w drodze do cieplejszych krajów. Z górnej półki w szafie wyciągnęłam swój plecak turystyczny i wrzuciłam do niego kilka niezbędnych przedmiotów: scyzoryk, świece, książkę z bajkami, pamiętnik, szczoteczkę do zębów i jedną zmianę bielizny. Postawiłam plecak przy drzwiach wejściowych i poszłam do pokoju babki, żeby wybrać coś lekkiego do czytania, bo tym właśnie chciałam się zająć, czekając, aż zacznie świtać. Szukałam jakiejś powieści przygodowej, ale w ręce wpadały mi same nudne romansidła.

Jedno z nich otworzyłam na chybił trafił i znalazłam między innymi - następujące zdanie: "Teraz, kiedy już odczuwam szczęście". Jeśli w środku książki bohaterka odczuwa szczęście, na końcu z pewnością nie będzie go odczuwać. To dawało nadzieję na jakieś urozmaicenie, zagłębiłam się więc w lekturze. Była to cukierkowa historia z lekkim gorzkim posmakiem; kiedy skończyłam, dochodziło wpół do czwartej. Najwyższy czas, żeby się zbierać.

Przeszkadzało mi trochę, że nikt nie zamyka mnie w moim pokoju i nie zabrania opuszczać mieszkania. W końcu podążyłam ku własnej zgubie. Potrząsnęłam aniołem. Mruknął coś i odwrócił się na drugi bok.

Na lewej stronie jego ciała odcisnął się kształt kuleczek z szydełkowego wzoru kapy, urozmaicając monotonię białej skóry. Najważniejsze jest, myślałam, zawiązując buty, żeby przez cały czas zachować czujność. Odwrócę jego uwagę, zaatakuję, a potem będę się zachowywać jak gdyby nigdy nic. Zwycięży ten, kto pierwszy sprawi, że przeciwnik przestanie koncentrować się na obronie własnej.

Odczekałam jeszcze kilka minut w nadziei, że anioł się obudzi, potem zamknęłam za sobą drzwi.

Zanim weszło słońce, wlekliśmy się już z Jermakiem błotnistą drogą.

- Dlaczego masz na imię Jerne?

- A dlaczego nie?

- No, niby tak. Ale dlaczego właśnie tak cię nazwano?

- Nie wiem.

- A jak nazywa się twoja siostra? Bo mieszkasz z siostrą, prawda?

- Tak. - O rany, jak ją teraz nazwać?

- To jak się nazywa?

- Chodzi ci o nazwisko panieńskie?

- A co, jest mężatką?

- Nie.

- No więc?

- Ma... dużo pseudonimów.
 - Jest aktorką?
 - Nie. Używa ich, żeby zmylić urząd skarbowy.
 - I nie chcesz jej zdradzić, rozumiem. A ty jak się do niej zwracasz?
 - Tak jak akurat się nazywa.
 - Ale jakie imię dostała po urodzeniu?
 - Skąd mam wiedzieć? Nie było mnie wtedy jeszcze na świecie.
- Jermak smagnął przydrożny krzak trzymanym w rękę kijem.
- W każdym razie Jerne to dziwne imię. Myślałem, że wiąże się z nim jakaś historia.

Rodzice muszą mieć chyba powody, dla których dają dzieciom takie niespotykane imiona.

- A ty wiesz, dlaczego zostałeś Arminem?
- Jasne. Rodzice wybrali to imię z głębokiego szacunku dla prac Armina Vśmbćriego.
- Aha.
- Twój rodzice umarli?
- Moglibyśmy porozmawiać o czymś innym?
- Wybacz, nie chciałem cię zdenerwować.
- Nic się nie stało. Po prostu ten temat mnie nie interesuje.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu.

- Dokąd właściwie idziemy?

Z tylnej kieszeni spodni Jermak wyciągnął złożoną mapę.

- Tutaj. - Wskazał punkt na brzegu rzeki.
- Ile mamy jeszcze do przejścia?
- Kilka kilometrów.

Był zwyczajny zimowy dzień: gęsta mgła, przygruntowy przymrozek, na drzewach kłapiące dziobami, znudzone wrony. Mgła jest zachwycającym zjawiskiem. Większość ludzi woli czystą, przejrzystą pogodę, ja jednak twierdzę, że czasem lepiej, jak jest mgła. Już w dzieciństwie mnie oczarowała, kiedy opadając, ograniczała moje pole widzenia i uwalniała od ciężaru konfrontacji ze światem.

- Opowiedz mi coś o sobie. - Jerm:ik nie ustępował.
- Co? Może lepiej ty coś opowiedz.
- Jestem skłonny opowiedzieć, jeśli zdradzisz mi, dlaczego cię to ciekawi.
- Ze względów bezpieczeństwa.
- To znaczy?
- Muszę wiedzieć, jakim jesteś człowiekiem, skoro mam z tobą spędzić noc.

Czytałam, że kiedy spotykamy nieznanego, rzeczą ważną jest dowiedzenie się, czy dana osoba nie jest przypadkiem złym duchem, bo te w nocy są bardzo aktywne. A wracając do rzeczywistości: czy nie jesteś perwersyjnym seryjnym mordercą albo wampirem?

- Wampiry nie istnieją - zaśmiał się jermak. - Niemniej jestem pełen podziwu, że w twoich ust wydobywają się kwestie dłuższe niż złożone z dwóch zdań prostych. Daj całusa!

- Co? Ja? Ani mi się śni.

- Chcę się tylko zaprzyjaźnić. Ze względów bezpieczeństwa. Żeby mieć pewność, że nie dźgniesz mnie prosto w serce podczas snu.

- Możesz być spokojny. - Podeszłam i objęłam go. Najpierw delikatnie przygryzałam jego wargi, potem wetknęłam mu język do ust i przez około minutę moja ślina mieszała się z jego. Nie jest to wprawdzie zbyt higieniczne, ale zdecydowanie sprzyja wzrostowi zaufania.

Brnęliśmy dalej. Wrony z obrzydliwym krakaniem poderwały się z przydrożnych topoli.

- Jesteś taka inna, Jerne - powiedział jermak, lekko skopując z drogi zdechłe pisklą. - Jeszcze nigdy nie spotkałem takiej osoby jak ty. Poważnie.

Zerknęłam na niego podejrzliwie.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Bo tak czuję.

- Rozumiem - pokiwałam głową. - Kiedy dotrzemy na miejsce?

- Już za chwilę.

Rzeczywiście, widać już było domek w dolinie rzeki.

- Już nie mogę się doczekać, jestem taki ciekaw, jaka będzie ta nasza wspólna noc.

- Jeszcze trzysta metrów i zaraz się dowiesz - usp')kajałam jernśka.

- Muszę przyznać, że urzekłaś mnie swoją prośbą.

- Mam nadzieję, że ty też mnie czymś urzekniesz.

- Nie ma obawy. Wiesz, to, o czym myślę...

- Dobrze, dobrze, ale pospieszmy się trochę. Zaczynam marznąć.

Zanim zapadł zmierzch, mieliśmy jeszcze mnóstwo czasu, by nazbierać drewna na opał. Nad rzeką znaleźliśmy suche patyki i grubsze gałęzie. Wszystkie wydobyte z szopy narzędzia były stare i zardzewiałe, ale jakoś udało nam się narąbać tyle drewna, żeby wystarczyło na jedną noc.

Ręce mieliśmy całe poobcierane od siekiery. Kiedy weszliśmy do domu, zrzuciłam buty i usadowiłam się przy małym piecyku. Potrzebował jeszcze czasu, żeby się rozgrzać.

- No, to ja sobie teraz przeczytam prasę - powiedziałam i rozłożyłam przed sobą

dzisiejszą gazetę.

28.

Babka wróciła do domu w niedzielę w nocy. Jej pierwsze słowa skierowane do mnie brzmiały następująco: - Wyobraź sobie, w metrze nawyzywali mnie od Żydów,

- Dlaczego nie przyjechałaś taksówką?

- Miałam przy sobie tylko franki francuskie, pomyślałam, że przejadę się metrem na gapę. I wtedy podszedł do mnie taki jeden i mówi:”Wy, Żydówki, jesteście naprawdę ładne”.

- Ale przecież to był komplement!

- Ale jaki? Miałam ochotę mu powiedzieć, ty ślepowronie, to jest nos wampira, a nie żydowski. A potem skoczyć mu prosto do gardła.

- Babciu, jestem teraz zbyt zmęczona, żeby myśleć o Żydach, chrześcijanach i wampirach - jęknęłam i opadłam na najbliższe krzesło.

- Tak? A co cię tak zmęczyło?

- Babciu - zrobiłam małą przerwę dla zwiększenia napięcia - wczoraj w nocy piłam krew.

- Naprawdę? To cudownie. Mężczyzny, kobiety czy dziecka?

- A to nie wszystko jedno?.. Mężczyzny.

- Hmm, ostry start. Obiecujący. Jak do tego doszło?

Kto jest szczęśliwą ofiarą? Opowiadaj!

- To moja tajemnica.

- Najważniejsze, że w końcu to zrobiłaś. Nieelegancko byłoby cię wypytywać, skoro nie chcesz sama powiedzieć.

Babka przyglądała się w lustrze swemu nosowi, nawet nie spojrzała w moją stronę.

- Chociaż ja zawsze ci opowiadam. Niewątpliwie... - Zakryła sobie część nosa i teraz tak przypatrywała się swojej twarzy. -... z uwagi na twoją przyszłość wiadomość ta napawa mnie optymizmem. Nawet nie wiesz, jak wielki kamień spadł mi z serca. Ale co teraz będzie z psychoterapeutą?

- Z jakim terapeutą?

- Tym, z którym umówiłam cię już na spotkanie.

Tym od problemów z odżywianiem, wiesz.

- Sama idź do niego.

- Ja? Ja jestem szczęśliwa i zrównoważona.

- Opowiesz mu jeden ze swoich dni, i od razu skierują cię na oddział zamknięty, razem z twoimi ideami.

- Ejże! Nie próbuj mi udowadniać, że jestem chora. Ja nie wyobrażam sobie, że jestem wampirem, tylko na prawdę nim jestem. Zadowolona z losu, dobrze sobie radząca wampirzycą. Przed tobą też stoją takie możliwości. A teraz powiedz mi, Jerne, czy to nos żydowski, czy wampirzy?

- A czy to nie wszystko jedno, skoro jest piękny?

Część ósma

- Ta bajka jest tak obsceniczna, że absolutnie musimy ją usunąć - zarządziła NormaElektra w sprawie historii o dziewczynce, której czegoś brakowało. Właśnie odbywało się cotygodniowe, poniedziałkowe, zebranie w wydawnictwie. - Ale czym ją zastąpimy?

- Inną bajką o braku czegoś. Co powiesz na Co mężczyzna wiezie na koniu, kobieta przyniesie z powrotem w fartuchu? - wtrąciłam.

- Na odwrót, Jerne - poprawiła mnie Norma - Elektra. - Co mężczyzna przywiezie na koniu, kobieta wyniesie w fartuchu. Moim zdaniem ta bajka jest trochę seksistowska, nie uważasz?

- No tak, masz rację. - przytaknęłam.

- Wybierzmy coś innego. Tylko żeby było o zwierzątkach. Ty co proponujesz, kmin? Jak dotąd Jermak nie brał udziału w dyskusji, bawił się tylko długopisem.

- Sam nie wiem, jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.

- To się zastanów. Ty też jesteś odpowiedzialny za to, co wydajemy, nie tylko ja. Nawet jeśli są to bajki.

- Elektro, kochanie, moim zdaniem spokojnie możemy powierzyć tę sprawę Jerne. Ona wie wszystko na temat bajek.

- Nie podaję w wątpliwość kompetencji Jerne, ale na książce napisane będzie: Wydawca - Elektra i Ska.

- Dobrze już, dobrze. To niech będzie ta o sowie, która wszystkich wykiwała.

- Masz rację, mój drogi, Mądra Sowa to piękna, symboliczna bajka. Jerne, przygotuj tekst. Ja lecę, bo na dziesiątą muszę być w drukarni. Armin, idziesz ze mną?

- Teraz nie, muszę jeszcze dokończyć przedmowę.

- Ale trzeba przynieść książki.

- Jesteś przecież silną kobietą.

- Elektro, ja cię chętnie odprowadzę - zaproponowałam.

- Nie, Jerne, zostań, zajmij się Sową. Pójdę sama.

Nie oglądając się, wyniosłam się do siebie. Po chwili usłyszałam trzaśnięcie drzwi, NormaElektra wyszła. Jermak taktycznie odczekał kilka minut.

- Jak się masz? - zapytałam uprzejmie z ledwie ukrywanym przerażeniem na twarzy, kiedy po półgodzinie zdecydował się złożyć mi wizytę przy biurku.

- Całkiem dobrze. Chociaż jestem trochę zmęczony. Ale jeśli powodem mego znużenia jest noc spędzona z tobą, to zawsze chciałbym być taki słaby.

- Nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, co mogło cię tak zmęczyć.

- Podejrzewam, że studiowanie rubryki gospodarczej

„Nepszabadsag” wyssało ze mnie wszystkie siły.

- Przykro mi.

- Nic się nie stało - powiedział Jermak spokojnym głosem i położył mi rękę na ramieniu.

- Obawiam się, że masz jakieś kosmate myśli. Do niczego nie doszło, tylko...

- Nie mam żadnych kosmatych myśli. Kosmate?

Myśli?

- No no wracajmy do pracy.

- Zaczekaj chwilę. Usiądźmy.

- Ja już siedzę.

On też usiadł.

- Jerne, nie mogę ci niczego zabrać. Mam wszystko, czego mi trzeba. A jednak to, co ukrywasz za tym murem, pociąga mnie. Nie chcę z tobą walczyć, nie chcę rywalizować...

Słuchałam go ze zmarszczonymi brwiami. Niewiele jest rzeczy bardziej denerwujących niż to, kiedy domniemany wampir okazuje się żalonym amantem.

-... chcę być z tobą taką, jaka jesteś.

- Aha. - To była moja błyskotliwa odpowiedź.

Rozległ się histeryczny śmiech jermaka.

- A więc tyle? To wszystko, co zrozumiałaś? Wszystko jest takie proste?

- Co powinnam jeszcze zrozumieć?

- Moje serce szybciej bije. Twój głos złagodniał.

Zaświeciło słońce...

- A do tej pory nie świeciło?

- Muszę powiedzieć Elektrze.

- Co?

- Muszę mieć jasną sytuację.

- Po co?

- Honor tego wymaga.

- Ja się nie upieram.

- Ponieważ przekonałem się, że chcę być z tobą.

A ty?

- Ja się nie nalegam.

- Przekonasz się. - Jermak poderwał się z krzesła i poklepał mnie po ramieniu. - Nie poganiam cię. Zostawię ci czas do namysłu. Zaakceptuj swoje myśli, nawet jeśli się z nimi nie zgadzasz. Później o tym porozmawiamy.

30.

Coraz bardziej ogarniało mnie podejrzenie, że coś musiałam popsuć przy wysysaniu krwi. Zastanawiałam się, czy nie poradzić się babki, co należy robić w takim wypadku. Szłam przez park, w stronę domu, i wtedy wpadło mi do głowy, że właściwie tym, co ma półwsi, a czego brakuje dziewczynce, mogłaby być wiewiórka. Zwinne zwierzątko o rudym futerku, zgrabnie skacze po gałęziach. Ale coś mi nie pasowało. Niby ma łapy, ogon, język, a jednak to nie to. Krnąbrna bajka, nie do rozwiązania. Gdybym musiała ją jakoś sklasyfikować, nadałabym jej symbol VIII, a2, i niewykluczone, że w ogóle a3.

Szłam tymi samymi ścieżkami, którymi chadzam w lecie, ale co najmniej dwa razy ugrzęzłam po kostki w pośniegowym błocie. Z powodu zapadającego zmroku nie zauważyłam, że śnieg tak stopniał, a nocny mróz jeszcze nie chwycił. Zanim dotarłam do domu, trzęsłam się z zimna. Wgramoliłam się na piąte piętro i jeszcze na klatce schodowej wyobrażałam sobie, jak cudownie będzie zanurzyć się po szyję w wannie gorącej wody. Już w drzwiach zaczęłam się rozbierać, szalik i czapkę ciskając na podłogę, w biegu zrzucając lśniące od błota buty i rozpinając płaszcz. Pchnęłam drzwi do łazienki, żeby odkręcić kran, i wtedy troszkę się zdziwiłam.

- Babciu, co to jest? - krzyknęłam ostrym głosem, bo oprócz zdziwienia ogarnął mnie też gniew.

Żadnej reakcji.

- Cholera jasna, babciu, wiem, że jesteś w domu dodałam.

Kompletna cisza. Zdjęłam z nóg mokre skarpetki, drąc się dalej: - Babciu! Babciu! Przecież wiem, że mnie słyszysz, nawet w trumnie.

Podniosłam wieko. Faktycznie, leżała tam, z mocno zaciśniętymi powiekami. Wrzasnęłam jej prosto do ucha: - Co jest w wannie?

- Słonko, dlaczego nie dasz mi odpocząć? Czeka mnie upiorna noc. Wściekasz się z powodu mojej kąpieli w krwi?

- A więc to kąpiel w krwi.

- Zgadza się. Ty też możesz się zanurzyć. Przekonasz się, jaki ma dobroczynny wpływ. Odmładza.

- Wystarczyłaby mi gorąca woda. Całkiem przemarzłam w drodze do domu.
- To też cię rozgrzeje.
- Nie sądzisz chyba, że wejdę do wanny pełnej krwi?
- A dlaczego nie? To sprawdzony sposób na urodę Elżbiety Batory.
- To był proces poszlakowy, babciu, nikt ci o tym nie powiedział? Idę, spuszczę tę krew, skoro tobie się nie chciało.

- Chyba mi tego nie zrobisz! Zużyłam do tej kąpieli krew wszystkich moich zwierzątek domowych. Wlałam też środek zapobiegający krzepnięciu, żeby jutro mogła się w niej wykąpać. Ani mi się waży jej dotknąć!

- Bo co?

- Bo w przeciwnym razie babunia przepuści swoją słodką wnuszę przez maszynkę do mięsa na najwyższym biegu.

- Dzięki, to było miłe.

- Życie jest brutalne, moja droga. Człowiek człowiekowi wilkiem. W wypadku wampirów jest to twierdzenie podwójnie trafne.

Zatrzasnęłam trumnę. Zacisnęłam zęby - życie rodzinne to nie zawsze ciastko z kremem.

31.

- Mogę wejść?

Dzień pracy mijał dość spokojnie. Rano NormaElektra radośnie zapytała, gdzie nabawiłam się tego seksownego kataru, z czego wywnioskowałam, że nie ma pojęcia, iż za jej plecami rujnuję jej szczęśliwy związek samym swoim istnieniem. Do końca popołudnia wytrwale tępiłam błędy ortograficzne, miałam więc czas zastanowić się nad swoją przyszłością. Rozmyślałam głównie o tym, co zrobię, kiedy NormaElektra jednak przyjmie mój rękopis i zaproponuje mi za niego pieniądze. Zarabianie na instytucji zajmującej się tak wzniosłą działalnością, jak wydawnictwo Elektra i Ska, wydawało mi się rzeczą nie do zaakceptowania. Jeżeli Elektra mimo wszystko będzie próbowała zaoferować mi jakąś sumę, powiem: - Nie.

Nie mogę tego przyjąć. Pisałam wyłącznie dla przyjemności, najchętniej sama zapłaciłabym za to, że mogłam się tym zajmować. A swobodne szybowanie mojego umysłu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i tak jest rzeczą bezcenną, Jeżeli nadal by się upierała, a ja nie miałabym już żadnych argumentów, przyjąłabym czek i przekazała pieniądze na rzecz jakiejś sympatycznej fundacji. Babka ma masę pieniędzy, po co miałabym wyzyskiwać biedne wydawnictwo.

Bajkopisarstwo albo nic. Przyznaję, że nie powinnam mieć tak emocjonalnego stosunku do czynności, która miała mi służyć za alibi. Tym bardziej, że moją ziemską misją jest picie krwi mężczyzn i kobiet. W każdym razie powinnam dążyć do zachowania jakiejś zdrowej równowagi - zdecydowałam, a równocześnie moje myśli pozęglowały w stronę tortu marchewkowego.

W jednej z bajek z mojego zbioru akcja koncentruje się właśnie wokół tortu marchewkowego. Co by było, gdybym kierując swe bajki do dzieci, jako dodatek załączyła przepis na taki tort? Być może zachwycone opowieścią dzieci wyprodukowałyby coś słodkiego? To byłby taki miły gest, a jeśli dobrze pamiętam, NormieElektrze tego właśnie brakowało. Udałam się do magazynu z książkami, żeby poszperać wśród literatury fachowej. Znalazłam jakieś książki kucharskie, ale najwyraźniej dla wszystkich zreformowanych kuchni tort z marchwi okazał się pojęciem zbyt dekadencym.

- Można? - zapytał jermak, pojawivszy się w środku.

Od dużej ilości liter zrobiło mi się słabo, usiadłam i oparłam głowę o ścianę.

- NormaElektra? - spytałam ze szczerym zainteresowaniem.

- Poszła do domu. Zostaliśmy sami.

- Wspaniale.

- Prawda?

- Wyczułeś chyba nutę ironii?

- Nie wierzę ci. Ty się cieszysz.

- Skąd!

- Ależ tak.

- Nie.

- A może chciałabyś, żebym od tej pory przechodził obok, nie patrząc nawet w twoją stronę? Jerne! To jest nasz czas!

- Nasz czas? Coś takiego nie istnieje. Chyba że w jakimś innym życiu.

W bok wgniatał mi się dwudziestopięciotomowy podręcznik reinkarnacji w twardej oprawie.

- Dlaczego widząc właściwą drogę, nie skręcasz w nią?

- A są też inne drogi?

- Lubisz grać, prawda? Jestem za. Tylko uprzedź mnie wcześniej, w co będziemy grać.

Jermak, ostrożnie omijając sterty książek, zbliżał się w moją stronę. Siedziałam w kącie, z książkami kucharskimi na kolanach.

- Zostań tam, gdzie jesteś, idę do ciebie - zapewnił mnie.

Nie ruszałam się. Czekałam, aż podejdzie. Jermak resztkami rozpędu przeszedł nad stosem ułożonym z niesprzedanych egzemplarzy leksykonu snów, jednak lewej nogi nie udało mu się podnieść na odpowiednią wysokość.

Stracił równowagę i całym swoim ciężarem upadł prosto na mnie. Kiedy jego skóra dotknęła mojej straciłam głowę. Znów chciałam pić jego krew, smaczną, gorącą, pożywną krew, której już raz spróbowałam. Nie zastanawiając się ani chwili, pospiesznie zdarłam z niego koszulę, żeby czym prędzej uwolnić jego szyję.

- Wiedziałem, że ty też tego chcesz - dyszał mi do ucha.

Szukałam na jego szyi miejsca najodpowiedniejszego do ugryzienia.

- Znalazłeś już tę cholerną książkę? - krzyknęła NormaElektra od progu. Szybko wyciągnęłam zęby z szyi jermaka i próbowałam zrzucić z siebie jego ciało.

Norma - Elektra wpatrywała się w nas szeroko otwartymi oczami.

- Tak to wygląda - wystękał Jermak i spelzł ze mnie. Podniósł się powoli i przewracając po drodze liczne sterty książek, pobiegł za NormąElektrą, bowiem jego współniczka uciekła, trzasnąwszy drzwiami.

Starałam się odzyskać spokój. Wyprostowałam się, z kolan posypały mi się oderwane z koszuli jermalca guziki. Spojrzałam na podłogę, żeby je policzyć, i wtedy gdzieś w kącie zauważyłam zeszynek zatytułowany IOO potraw z marchwi. Tak więc popołudnie nie było całkiem stracone. Wsadziłam zbiór przepisów pod pachę i lekkim krokiem opuściłam wydawnictwo. Nie zamknęłam nawet drzwi; pomyślałam, że właściciele i tak pewnie zaraz będą mieli dość ganiaania się, i wrócą.

Ciekawiło mnie natomiast, co dzieje się z wampirem, kiedy ktoś odkryje jego ciemne sprawki. To znaczy: zanim przebiją mu serce. Zastanawiałam się też, na ile kątem oka NormaElektra widziała to, co robiłam z szyją jej partnera. Uspokajałam się, że być może z pewnej odległości widok różnił się od rzeczywistości i że w ten sposób upiecze mi się jako osobie zamieszanej tylko w łamanie przysięgi małżeńskiej. Całe szczęście, że oficjalnie ani czarownice, ani wampiry, ani wilkołaki, ani duchy nie istnieją, i nie czeka mnie samotna śmierć na stosie, jeszcze przed donośnie zapowiadaną imprezą masową, którą chrześcijanie ogłaszają już od dłuższego czasu, pod nazwą Sądu Ostatecznego, kiedy to my, źli, wygniemy wszyscy, co do jednego.

Babce dokuczwała migrena. Anioł klęczał przy kanapie i masował jej skronie. Obserwowałam ich, stojąc w drzwiach.

- Trochę wyżej. O tak. Znakomicie to robisz, proszę cię, nie przestawaj! - Ruszyłam do swojego pokoju. Babka krzyknęła za mną: - Dzwonił jakiś mężczyzna, ale już nie

pamiętam, co miałam ci przekazać.

- Dzięki, babciu.

- To coś ważnego?

- Na pewno nie.

- Jakże ten aniołek ma delikatne ręce!

- Przepraszam cię, babciu, chciałabym zadzwonić. - Zamknęłam drzwi do pokoju, żeby w słuchawce nie było słychać jęków rozkoszy. Wykręciłam numer.

- Cześć, Elektra. Mówi Jerne.

- Cześć.

- Wydaje mi się, że sytuacja w magazynie była trochę dwuznaczna.

- Nie była dwuznaczna. Była całkiem jasna. Marnotrawiliście czas.

Co za ulga.

- Niestety. Ale nie tak, jak myślisz.

- Tylko jak?

- Chciałabym z tobą porozmawiać.

- Chcesz się usprawiedliwić?

Porozmawiać.

- Porozmawiać. Cóż. Niech będzie.

Część dziewiąta

32.

NormaElektra już na mnie czekała. Uśmiechnęłam się do niej przymilnie, ale z błysku w jej oczach od razu wywnioskowałam, że to nie wystarczy. Szybko przeszłam do sedna - zaczynanie od pogody byłoby bezcelowe.

- Ja jestem niewinna. - To naturalnie nie było prawdą, miało jedynie posłużyć jako chwyt retoryczny. - Chciałabym, żebyś wiedziała, że jestem po twojej stronie.

- Nie sądz, że nie doceniam twojej empatii i solidarności, jednak to nie wystarczy. Możesz mi wytłumaczyć, jak znalazłaś się w tak intymnej sytuacji, skoro jak twierdzisz, nie masz z tym wszystkim nic wspólnego? Jeśli dobrze widziałam, akurat...

- Całowałam jego szyję.

- Ach, tak? A ja myślałam, że kąsałaś. Wszystko jedno. Obie rzeczy wymagają bliskości cielesnej, w znacznym stopniu wykraczającej poza serdeczne relacje w miejscu pracy.

- A co on ci powiedział?

- Przyznał się do wszystkiego.

- Do wszystkiego?

- Wiesz, są mężczyźni, którzy uwielbiają dręczyć swoje partnerki szczerymi wyznaniem. Tylko po to r.ówią o uczciwości, żeby widzieć cierpienie drugiego i czuć własną siłę. Tym zastępują sumienie.

Najwyraźniej NormaElektra przekonana była, że dzieli życie z obłudnym, fałszywym, pozbawionym charakteru człowiekiem. Zdecydowałam nie otwierać jej oczu na fakt, że śpi w jednym łóżku z dysfunkcyjnym wampirem.

- Nie ma tu żadnych niejasności, Armin opowiedział mi wszystko ze szczegółami. Tak jak było.

Już to widzę.

- Wiem, że czasem bywa słaby i że jeśli chodzi o panowanie nad sobą, pozostawia wiele do życzenia. - Najwyraźniej NormaElektra szykowała się na dłuższe przemówienie. - Jednakże jesteśmy razem zbyt długo, aby to miało jakieś znaczenie. Nie masz pojęcia, przez co już przeszliśmy. Nasz związek oparty jest na wzajemnym zaufaniu, i dlatego jest w stanie przetrwać chwilowe trudności.

Domyślałam się, że jesteśmy gdzieś w połowie.

- Czasami zdarza się jakaś przygoda, ale nasze przymierze trwa i wspieramy się nawzajem duchowo, a to jest coś, czego nie zastąpi żadne, fizyczne pożądanie. Po każdym załamaniu rzucamy się w życie z jeszcze większym przywiązaniem. Wiesz, Jerne, jeszcze nigdy nie współpracowało nam się tak dobrze, jak to będzie teraz.

Słuchałam tego wszystkiego ze zdziwieniem. Zgrabna mowa. Już prawie zapomniałam, z czym przyszłam.

Aż nagle, po ostatnim zdaniu, uświadomiłam sobie coś, o czym wcześniej nie pomyślałam.

- Wyrzucasz mnie, prawda?

- Skądże. Jak możesz tak mówić. Nie"wyzucam cię", tylko w trybie natychmiastowym zawieszam w pełnieniu obowiązków służbowych i szukam kogoś innego na twoje miejsce. Więcej tu nie przychodź. Sama chyba rozumiesz, że teraz tym bardziej nie będzie mi się chciało wyrzucać pieniędzy na to, żeby twoje grafomańskie próby ukazały się w postaci książkowej. Możesz się z tym zwrócić do jakiegoś innego wydawnictwa. W każdym razie cieszę się, że nie kosztowało mnie to więcej. I nie gniewaj się, ale naprawdę dziwi mnie, że właśnie ty...

- Dlaczego?

- Wiesz dobrze dlaczego.

- Aaa, dlatego? Żałuję, że tak wyszło.

- Nie żałuj. Po prostu trzymaj się od nas z daleka.

33

Tak więc ruszyłam do domu. Z nieznanym mi przyczyn czułam, że życie się do mnie uśmiecha. Być może z powodu tej małej porannej manipulacji chemicznej, a może sprawił to skrzypiący pod nogami, błyszczący w słońcu śnieg i czyste, świeże powietrze. W jednym z warzywniaków - jako rekompensatę za wczorajsze nieudacznictwo - kupiłam sobie piękne, dojrzałe, krwiste pomarańcze i szłam przez park, machając wypchaną nimi siatką. Och, jakże mi było lekko na sercu!

Na skraju asfaltowej drogi, którą wychodziłam z parku, stał biały mikrobus, otaczała go grupka pięciu, sześciu osób. Zauważyłam Samiego. On mnie też, bo pomachał i podbiegł. Nie wiedziałam co z nim, odkąd porzuciłyśmy go z babką w bramie domu numer 63.

- Cześć. Idziesz do domu?

- Tak.

- Chciałbym cię o coś zapytać.

- Mów.

- Interesuje mnie - Sami drapał się po karku - co działo się ze mną tamtego wieczora, bo rano obudziłem się obok przepełnionego śmietnika, który z pewnością nie mógł być celem mojej drogi.

- Kto wie...

- Proszę cię, nie rób sobie żartów. Pytałem poważnie.

- A co pamiętasz?

- Pokładałaś się na barze, było ci niedobrze i spluwałaś co chwila. Potem wyjąłem skręta...

- Wypaliliśmy go.

- Tak, w męskiej ubikacji. A potem?

- Nic, poszliśmy do domu.

- Każdy osobno?

- Tak.

- Ciekawe. Ja pamiętam coś zupełnie innego.

- Na przykład co?

- A może tylko sobie wyobrażałem?

- Ale co?

- Twierdzisz, że między nami nic nie zaszło?

- A co miałyby zajść?

- Na przykład interesuje mnie, czy się pieprzyliśmy.

Bo zdaje mi się, że czyniliśmy do tego jakieś przygotowania.

- Skądże.

- Bo jeśli jednak, jeśli się pieprzyliśmy, to, pomyślałem, możliwe, że ty oczekujesz, że znowu będziemy to robić. Z kolei nie mogłem, ot tak, zadzwonić i powiedzieć: słuchaj, Jerne, przeleciałem cię zeszłej nocy? Czyli nie.

- Nie.

- Dobrze, że cię spotkałem. Cholernie głupio tak wprost pytać, pieprzyliśmy się czy nie. Nie pamiętałbym nawet, czy było nam dobrze. A gdyby nawet, to co z tego?

Ja nic nie pamiętam, a ty czekasz, kiedy przyjdę znowu.

To mnie martwiło.

- Niepotrzebnie.

- Poza tym co słyszeć? Wszystko w porządku?

- W porządku.

- My właśnie ruszamy, wieczorem gramy poza Budapesztem.

- Wciąż Coitus Interruptus?

- Nic nie mów. Jeśli o mnie chodzi, to mogłoby być nawet Obciążanie Pały, lecz nie mogliśmy dojść do porozumienia. Ciągłe się kłóciliśmy. Ale poza tym wszystko jest ok. Wkrótce będę gwiazdą rocka, zobaczysz. U ciebie też wszystko gra, prawda? A co u tego królika?

- Okrada cukiernie.

- Fajnie. Tort marchewkowy, co? To jest to, co rusza króliki.

- Jasne.

- Słuchaj, Jerne, jesteś pewna, że nie?

- Co nie?.

- Nie pieprzyliśmy się?

- Nie.

- Na pewno miałbym ochotę cię przelecieć, i dlatego śnią mi się takie rzeczy.

Mniejsza o to. Co robisz jutro?

- Dlaczego pytasz?

- Wiesz, uwielbiam to w tobie. To, że z każdym rozmawiasz tak, jakbyś chciała go obrzygać. To takie punkowe.

- Dzięki.

- Fajnie byłoby się spotkać, moglibyśmy pójść na piwo, albo co...

- Przepraszam, że ci przerywam, ale to chyba do ciebie machają z tego busika.

- Musimy ruszać. Pogadamy następnym razem.

- Cześć.

- Cześć.

Pomachał mi na pożegnanie i pognął do mikrobusu.

Patrzyłam za nim ze wzruszeniem.

Trzykrotnie nacisnęłam dzwonek, bo nie chciało mi się sięgać po klucze. Po chwili anioł wyjrzał przez wizjer, ale drzwi nie otworzył. Musiałam więc grzebać w plecaku.

Wkroczyłam wesoła, rozpromieniona, ale powitanie było jakieś zimne. Zdjęłam płaszcz i przez kilka chwil cieszyłam się z centralnego ogrzewania. Anioł oparł się o ścianę w przedpokoju i rzucał mi piorunujące spojrzenia. Do lustra przyklejona była kartka z krótką wiadomością od babki: "Psychiatra. Być może wrócę rano". To musi być jakiś żylasty egzemplarz, skoro babka poświęca na niego aż tyle czasu. No, on już na pewno nie będzie mnie leczyć.

Nagle anioł demonstracyjnie przeszedł obok mnie, po drodze z całej siły kopiąc mnie w kostkę. Poderwałam głowę.

- To nie jest sposób na załatwianie spraw, amice powiedziałam tak wolno i dobitnie, jak tylko praktykujący wampir potrafi. Anioł stanął naprzeciw mnie i prowokacyjnie oparł ręce na biodrach. Gapił się nieruchomym wzrokiem.

- No, co jest, mój aniele? - rzuciłam wyniośle.

Z wyzywającej pozy nie zrezygnował, ale nie odezwał się ani słowem. Z porozkładanych lektur wywnioskowałam, że zna litery. Wcisnęłam mu do ręki długopis i walającą się na stole kartkę.

- Pisz.

„Wiem wszystko”. Cudownie. Wszyscy wiedzą wszystko. I co z tego?

- A skąd wiesz wszystko?

Zamiast powołać się na siły wyższe anioł wskazał na mój oprawiony w skórę pamiętnik, w którym co wieczór zapisywałam najśłodsze tajemnice mego życia.

- Strasznie jesteś przebiegły - wyraziłam swoje uznanie dla pomysłowości anioła.

„Zgrzeszyłaś”, z wielkim trudem nabazgrał anioł.

Zastanawiałam się przez chwilę, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

„Twoja wina jest okropna, nic jej z ciebie nie zmyje”.

- Konkretnie która?

Anioł zaciął się na moment. Zamyślił się, a potem napisał na papierze: „Wszystkie”. Zaczynałam tracić cierpliwość. Co to w ogóle za oskarżenia?

- Nie mam żadnych grzechów i już!

„Będziesz potępiona”. Tym razem tyle miał do powiedzenia mój skrzydlaty przyjaciel.

- Słuchaj! Ja cię tu nie zapraszałam. Skoro ja nie robię ci wyrzutów, że śpisz w moim łóżku, grzebiesz mi w książkach, czytasz mój pamiętnik i snujesz się nagi całymi dniami, ty też się nie awanturuj. Słyszysz? Idź sobie!

Idź w cholerę! - wydarłam się, tracąc panowanie nad sobą. Ostatnio byłam tak zdenerwowana wtedy, kiedy w kiosku sprzątnięto mi przed nosa wszystkie czasopisma literackie.

Anioł podarł kartkę i pięścią przyłożył mi w twarz. Potem spokojnie usiadł na skraju łóżka. A ja wyszłam do kuchni po lód.

35.

Babka faktycznie wróciła dopiero nad ranem. Powiedziałam jej, że straciłam pracę i że chciałam wrócić do Anglii. Na co ona stwierdziła, że Anglia to nie jest dobre miejsce dla

początkujących wampirów, gdyż - jak wiadomo - jest bastionem anglosaskiego wampiryzmu; poza tym osoby przybywające z prowincji w ogóle nie mają szans. Poradziła mi, żebym dopóki nie umrę, została pełnoetatową pisarką. Naturalnie mogę pisać i potem, kiedy już będę wampirem, przyda się jakaś działalność jako alibi. Obiecała, że opublikuje moje bajki w prywatnym wydawnictwie. I tak ostatnio zdobyła pokaźną sumę w jakiejś sprytniej transakcji - jest co przepuścić.

Oczywiście z aniołem zawarłam pokój, rano, już około dziewiątej. Wydawał się istotą tak niewinną i spokojną, że nie potrafiłam się na niego poważnie gniewać. Poniosło go trochę, ale to może przytrafić się każdemu.

W porównaniu ze swym środowym, bojowym i agresywnym zachowaniem całkiem się uspokoił, siedział na łóżku i czytał. Zauważyłam, że jest prawdziwym małym molem książkowym. Moje książki zdążył już przeczytać co do jednej, musiałam przynieść co nieco z babcinej literatury o wampirach, żeby zapewnić mu stałą rozrywkę na odpowiednim poziomie. Wyglądało, że nie ma zamiaru nas opuszczać, babce wcale to nie przeszkadzało, powiedziała nawet, że nasz gość to błogosławieństwo, tyle różnych rzeczy potrafi całkiem zgrabnie robić.

Któregoś wieczora około godziny siódmej rozległ się wyjątkowo natarczywy dzwonek do drzwi. Otworzyłam je tylko do połowy, nie zdejmując łańcucha. Sami wcisnął do środka swoją jasną głowę.

- Cześć. Pomyślałem sobie, że sprawdzę, czy zbierasz znaczki - powiedział, poprawiając zawiązaną na szyi kobaltową jedwabną chustkę.

- Jak tu trafiłeś?

- No bo już tu kiedyś byłem. Chyba nie zaprzeczysz.

Mogę wejść?

Otworzyłam szerzej. Kiedy weszłam do pokoju, Sami podziwiał już anielskie genitalia.

- Moje też są niczego sobie, ale ten ma naprawdę okazałe. Może przeszkadzam, Jerne? Czyżby post coitum?

- Chcesz herbaty?

- Nie masz czegoś bardziej męskiego?

- Niemam.

- To niech będzie herbata.

Ruszyłam do kuchni, Sami zaraz za mną. Nie cieszyło mnie to zbyt, gdyż nasza kuchnia nie jest przeznaczona dla ludzkich oczu. Nie tylko dlatego, że babka od czasu do

czasu używa jej jako jatki, a raczej dlatego, że nie mamy zwyczaju zmywać. Brudną zastawę po prostu wyrzucamy. Kuchenne śmieci w kilku workach gniły pod oknem, babka nie umyła nawet maszynki do mięsa po akcji z dziadkiem.

- Hej, Jerne, tego faceta nie spytasz, czy chce herbaty? - zapytał Sami, kiedy usiłowałam wydobyć czajnik spod sterty rozkładających się resztek warzyw. W zeszłym tygodniu tak się zabrudził, że też musiałam go wyrzucić.

- Jest niemową. I żywi się tylko mianą - odpowiedziałam.

- Czyli to nic poważnego?

- Co?

- Z tym facetem.

- Nie. Tylko mieszkamy w jednym pokoju i śpimy w jednym łóżku.

- A czy on musi tu być?

- Nie chce odejść.

- Dziwna sytuacja - wymamrotał Sami i ukrył twarz w dłoniach. Westchnął. - To trochę komplikuje sytuację. Jerne, słuchasz mnie?

- Słucham.

- Wczoraj o świcie, kiedy wracaliśmy z imprezy i gapilem się w ciemną noc przez okno busa, uświadomiłem sobie mnóstwo rzeczy. Na przykład to, że od chwili, kiedy prawie się pieprzyliśmy, nie mogę sobie ciebie wybić z głowy. Przedtem też chciałem cię przelecieć, ale od tamtej pory jeszcze bardziej. Myślę o tobie rano, kiedy się budzę, i wieczorem, kiedy zasypiam. Nie wiem, co ty o tym...

- Ale przecież my nie...

- No dobrze, ale nie zaprzeczysz, ~ tarzaliśmy się po tym łóżku, na którym teraz czyta ten goły facet. Wczoraj podle zaprzeczałaś, ale ty też pamiętasz, Jerne. Prawda?

- Prawda.

- No. Przyszedłem, bo już nie chcę, żeby dziewczyny piszczały, kiedy zdejmuję koszulkę. - Żeby nadać swoim słowom wagi, wstał ze stołka i zaczął rozpinać różową koszulkę. - Pragnę, żebyś to ty podziwiała mój tors.

Dzwonek telefonu przerwał nasze szczerze zwierzenia.

- Jerne, do ciebie! - odezwała się babka z drugiego pokoju.

W czasie, kiedy rozmawiałam, Sami z kostek cukru zbudował małe igloo. Odpiął już wszystkie guziki swojej dandysowskiej koszuli i powiesił ją na kaloryferze, żeby rię nie pogniotła. Strasznie się rozczuliłam, słowa ledwo przechodziły mi przez gardło.

- Nie gniewaj się! - tłumaczyłam się. - Teraz nie mogę cię poczęstować herbatą.

Muszę wyjść. Zadzwoń jutro, dobrze?

Umówiłam się w Parku Miejskim, przed eklektycznym zamkiem. Postawiony z okazji tysiąclecia Węgier pawilon, prezentujący różne style węgierskiej architektury, ze względu na sukces, jaki odniósł, po zakończeniu wystawy zbudowany wstał od nowa, z nieco trwalszych materiałów. Uwielbiający sensacje piloci wycieczek bez skrpułów wmawiają swoim grupom, złożonym z anglosaskich turystów, że jest to wierna kopia zamku hrabiego Drakuli. A ci nie dość, że im wierzą, to jeszcze powtarzają te rewelacje.

Stałam sobie w pustej niecce sztucznego jeziora. Ależ brudasy z tych Węgrów, wszędzie śmiecą, stwierdziłam i ruszyłam w stronę pozbawionej kilku desek ławki. Usłyszałam hałas, dyszenie, ale zanim zdążyłam się odwrócić, czyjeś ręce złapały mnie za ramiona.

- Zawsze tak nadchodzisz - odezwałam się. - Atakujesz od tyłu.

- Zobaczyłem cię z daleka i biegłem, żeby cię dogonić - sapał jermak. - Chodź, usiądziemy! Tam, na ławce.

- Dlaczego mnie tu wezwałeś?

- A dlaczego przyszedłeś?

- Wyłącznie z powodu piżamy. Mówiłeś przez telefon, że wstała u ciebie moja piżama.

- Proszę, tu jest - Jermak podał mi kopertę formatu A4. - Przez roztargnienie spakowałem ją do swojego plecaka.

- Całe szczęście, że to nie NormaElektra ją znalazła. No to...

- Poczekaj. Nawet się nie pożegnasz? Słyszałem od Elektry, że już u nas nie pracujesz.

- Dziwisz się?

- Będzie mi ciebie brakowało. Ale tak jest lepiej.

- To prawda.

- Wiesz, tak sobie myślę, że na pewne rzeczy po prostu nie mogę sobie pozwolić - powiedział Jermak i podniósł na mnie swoje pełne łez oczy.

- Ale ja przynajmniej wszystko wyjaśniłam Elektrze.

Nie była nawet bardzo zła.

Jermak wybuchnął śmiechem i objął mnie.

- Ale z ciebie mała... No, chodź tu bliżej. Co za łabędzia szyja... To teraz zdejmijemy. - Zaczął rozplątywać mój pasiasty wełniany szalik, który przed wyjściem założyłam z powodu ostrego wiatru. Nie opierałam się bliskości fizycznej. Pozwoliłam mu się do siebie zbliżyć, niech ma dzień dziecka. Może lubi to święto.

- Smaczna jesteś... smaczna - szepnął mi do ucha.

- Nie powinniśmy... Dlaczego na to pozwalam? - Było to pytanie retoryczne, ale spodziewałam się jakiejś odpowiedzi, przynajmniej mruknięcia. Ponieważ nie nadchodziła, otworzyłam oczy i spojrzałam do góry. Jermak stał za moimi plecami. Wykręcił mi ręce do tyłu, tak, że nawet nie mogłam ruszyć ramionami; miał bardzo mocny uścisk. Z jego ust wydobył się twardy, daleki głos: - Ponieważ jest między nami braterstwo krwi.

Najpierw ja spróbowałam twojej, dlatego mam nad tobą władzę. Myślałaś, że to ty czegoś chcesz, ale tak naprawdę byłaś mi tylko posłuszna.

Nachylił się całkiem blisko.

- Nie lubię uległych ofiar. To moja perwersja. O wiele bardziej podniecające jest, jak się bronisz...

I zachłannie wbił mi zęby w szyję.

- Au, to bolało! - Poderwałam się z oburzeniem.

- Co ty sobie wyobrażasz? Co ty sobie wyobrażasz, amatoro, papierowy wampirku, że możesz mnie tak po prostu podgryzać? I że na to pozwolę? Teraz ja wysnę twoją krew. Ale tak naprawdę. Patrz i ucz się.

- To jest przemoc. Ej! To przemoc. - Próbowałam się bronić.

- A niech to szlag! - zaklął Jermak i kontynuował wysysanie. Kiedy wreszcie podniósł głowę, z jego warg kapały moje życiodajne soki. Z kieszeni wyciągnął butelkę wódki, łyknął, zagulgotał i splunął na ziemię. Zapiał kurtkę i ruszył przed siebie. Po kilku krokach odwrócił się, na jego twarzy znów rozblił dawny, pełen wyższości uśmiešek.

- Chcę, żebyś miała łatwe życie. Stałaś się częścią mnie. Albo byłaś nią. Byłaś, jesteś. A ja i tak będę.

Po tych słowach rozplynał się w powietrzu. W miejscu, w którym stał, po kilku chwilach pojawił się nietoperz i odleciał w kierunku północnowschodnim.

Osunęłam się na ławkę, głowa mi zwisała, a z tętnicy szyjnej, prosto na zamarznąłą ziemię, tryskała krew. Zaraz po tym, jak batman uciekł, straciłam przytomność.

Do rana, z powodu utraty krwi i bardzo surowej jak na tę porę roku pogody, moje ciało całkiem zeszywniało.

Epilog Jeszcze tego samego roku, w czerwcowy wieczór, siedząc na kawiarnianym tarasie, na najbardziej ruchliwym placu miasta, cieszyłyśmy się z babką panującym mrokiem i ciepłem. Zmartwychwstałam dopiero przed kilkoma dniami, dlatego wszystko wydawało mi się nowe i świeże, choć nieco zasmucał mnie fakt, że dla niektórych moich znajomych i przyjaciół definitywnie urnarłam. Babka piła wodę evian, a ja niechętnie wpychałam w siebie

porcję truskawek z bitą śmietaną - na próżno, i tak nic nie smakowało mi już jak wtedy, kiedy żyłam i uważnie przyglądałyśmy się wszystkim ludziom, głównie młodym mężczyznom.

Podnosząc głowę znad bitej śmietany, nagle dostrzegłam przechodzących przez plac jermaka i NormęElektrę, Nie zauważyli mnie, szli zajęci rozmową, szybko przebierając nogami. Babka podążyła za moim wzrokiem, po chwili na jej twarzy ukazał się uśmiech. Zawahała się przez moment, ale potem jednak się odezwała: - Widzisz, Jerne? To twoja matka i twój ojciec.

- No i co z tego? - odparłam i niechcący straciłam na ziemię szklanę z wodą. Stuknęła się, a jej cenę doliczono nam do rachunku.

Część pierwsza

1.

Siedziałyśmy właśnie w kawiarni i ćwiczyłyśmy odmianę czasowników, kiedy zapytałam, jaki jest związek między tortem Sachera a masochizmem. Zaczerwieniła się i natychmiast odwróciła wzrok, sądząc zapewne, że mam na myśli jakieś świństwo. Rozzłościło mnie to i zamiast właściwej odpowiedzi - kuriozum etymologiczne rozwiązałam tę zagadkę następująco: - I jedno, i drugie to słodka rozkosz.

Teraz, kiedy sama jestem wampirem - już ponad rok, ale wydaje mi się, jakby to było o wiele dłużej - chciałabym trochę postraszyć innych. Dwuznaczna odpowiedź też miała służyć temu celowi. Moja młoda towarzyszką zawstydzila się, i mogłam intensywnie napawać się swoim zepsuciem, a przynajmniej uważanymi za nieczyste skłonnościami do frywolności.

* Nie dziw się, drogi Czytelniku, że w książce tej pełno jest miłości. Ponieważ jeśli chodzi o dwa główne tematy literatury - śmierć i miłość, w takiej właśnie kolejności - stworzyłam już wystarczająco wiele, uważam dzieło swego życia za zakończone. J. VolraArnpere.

Na razie wampiryzm nie był dla mnie czymś płynącym prosto z serca: wypełniałam swoje obowiązki, narzekając i psiocząc, a właściwie w ogóle ich nie wypełniałam. To dlatego, że mam umysł zdecydowanie humanistyczny.

Nigdy nie interesowały mnie finanse czy rachunkowość, kosmonautyka czy picie krwi. No, cóż - chęć sprostania wymaganiom pędzącego do przodu świata... Musiałam to robić. Dwa tygodnie temu przedmiotem mych westchnień uczyniłam pewną kobietę. I tak zazwyczaj kobiety są przedmiotem pożądania, było mi więc łatwiej płynąć z nurtem niż pod prąd. Bo czyż można pragnąć mężczyzny?

Można, oczywiście, tylko że ja teraz miałam ochotę na kobietę. Nie szybko i za wszelką cenę. I nie na byle jaką.

Chciałam się niepostrzeżenie zbliżyć do młodej, stosunkowo inteligentnej Węgierki, i dlatego postanowiłam, że będę pobierać lekcje węgierskiego. Było to rozwiązanie nieco banalne, jednak narzucało się samo: intymna atmosfera, regularne spotkania i perspektywa rewanżu, bo przecież za podkreślane na czerwono błędy spotka ją na końcu zasłużona kara. Niemniej szkolne wychowanie, kładące nacisk na wolność i tolerancję, nie uchroniło mnie przed wulgarnym darwinizmem babki: zawsze odrzucały mnie brzydkie kobiety. Uważałam

je za najbardziej dziwaczny wybryk natury; lepiej byłoby, gdyby się wszystkie przekreśliły - przecież tylko piękne kwiaty nawozi się i wstawia do wazonów, reszta usycha razem z łądogami. Jednocześnie czułam, że to instynktowne obrzydzenie jest dobrym znakiem: zbliża się czas, kiedy jako arogancki wampir będę grasować po całej Europie ŚrodkowoWschodniej.

Na wybór języka wpłynęło wiele czynników. Z daleka podziwiam klimaty śródziemnomorskie, jednak topos nauczycielki francuskiego jest niemal obsceniczny, a do mnie coś takiego mimo wszystko nie pasuje. Babka z kolei agitowała za małymi językami ugrofińskimi, twierdząc, że bardzo przydają się w czasie syberyjskich wakacji.

Z drugiej strony z językami obcymi są same problemy, nie byłoby mi więc łatwo zabłysnąć.

Powyzsze argumenty zawęziły krąg do dwóch języków, a mianowicie: angielskiego i węgierskiego. Z woli babki przez dziesięć lat przebywałam się w anglosaskim kręgu kulturowym, w związku z czym na bardziej wyrafinowane tematy, jak ochrona środowiska czy globalizacja, do dziś nie jestem w stanie wydusić słowa po węgiersku. Poza tym na samą myśl, że miałabym ponownie, od początku do końca, uczyć się ubogiej morfologii języka angielskiego, przechodziły mnie ciarki. Jeśli chodzi o węgierski, mam solidne podstawy: pisałam już literaturę piękną, pracowałam jako lektor języka węgierskiego. Nadto w domu rozmawiało się głównie po węgiersku, a koszmary, które regularnie mi się śniły, także były w węgierskiej wersji językowej. Dlaczegoż więc nie miałabym się uczyć węgierskiego?

Wszystko sobie poukładałam i przystąpiłam do działania. Na ścianie odwiedzanej licznie przez inteligencję kawiarni umieściłam ogłoszenie, usiadłam przy najbliższym stoliku, zamówiłam szklankę wody i wypatrywałam ofiary. Przeznaczona mi kobieta pojawiła się mniej więcej po kwadransie, przeczytała kartkę, zerwała ją i włożyła do kieszeni z owym węgierskim animuszem, który zawsze mnie fascynował. Założyłam okulary i uważnie obserwowałam, jak wybiera stolik i czeka na kelnera - gdyby miała odrażający wygląd, nie pozwoliłabym jej ani przez chwilę uczyć mnie węgierskiego. Już raczej powiesiłabym nowe ogłoszenie. Ale była zadbaną, schludnie ubraną kobietą o przyjemnym wyglądzie, z małym podbródkiem.

Piersi miała dokładnie takie, na jakie jeszcze może sobie pozwolić istota chcąca uchodzić za inteligentną. Uczeń nie może wymagać więcej. Wróciłam do domu i czekałam na telefon.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem dowiedziałam się, że O. jest poetką (jej tożsamość niech wstanie tajemnicą, gdyż we "Wschodzącym Literacie" ukazało się wiele jej wierszy), ja z kolei podałam się za powracającą do kraju córkę mieszanego małżeństwa, która

dobrą wymowę zawdzięcza spędzonym u węgierskiej babki wakacjom. Na naszych lekcjach w celowo prymitywny sposób zachwyciałam się podmiotami, orzeczeniami, przydawkami i dopełnieniami, żeby przypadkiem nie wystraszyć O. moimi niezwykłymi zdolnościami. To tyle, jeśli chodzi o retrospekcję i wyjaśnienia. Dlatego właśnie siedziałam w kawiarni, przekomarzając z kobietą.

O. - na mak, że na dziś nauka skończona - zamknęła podręcznik zawierający wzory odmiany czasowników.

- Właśnie tak podstępne są czasowniki nieregularne.

Jak ci się podobały, Jerne?

- Dobrze - odpowiedziałam przebiegle.

- Tęgo przysłówka nie łączymy z czasownikiem "podość się". Mówimy po prostu "bardw" albo "nie", w zależności od sytuacji.

- Bardzo nie. Nie bardzo.

- Masz przed sobą jeszcze sporo nauki. Wiesz, te niuansy...

Wręczyłam O. pieniądze za lekcję i posłałam jej wdzięczne spojrzenie akonto tego, że kiedyś nauczy mnie też owych niuansów.

2.

Odprowadziłabym ją, dokądkolwiek by szła, ale od godziny jedenastej do siódmej wieczorem harowałam w pewnej restauracji wegetariańskiej o śmiesznej nazwie, za równie śmieszne pieniądze. Używszy takiego, a nie innego czasownika, bynajmniej nie chciałam sugerować, jakoby praca ta była dla mnie ciężarem. Bez ociągania się i słowa skargi wyrzucałam śmieci, programowałam zmywarę, a w wypadku co delikatniejszych naczyń wykonywałam tradycyjną pracę ręczną. Babka - choć sama nigdy nie pracowała - wychowywała mnie w typowym dla protestantyzmu idiotycznym poszanowaniu pracy. W dodatku z powodzeniem.

Poza tym warto wspomnieć, że szorowanie garów to była kara. Miałam też szlaban na pisanie bajek. Bo byłam za dobra. Wisiało to w powietrzu od dawna, jednak spełniło się dopiero wtedy, gdy babka pokazała moje teksty pewnemu znawcy - ciekawa była jego opinii. Akurat w dniu mojej śmierci obiecała mi, że opublikuje moje bajki w prywatnym wydawnictwie, ale od tamtego czasu nic się nie ruszyło. Ekspert powiedział jej bowiem: - Droga pani, gratuluję!

- Czego? - zapytała babka, a przynajmniej tak mi to relacjonowała.

- Tekstów. Muszę przyznać, że patrząc na pani, by tak rzec, dekoracyjny wygląd, nie spodziewałem się, że potrafi pani pisać.

- Nie bardzo, Ale mam program do redagowania w komputerze.

- No tak. Mimo wszystko to świetny tekst. Trzeba go natychmiast wydać. To nie może czekać. Wszyscy muszą się dowiedzieć, że śliczny rekin finansjery potrafi też całkiem zgrabnie pisać. To będzie ogromny sukces.

- Ale chciałabym jeszcze poprawić to i owo w rękopisie.

- Absolutnie, nic już nie trzeba poprawiać. Miejscami jest wprawdzie nieco chropowaty, ale w tym jego urok.

- A jednak przejrzę go jeszcze raz. Odezwę się - powiedziała babka, zgarnęła rękopis i prędko przybiegła do domu. Zerwała z głowy okulary przeciwsłoneczne i zwróciła się do mnie podniesionym głosem. Pamiętam dokładnie, siedziałam właśnie w fotelu ze sztucznej skóry i piłowałam sobie zęby, bo powoli nabierały odstraszających rozmiarów.

- Chodzą słuchy, że napisałaś coś dobrego. Nie tak się umawialiśmy! Masz pojęcie, ile kosztowała mnie ta angielska szkoła? Zmarnowane pieniądze.

- Przykro mi.

- Tu i teraz podreż na strzepy twój rękopis! Mógłby ściągnąć na nas nieszczęście.

Zastanawiałam się nad jakimś mocnym kontrargumentem, ale w zasadzie jej groźby nie zrobiły na mnie wrażenia. Wprawdzie babka, stojąc na krześle, grzebała już w poszukiwaniu zestawu do fondue, który dostała pod choinkę od swoich ulubionych brokerów, żeby w nim spalić papiery, ale ja wiedziałam: ta egzekucja może mieć jedynie charakter symboliczny. Tekst, w niezliczonych wersjach, oczekiwał na życie wieczne w szufladzie mego biurka. Mimo to uznałam, że nie okazując sprzeciwu, wyszłabym na mięczaka.

- Nie! Nie rób tego!

- A właśnie ze zrobię! I przyjmij do wiadomości, że tym samym twoja kariera artystyczna obróci się wniwecz.

- Ale sztuka jest jedynym zawodem, do którego się nadaję,

- Próbowалаś innych?

- Nie. Ale przecież sama tego dla mnie chciałaś.

Babka poprosiła o zapalki, chcąc z marchewkowej bajki zrobić ognisko.

- Nie palę - powiedziałam. - Sama obiecałaś, że będę mogła być pełnoetatową pisarką.

- A kto lubi pełnoetatowych pisarzy? W dodatku to niezdrowe.

- Ale ja nie mogę żyć bez sztuki!

- Ty już nie żyjesz, słoneczko, nie zapominaj o tym.

Święta prawda.

- Ale nie żyć też będziesz bez sztuki. Słoneczko.

- W takim razie jestem przekonana, że nigdy nie będę szczęśliwa - powiedziałam na zakończenie. (I nie byłam. Nigdy. Ale o tym przekonałam się dużo później, teraz nic nie zdradzę, nie mogę przecież zakłócać chronologii).

Wracając do dyskusji z babką: po pierwszym wybuchu nastąpiła piętnastominutowa przerwa, podczas której ja siedziałam w fotelu ze sztucznej skóry pogrążona w milczeniu, babka natomiast obok mnie - na poręczy, głaszcząc mnie po karku. Trochę mnie to zaskoczyło, ale prawdopodobnie był to tylko instynktowny odruch, który pomagał jej w koncentracji.

- Jesteś już za ciężka, żeby cię wziąć na kolana i ukołysać, ale wydaje mi się, że muszę ci przypomnieć pewną bajkę, może to na ciebie podziała.

- Którą? - Wierząc się niespokojnie, podekscytowana czekałam na opowieść.

- Tę o mrówce i świerszczu. Wiem, że znasz ją pewnie na pamięć, ale teraz usłyszysz moją wersję.

- Dobrze. - Usiadłam u stóp babki.

- A więc: Mrówka ciężko pracowała, ponieważ cechowało ją duże poczucie odpowiedzialności, wiedziała, że jej przyszłość zależy wyłącznie od niej samej.

W przeciwieństwie do niej, świerszcz uważał, że wolność i szczęście jednostki jest ważniejsze od czegokolwiek innego. przez całe lato grał na skrzypcach, po pierwsze dlatego, że czuł, iż ma do tego talent, a po drugie dlatego, że sprawiało mu to przyjemność. Tak więc mrówka, jak już mówiłam, pracowała pilnie, zbierając ziarna i okruszki, błogosławiąc obfite lato. Kiedy nadeszła sroga zima, przeciwko świerszczowi obróciły się dwie rzeczy: po pierwsze, jego błędne wyobrażenie o celu życia ziemskich stworzeń, a po drugie to, że nie potrafił patrzeć w przyszłość z odpowiednim dystansem i że z perspektywy lata zlekceważył zimę. Mrówka nie wyśmiała marznącego przed mrowiskiem świerszcza, podkreśliła tylko radio, żeby nie słyszeć, jak szczękał zębami. Kiedy już stało się, co stać się musiało, odpowiedzialnie wezwała robaki zajmujące się transportem zwłok; święcie wierzyła, że cała ta historia okaże się dobrą, choć spóźnioną, nauką dla świerszcza i innych zwierząt. Nie można bowiem oczekiwać, że reszta członków wspólnoty będzie pracować za nas. A jeśli by tak się stało, nie wolno się skarżyć. I tyle. Jaki z tego morał?

- No cóż, już sam sposób, w jaki przedstawiłaś tę historię, był niezwykle sugestywny...

- Morał jest taki, że ten, kto żyje dla sztuki, może zdechnąć, byleby to zrobił po cichu. Jest to drastyczne, lecz głęboko prawdziwe. I właśnie dlatego będziesz pracować.

- Ja bardzo lubię pracować, babciu. Lubiłam swoją pracę w wydawnictwie, to nie była męczarnia.

- No tak, ale co byś powiedziała tym razem na zajęcie wymagające mechanicznej, monotonnej pracy? Bardziej dobre byłoby coś fizycznego. Przy czym nie trzeba myśleć, tylko być uważnym. Wierz mi, znajdę ci doskonałe miejsce.

Cóż miałam powiedzieć? Co może powiedzieć ktoś, kto w dyplomie ma napisane "bajkopisarz"? Do obowiązków takich nieodpowiednio wykształconych osób należy słuchanie i cierpliwe znoszenie losu. Ale babka dotarła już na kolejny szczebel drabiny.

- Zajęczku mój, ty ewolucyjny śmieciu! Uwierzyłaś? - Chichotała bardzo nieprzyjemnie dla ucha. Przytaknęłam, że naturalnie, uwierzyłam, ale nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby okazało się, że zrobiłam lekkomyślnie i głupio.

- Podstawę ideologiczną sama wymyśliłam, ale musisz przyznać, że jest w tym logika. W każdej sytuacji potrafię uzasadnić swoje skłonności. Jestem sadystyczną staruszką, i w tym właśnie tkwi odpowiedź. Dlatego pójdziesz do pracy.

Była podniecona, jak zawsze, kiedy mogła traktować mnie w ten sposób. Podniosła się i chodząc tam i z powrotem, wyrzucała z siebie to, co wymyśliła w ciągu dnia, leżąc w trumnie.

- Czekaj, mam dla ciebie coś lepszego niż bajka o świerszczu. Co powiesz na to, że przekazuję ci gotowe cele życiowe? Myślę za ciebie. Jestem twoim mózgiem.

- Świetnie. To teraz bardzo modne - wydyszałam.

- Pozostając w sferze praktyki: zawsze dążyłam do tego, żebyś nie wyrosła na rozpieszczone dziecko milionerów, choć mego majątku wystarczyłoby na życie w zbytku. Ale to zabiłoby w tobie zdolność do radości.

W głębi duszy jestem purytanką i chcę, żebyś nauczyła się, że to właśnie jest właściwa droga. No, powiedz coś w końcu.

- Właściwa droga - powtórzyłam posłusznie.

- Tak. Dwieście lat żyłam w luksusie, ale dotarło do mnie, że to wszystko jest marnościami, i odnalazłam drogę do potępienia własności. Wtedy to zamieszkałam w obskurnej peszteńskiej czynszówce, i od tej pory jestem szczęśliwa. W mieszkaniu była wilgoć, biegały w nim stada karaluchów, ale mnie to satysfakcjonowało, cieszyłam się z każdego księgowego - w tamtych czasach księgowi byli jeszcze biednymi ludźmi - a nawet z nauczyciela geografii, gdyż wiedziałam, że w szwajcarskich bankach mam mnóstwo pieniędzy i w każdej chwili mogę stąd zwyczajnie zwać. Z taką świadomością możesz pracować i ty. To swego rodzaju ćwiczenie duchowe.

- To wszystko mówisz jako moja babka?

- Nie. Mówię ci to jako osoba znajdująca się na wyższym poziomie duchowej

świadomości i jako sadystyczna staruszka.

- Wezmę to pod uwagę.

- Tym razem się nie wykręcisz - z szatańskim uśmiechem oświadczyła babka, mając na myśli również moje wcześniejsze manewry.

Dwukrotnie już udało się babce zawlec mnie przed oblicze łowców głów. Pierwszego z nich zraziłam do siebie tym, że na pytanie o trzy najlepsze i najgorsze cechy mojego charakteru wyjaśniłam, że dobrych cech w zasadzie nie mam, w przeciwieństwie do całej masy złych: nie dość, że nie potrafię pracować w zespole, to wręcz nienawidzę ludzi, zupełnie nie radzę sobie w sytuacjach stresowych, natychmiast wpadam w panikę, a gdyby wiedział, jak jestem niekomunikatywna, przeraziłby się.

Drugiemu wystarczyło tylko napomknąć, że jedyną rzeczą, w jakiej mam doświadczenie, jest czytanie dzieł literackich, a od życia oczekuję wyłącznie, żeby nikt nie przeszkadzał mi w pisaniu bajek. Już wtedy stało się jasne, że nie zaoferuje mi żadnej pracy, ale zdradziłam mu jeszcze, że znam się na gramatyce generatywnej i literaturze anglosaskiej, a kiedy mam dobry dzień, w kilka minut potrafię stworzyć historyjkę o zwierzętach w stylu Gaszpara Heltaiego. Pan HR bynajmniej nie nagroził mnie oklaskami, wydusił tylko, że w dzisiejszych czasach nie ma zapotrzebowania na takie umiejętności. Przysięgam, że wszystko, co powiedziałam, było szczerą prawdą. Okazało się jednak, że w danej sytuacji społeczeństwo wcale tego ode mnie nie oczekiwało. Babka powiedziała mi wtedy, że jestem wredna bestia, i jeszcze tego pożałuję. Właśnie nadeszła ta chwila.

3.

Następnego dnia, obie wystrojone, pomaszzerowałyśmy do mojego przyszłego pracodawcy. Wystarczył jeden telefon i babka już wiedziała, gdzie jest moje miejsce w chaotycznym świecie. Szyld wisiał od strony ulicy, ale sama restauracja znajdowała się w ciemnej bramie z odrapanymi ścianami. Natomiast w środku - snopy światła i parada warzyw. Tyle udało mi się dojrzeć przez okno, z nosem przyklejonym do szyby. Spokojnie mogłam sobie pozwolić na takie gesty, gdyż babka, angażując wszystkie swoje wpływy, zaanonsowała mnie jako niepełnosprawną umysłowo kuzynkę - żeby jeszcze bardziej się cieszyli. Zatrudnianie osób o zmniejszonej zdolności do pracy jest bowiem bardzo opłacalne.

Pomysł babki w pierwszej chwili wydał mi się jedynie absurdalny, jednak później uznałam go za stanowczo obrzydliwy.

- O, nie! - zaprotestowałam. - Jak możesz sądzić, że moje inteligentne spojrzenie nie zdradzi mnie?

- Wstaw tam cudzysłów - odgryzła się babka, i rzeczywiście, muszę przyznać, że

miało to raczej wydźwięk ironiczny. Przez chwilę się sprzeczałyśmy, w końcu obie poszłyśmy na ustępstwa.

- Miej zawsze przestraszony i głupi wyraz twarzy, żeby nie zauważyli, jak bardzo przewyższasz ich intelektualnie - pouczała mnie babka, poprawiając mi kołnierzyk bluzki. - To wystarczy.

Mam się zachowywać jak królewicz w przebraniu na dworze królazdrajcy, który pozbawił go tronu i zabił jego rodziców?

- Jeśli w ten sposób łatwiej ci się odnaleźć, to tak.

- I trochę jak Głupi Jasio?

- Tak. Nie wyskakuj przede mną.

Właściciel znał babkę od lat - a jednak żył. Atti właściwie Attyła, ale dla babki Atti - na uniwersytecie trafił do zakłętego kręgu kultury wschodu, natychmiast przeszedł na wegetarianizm, potem zaczął uprawiać aikido. Pierwotnie miał być językoznawcą ogólnym i teoretycznym, interesowała go też filozofia, jednak nagła, tragiczna śmierć rodziców zmusiła go do zrezygnowania z tej beztroski, musiał bowiem zaopatrywać siebie i swą uroczo brzydką siostrę w najróżniejsze środki odurzające, i szybko sprzedał nawet domek nad Balatonem. Z pieniędzy z polisy rodziców rozkręcił restaurację wegetariańską, oferującą nie potrawy makrobiotyczne, lecz domowe dania bezmięsne. Babka czuła do Attyli głęboki podziw, gdyż - jak mi zdradziła - nie widziała jeszcze narkomana, który pomimo tak zaawansowanego stanu zachowałby taką trzeźwość, jeśli chodzi o interesy.

We wnętrzu królowały symbole pokojowe oraz hasła potępiające spożywanie białka zwierzęcego, choć - jak wynikało z karty, którą przeglądałam, gdy babka pertraktowała z Attylą - serwowano tu również dania przygotowywane z mleka samodojących się krów, z jajek znoszonych przez wolne i szczęśliwe kury, a na specjalne życzenie z łososisamobójców.

Atti przedstawił mi się uprzejmie, po czym położył przede mną test i grzecznie poprosił, żebym go wypełniła. Zdziwiona mina babki mówiła sama za siebie: „A na co to..

- Wegetarianizm to nie tylko jedzenie roślin. Interesują mnie też poglądy moich pracowników.

Babka szepnęła mi do ucha, żebym się postarała, i zabrałam się za wypełnianie. Równocześnie słyszałam i widziałam, jak Atti, robiąc gest w moją stronę, pyta: - Mięsożerna?

- Nie - odpowiedziała babka. - Sądzisz, że przyprowadziłabym ci tu padlinożercę?

- Pytam, bo chyba dostałbym dreszczy, widząc, jak w przerwie obiadowej wsuwa bułkę z kotлетem schabowym. Psułaby karmę tego miejsca.

- Skądże. Ona nawet w domu nic nie je.

- Nic?

- Tylko ziarna i wodę.

- W porządku. Miewa jakieś wyskoki, napady złości czy coś w tym stylu?

- Skądże. Jest zupełnie spokojna. Powiesz jej, co ma robić, i będzie robić swoje. Bądź w stosunku do niej zawsze energiczny i zdecydowany. Pilnuj tylko, żeby fantazjowanie nie przeszkadzało jej ręką w szybkiej pracy.

Będzie dobrze, zapewniam cię.

- Skoro tak twierdzisz. Ja ci ufam. Ocenię test, i jeśli wynik będzie zadowalający, przyjmę ją - powiedział Atti, po czym uśmiechnął się do mnie zachęcająco, jak ktoś, kto próbuje oswoić rysia. Czy aby spodoba mu się moje grzeczne spojrzenie i dobroduszny uśmiech, pod którym skrywam miotające się w zamknięciu dzikie zwierzę, potwora podświadomości? Jeśli o mnie chodzi, już go polubiłam: szefowie na ogół są tacy pociągający, nawet jeśli nie są zbyt wysocy, przystojni ani mądrzy.

Naturalnie wszystko zakończyło się hepiendem. Następnego dnia babka oświadczyła, że Atti zadzwonił do niej z informacją: dostałam pracę.

- Attiego zauroczyła świeżonaiwna postawa, jaką prezentujesz - powiedziała babka obojętnie. Przytaknęłam: pokazałam, że się cieszę. Moja prawowita opiekunka poinformowała mnie następnie, że wyraźnie uświadomiła kierownictwu, iż nie jestem w stanie z nikim efektywnie współpracować, w związku z czym zostałam skierowana do zmywania naczyń, i już następnego dnia rano mogłam przystąpić do pracy.

Jeśli chodzi o miejsce pracy: nie żałowałam. Naturalnie babce często gęsto skarżyłam się na ból nóg i pleców, na zmęczenie, ale robiłam to tylko po to, żeby nie domyśliła się, co byłoby dla mnie prawdziwą męczarnią. Jako typ schizoidalny - urodziłam się przecież jeszcze w dwudziestym wieku - hołduję raczej działaniom samotniczym, zatem sama w zmywalni naczyń, zwanej popularnie zmywakiem, czułam się lepiej niż w brzuchu matki, jeśli kiedykolwiek w nim przebywałam; sposób, w jaki przyszłam na świat, wciąż jest bowiem dla mnie niejasny. Nadto już wcześniej kategorycznie oznajmiłam, że nie zamierzam dzielić się z nikim swoimi myślami, zachowując je wyłącznie dla literatury i bajek. Reklama, handel, telekomunikacja oraz inne rentowne branże niech szczeną beze mnie.

Część druga

4.

Kiedy Hans Christian Andersen przybył do Pesztbuuy, pierwszą rzeczą, jaką zrobił, gdy na jego drodze pojawiła się księgarnia, było kupienie niemieckiego przekładu Improwizatora - własnej powieści, która osiągnęła spory sukces. I wtedy pokochał to miasto. Po tego typu łup duchowy warto jechać aż do Budapesztu. Jednakże moje książki nie pojawiają się w witrynach tego miasta. Z tego powodu czułam - objawiający się również fizycznie wydobywający się z okolic żołądka żal nad sobą. jednakże były to tylko lekkie ukłucia. Była sucha, ładna pogoda, a po ulicach kręciło tyle zakochanych par oraz kobiet W ciąży, że robiło mi się słabo. Wyrwani ze swego naturalnego środowiska - kawiarnie i parki - zbici w je~ den ciemny tłum, ludzie sprawiali nieprzyjemne wrażenie i działali na mnie deprymująco.

Celem życia może być dla pisarza znalezienie się w podręcznikach literatury dla szkół podstawowych i średnich, inni z kolei chcą na wszelkie sposoby zademonstrować swoje wszechstronne wykształcenie, głęboką mądrość lub cierpką, męską ironię. Tego ostatniego było mi szczególnie żal. Nikt się nie dowie, że choć wyglądam na stukniętą wariatkę, w rzeczywistości jestem fajna i inteligentna. No proszę. Już cierpię. Tak jak to sprytnie wykombinowała babka. Jeszcze na koniec zacznę pisać wiersze. Naturalnie nauka jest całkowicie bezradna wobec takich zapędów nikt nie wie, jak można się na to uodpornić.

Poprzednie miejsce pracy lubiałam bardziej niż obecne między innymi dlatego, że mogłam do niego dojść przez park, a teraz musiałam pokonywać zatłoczone ulice. Udałam się tam prosto od O., ale zostałam odesłana do domu z obietnicą, że brudne naczynia po odbywającej się właśnie imprezie zamkniętej będą na mnie czekać jutro. Chodziłam po zupełnie innych ulicach, ponieważ mieszkaliśmy teraz gdzie indziej niż dawniej, kiedy jeszcze żyłam.

Wynajmowałyśmy przestronny pokój z kuchnią w samym centrum, żeby nikt nie mógł nas odnaleźć. Pornieściłyśmy się znakomicie - babka zajmowała pokój, ja natomiast kuchnię i łazienkę. Spieszyłam się do domu, do naszego przytulnego gniazdko: trzy regały, fotel, biurko, krzesło, stół i trumna. Cała reszta gratów, zapakowana w kontenery, była w drodze do Finlandii. Właśnie tam.

- Babuniu, a co z trumną? Nie jedzie do Finlandii? - Dotarłam do domu i znów, jak od tygodni, tylko pakowałyśmy rzeczy. W końcu na trzy dni przed podróżą zostały jedynie

przedmioty codziennego użytku.

- Nie. Na miejscu kupię sobie nową. Chcę zawsze mieć na Węgrzech swoją trumnę. Żebym czuła, że nie odjeżdżam na zawsze. Dojdzie tu jeszcze do narodowej zagłady. Wierzę w Węgrów - zapewniała babka.

- I ja mam na to czekać?

- Tak. Wyobraź sobie tylko, jak ciekawie będzie obserwować kraj zmierzający ku upadkowi.

- Wolałabym pojechać z tobą. - Z całego serca wierzyłam w rozkwit węgierskiej gospodarki i demokracji, ale z natury jestem osobą prorodzinną: jeżeli moja krewna chce żyć w kraju dobrobytu, to moje miejsce jest przy niej. Pamiętam, że gdzieś zapisałam, jak wspaniale jest mieszkać na Węgrzech. Koniecznie muszę odnaleźć tę kartkę, gdyż nie potrafię dokładnie zacytować jej treści.

Tak więc cieszę się życiem tutaj wyłącznie na podstawie mglistych wspomnień.

- Czy nie mówiłaś wczoraj w centrum handlowym, że to postindustrialne, postmodernistyczne piekło działa na ciebie przygnębiająco? - kontynuowała babka pytająco. - Jeśli tak wygląda tutejsza sytuacja, czego oczekujesz od dekadentckiego zachodu?

- Wczoraj tylko żartowałam, babciu, wierz mi.

- Nie rób sobie ze mnie żartów, serdeńko. Wiesz, jakie masz zadanie, i ciesz się, że właśnie tu musisz cierpieć, bo mogłabym cię wysłać w podróż edukacyjną do Rumunii. - Tym stwierdzeniem babka szybko zamknęła dyskusję. Tak przynajmniej sądziła. Albowiem w tym momencie przyszło mi na myśl, jak inspirujące byłoby zmywanie w Unii Europejskiej.

- Ale jestem już pełnoletnia. Nie możesz mi mówić, gdzie mam mieszkać.

- Ty mi tu lepiej nie podskakuj, jak pchła w cyrku.

Masz szanować mój wiek.

- A cóż innego mogłabym szanować?

- Moja przeszłość nakazuje szacunek. Więc spuść trochę z tonu, moja droga. Mnie traktujesz w ten sposób? Mnie, której sam Robespierre zagładał w dekolcie, której Franciszek Liszt składał niemoralne propozycje, która prawie widziała na własne oczy Móra Jókaiego, z którą chciał się ożenić Kierkegaard...

- Akurat Kierkegaard?

- Akurat. Której Oscar Wilde powiedział swój niepublikowany aforyzm...

- Babciu, zacznij powoli przechodzić do wieku dwudziestego.

- Wiek dwudziesty jest jeszcze bardzo bliski. Ale nie omieszkać wspomnieć, że raz obejrzał się za mną Ede Teller.

- Jeśli jeszcze powiesz, że Thommy Berggren rzucał ci ukradkowe spojrzenia, padnę przed tobą na kolana, babuniu.

- A któż to taki, u diaska? Informator braci Grimm?

- Ponieważ jesteś moją krewną, wybaczam ci, że przeoczyłaś Thommy' ego Berggrena, ale wskazuje to na luki w twoim wykształceniu.

- Znów zachowujesz się podle. Od trzech minut bez przerwy jesteś podła. Dokuczasz swojej starej babce, denerwujesz ją... Jeśli nie przestaniesz, pewnego pięknego dnia ockniesz się, widząc, że zbliżam się z kutym świecznikiem skierowanym w twoje serce. Albo przywiążę do ciebie jakąś świętą relikwię i zgnijesz niczym świńska wątroba w południowym słońcu.

- A po powiekach biegać mi będą paskudne pluskwy...

- Właśnie tak...

- Jeśli o mnie chodzi, taka perspektywa na przyszłość w zupełności mnie zadowala. Niczego lepszego nie mogę oczekiwać od losu, skoro zdecydowałaś odegrać jego rolę - powiedziałam, gdyż równocześnie przyszło mi na myśl, że nie wzgardziłabym też totalną nirwaną, skoro praca na zachodzie jest rzeczą nie do przewalczenia.

- Te prowokacyjne, wypełnione żądzą śmierci deklaracje już dawno powinnaś mieć za sobą. Powiedzmy, odkąd skończyłaś siedemnaście lat.

- Wtedy byłam za granicą, babciu. Sama.

- Jesteś dziecinną. Ale nie wystarczająco dziecinnia. To prawda, wtedy jeszcze panicznie się mnie bałaś. Byłam z ciebie dumna i współczułam innym matkom i babkom. A teraz faktycznie nie mam już ochoty strzepić sobie języka. Będzie tak, jak powiedziałam, nawet gdybyś miała sto lat. Dopóki jesteś ze mną, ja decyduję.

Kilkaset lat na Węgrzech? Kucnęłam na podłodze i zaczęłam masować sobie skronie. Wraz ze starzeniem się wszystko zmienia się na gorsze. Staczam się coraz niżej.

I dlatego próbowałam przywołać najlepszy okres swojego życia; po krótkim namyśle z przerażeniem stwierdziłam, że niechybnie były to traumatyczne pierwsze trzy lata.

5.

Kucharz - dwudziestopięciolatek po maturze - powiedział, że choć nie je mięsa, to i tak nie znosi Rumunów, Arabów, Chińczyków i Cyganów. Pomoc kuchenna kroїła warzywa, a my odpoczywaliśmy przed atakiem gości przy bulgocącym daniu dnia.

- A ty? - zapytał.

- Ja też wszystkich nienawidzę - odpowiedziałam z rozpromienioną twarzą, gdyż była to pierwsza próba zbliżenia ze strony kucharza, mimo że pracowałam tam już od kilku

tygodni, i to jak wół. Chciałam się już trochę otworzyć przed kolegami.

- Wszystkich nie trzeba. Porządnych węgierskich ludzi pracy nie trzeba.
- Ale ja do nich też odczuwam wstręt.
- Do biednych robotników z rodzinami?
- Do nich przede wszystkim.
- No nie mów takich rzeczy. Żartujesz, prawda?
- Zostaw ją! - wtrąciła się pomoc kuchenna.
- Grunt to spokój - prychnął kucharz i podniósł się, żeby zamieszać przeznaczoną do żywienia mas grochówkę.

Trochę zaskoczona wróciłam do zmywania i zaczęłam się zastanawiać, czy rozgrzewająca krew Węgrów czerwona papryka ma z tym wszystkim jakiś związek. Czytałam kiedyś, że alkaloid zwany kapsaicyną podrażnia ścianki żołądka. Osoba z zewnątrz nigdy nie zrozumie węgierskiego temperamentu bez zgłębienia tajników tutejszej kuchni. Ale trzeba się przystosować i nie zapominać, że w węgierskiej nienawiści przejawia się pamięć o paskudnych rezultatach zasady divide et impera. Podreptałam z powrotem do kuchni. Przede wszystkim chyba dlatego, że nienawiść łączy ludzi bardziej niż miłość, nie ma w niej bowiem miejsca dla rywalizacji.

- Przepraszam. Żartowałam. Nie znoszę tych samych, co ty! - I wyciągnęłam rękę na zgodę.

- Domyślałem się, że żartujesz. - Kucharz przybił piątkę. - Słyszysz, co mówi? No, to wypijmy po kieliszeczkę ekologicznego wina za porozumienie! Laluniu, przynieś no tę butelkę, którą wczoraj otwieraliśmy dla gościa. Coś tam jeszcze zostało na dnie.

Pomoc kuchenna, przerywając krojenie pomidorów, pognała do lodówki. Tak naprawdę interesował mnie charakter szefa, gdyż ów idealista o twarzy anioła rzadko pojawiał się w kuchni.

- On? Egzaltowany budański paniczyk. Wychował się w dobrobycie, a teraz dzieli się z pracownikami swoimi: mi mądrościami, jak to niby trzeba zasuwać.

Pojawiająca się w dialektyce kucharza - wielokrotnie i z naciskiem - samoświadomość robotnicza zdziwiła mnie co niemiara, ponieważ nie zaliczam kucharzy do proletariatu. Blanszowanie, dwie łyżki macierzanki... do tego trzeba mieć głowę. Może jego ojciec był górnikiem albo tokarzem, i w ten sposób wykształciła się w nim świadomość klasowa. Zaplecze rodzinne - to może być przyczyna, to jest zawsze element decydujący. Mężczyzna rozwodził się nad spokojną naturą Attiego w charakterystycznych sformułowaniach, dla odzwierciedlenia jego świętej cierpliwości użył metafor związanych z owcami, a wszystko to

osiągnęło kulminację w zanuconej na znaną melodię czastuszcze:”Póki ci starczy sił w tchawicy, póty ty, głupi, będziesz beczeć”. W wolnym czasie Atti organizował bowiem szkolenia dla pracowników i na przykład kucharzowi zabronił dotykania czegokolwiek, kiedy jest zdenerwowany, gdyż mógłby swoją złością, brudami swej duszy, zatrucić jedzenie.

Słuchałabym pewnie opowieści swych współpracowników aż do wieczora, gdyby nie to, że kelner przyniósł pierwsze zamówienie na grillowanego bakłazana, i całe zgromadzenie rozeszło się. Prawdziwe środowisko robotnicze, skwitowałam, gdzie wspólna praca, wspólne problemy zbliżają ludzi i łączą ich w jedno. To były momenty, w których przypominał mi się głęboki wstrząs, jakiego doznałam, kiedy po wielu latach powróciłam na Węgry - do kraju wolnorynkowego kapitalizmu. Choć już w wieku lat dwunastu płakałam - na sam dźwięk słowa”pańska skórka”, byłam bowiem przekonana, że dzielni praojcowie Węgrów już dawno rozprawili się z dręczącymi ich niegdyś panami.

6.

Z powieści można się dowiedzieć o kobietach wszystkiego, co warto wiedzieć. Prawdziwe kobiety żyją już tylko w powieściach, a istoty z krwi i kości czerpią z fikcji, kiedy chcą naprawdę pięknie umrzeć w jakiejś wielkiej roli. Mogę jedynie szacować liczbę przebadanych przeze mnie dzieł prozatorskich, jednak z całą pewnością zgłębiłam je na tyle, aby moja opinia była miarodajna. Dlatego kategorycznie twierdzę, że w kobietach tylko ciało jest tym, czym warto się bliżej interesować - cała reszta jest dla koneserów.

Męska dusza i kobiece ciało - o tym mówi historia świata. Potrafię też w kilku zdaniach podsumować główne typy: blondynki są łagodne, dobre i miłe; szatynki i brunetki - porywcze, uparte i rzadko mają dobre zamiary. Według innej wersji: brunetki są tajemnicze, rude mają temperament, szatynki są mądre, a blondynki nie, ale za to namiętne. Wprawdzie to też wyczytałam w pewnej książce, ale jestem skłonna uwierzyć, gdyż wykazuje ona sporą znajomość ludzkich charakterów. Martwi mnie natomiast, że zdaniem uczonych amerykańskich naturalne blondynki wkrótce wyginą, i coraz częściej konieczne będzie lekkie tlenienie.

W rezultacie nie wiedziałam, co sądzić o ciemnych, falujących puklach O., ale chyba wolałam, żeby okazały się farbowane. Poza tym miałam nadzieję na jak najlepsze zakończenie, bowiem już po trzecim spotkaniu O. zaproponowała, żeby lekcje odbywały się u niej w domu.

Co za kobieta! Ma mieszkanie. Nieposprzątana klatka schodowa, dwa pokoje i hol, brudne dywany, z okna łazienki widać ciemne, wąskie podwórko wewnętrzne (wymieniam w kolejności, w jakiej ukazywało się to moim oczom).

O. koncentrowała się tym, żeby nalać do filiżanki bladego od cukru i cytryny naparu z liści herbaty, podać mi go, a w tym samym czasie efektywnie narzekać, jak ciężkie jest życie początkującej poetki. Nie cieszyłam się ani z herbaty - na języku czułam wyłącznie gorącą wodę ani z narzekania, za to podobały mi się piersi O. - tego nie mogę pominąć. Takie szczegóły nie umykają mojej uwadze: wznosiły się wdzięcznie pod kusym niebieskim sweterkiem.

- Nie za dużo cukru?

- Nie, wcale. - Skąd niby miałabym wiedzieć?

- Ale przecież to jest potwornie słodkie. Może dodajmy mleka.

Dolała, i dalej narzekała. Nie wiedziałam, co ją boli, z tego, co słyszałam, Węgrzy lubią ładne młode poetki, dopóki te nie urodzą dzieci, a czasami dłużej, dopóki miłość trwa. Naturalnie kwestia urody O. pojawiała się tylko w odniesieniu do jej statusu poetki, nie była zjawiskiem aż tak atrakcyjnym, żeby zwała człowieka z nóg.

- Nikt nie czyta wierszy. Na sto osób wiersze czyta dwie dziesiąte. A ty, Jerne, czytasz wiersze?

- Nie.

- Naprawdę? - Przestraszyła się, że otworzyła serce przed kimś spoza kręgu. Ale dała mi jeszcze szansę.

- Może nie rozumiesz węgierskich wierszy?

Rozumiem. Tylko że ja nie mam duszy.

- Nie masz duszy? Ciekawa jestem, co chcesz przez to powiedzieć. Może że nie jesteś wrażliwa na lirykę?

- Na przykład.

- To niemożliwe. Być może próbowałam z nieodpowiednimi wierszami. Poezja jest jedną z najlepszych rzeczy, jakie istnieją. Jest oszałamiająca. Ja na przykład zawsze w czasie orgazmu myślę o poezji.

- A ja nie. - Nie wdawałam się w szczegóły: co nie i czego nie. Zanurzyłam język w gorącej wodzie i już wiedziałam, że w ten sposób nie podbiję serca poetki. Powinnam do tego podejść bardziej dyplomatycznie, wyrobić sobie jakąś opinię. Zaczęłam od początku: - Ja nie myślę o poezji, tylko w ogóle o literaturze. LITERATURA.

Pozłacane wielkie litery, jak Metro Goldwyn Mayer.

- Brzmi ciekawie. Muszę to wypróbować.

- Tak, tak, wypróbuj!

Przywołałam jeden ze swych najsympatyczniejszych grzecznych uśmiechów,

jednocześnie w wyłączonych z użytku zakamarkach mojego mózgu gorączkowo szukając jakiegoś neutralnego tematu. Intrygowało mnie, czy O. jest tak głupia, czy ma aż takie zdolności adaptacyjne.

Ale prędej przypomniła sobie, po co właściwie siedzimy: - A więc... Jaka była na dziś praca domowa?

- Rodzina. Mam czytać?

- Czytaj.

Odczytałam swoje potworne wypracowanie, nie będę go jednak przytaczać, ryzykując, że redaktor i tak je wykreśli. Mówiło o tacie, mamie, rodzeństwie i domowym szczęściu.

Króciutkie, ale zabawne - powiedziała O.

- Napisałam coś śmiesznego, bo moja prawdziwa rodzina jest nudna.

- Ciekawą rzeczą jest u ciebie to, że więcej błędów robisz pisząc niż mówiąc.

- Bo mam czas na zastanawianie się.

Ale się nad tym natrudziłam: najpierw napisałam wszystko po angielsku, przetłumaczyłam słowo w słowo na węgierski, potem zaczęłam ulepszać: na przykład w trzech miejscach opuściłam czasowniki, jeden zaimek osobowy, kilka innych ważnych elementów języka aglutynacyjnego, zostawiłam też trochę niepotrzebnych rzeczy, tak dla smaku. Aha, i wszędzie, gdzie to było możliwe, pozamieniałam koniugację przedmiotową na podmiotową, i odwrotnie, bo to zawsze najbardziej rzuca się w oczy.

- No tak, być może w sytuacjach, kiedy trzeba reagować natychmiast, węgierski, z którym osłuchałaś się jeszcze jako niemowlę, wychodzi z ciebie instynktownie.

- Tak właśnie jest.

- Doceniam twoje starania. Węgierski jest jednym z najtrudniej szych języków, w dodatku, z obiektywnego punktu widzenia, całkowicie nieprzydatnym. Ty też uczysz się go ze względów sentymentalnych, prawda?

- Oczywiście - odpowiedziałam i wbiłam w jej oczy hipnotyzujące spojrzenie, będące jednym z podstawowych chwytów, od niedawna przeze mnie stosowanych. Wyrobię się jeszcze w tym "wampirowaniu", jak muł w oraniu, stwierdziłam, kiedy O., z lekkim drżeniem, wbiła się w oparcie fotela. Przynajmniej miałam nadzieję, że przyczyną tego nie był powiew zimna, chciałam mieć wreszcie namiastkę sukcesu.

7.

Babka od dłuższego czasu całe dni spędzała na kupowaniu niezbędnych do życia za granicą węgierskich specjalów, robiąc to w niesamowitym tempie i z ogromnym zaangażowaniem. "Jak mogłabym się bez tego obejść", mawiała, wypakowując przede mną na

stół po kolei miód akacjowy, gęsie wątróbki, tokaj i mieloną paprykę. Ponieważ były to wszystko artykuły spożywcze, nie bardzo rozumiałam, dlaczego nie mogłaby się bez nich obejść na obczyźnie, ale już na samą myśl o tym, że miałabym ją o to pytać, poczułam się zmęczona. To musi być jakaś ściśle tajna sprawa - stwierdziłam. Leżałam na kanapie z brulionem na kolanach i obserwowałam tę energiczną femme fatale. Spojrzała na mnie i od niechcenia rzuciła: - W całym tym biegu wpadłam w mieście na twojego ojca. Spacerował sobie z jakimś ładnym osiemnastoletnim chłopcem.

- Skąd wiesz, że ten chłopiec ma osiemnaście lat?

Miał wypisaną na czole datę produkcji? - zapytałam trochę uszczypliwie. Słyszając wieści o ojcu, czułam się jak Alicja, kiedy skończyła dziesięć lat i Lewis Carroll więcej już na nią nie spojrzał. Nieprzyjemne, ale nie rani zbyt mocno.

- A dlaczego nie miałabym wiedzieć? Może to ja trzymałam świeczkę, kiedy przychodził na świat.

- Jednego jestem pewna, babciu, ty już na pewno wiele w życiu widziałaś. A nie wiesz przypadkiem, co zrobić, żeby zdobyć kobietę?

- A ty ciągle w tym samym miejscu?

- Jeszcze nigdy tego nie robiłam. Pomóż mi. - Naprawdę byłam bezradna, już dwie kartki zabazgrałam planami działania i zdaniem, które jak sądziłam, mogły być skuteczne.

- Jeśli masz na myśli działanie werbalne, przejrzyj sobie to - powiedziała babunia i z pudła wypełnionego rzeczami do wyrzucenia wydobyła przewiązany grubym sznurkiem plik listów.

- Listy miłosne? Miałaś romans?

- Ja nie. Ale z zewnątrz tak to właśnie wyglądało, niezależnie od punktu widzenia. Najważniejsze, że na końcu to ja okazałam się zwyciężcą. Odwróciłam ich uwagę i zaatakowałam od tyłu. Wampiry zawsze tak robią.

- Wiem - przytaknęłam i rozpakowałam listy.

- Opowiem ci, jak to było - zaczęła poważnie babka, segregując majtki kolorami i upychając je w różnych zakamarkach walizki. Nazajutrz rano leciała do Helsinek. - Ten facet pisał listy dlatego, bo był niższy ode mnie. Dla mężczyzny to jest poważny defekt, w zasadzie niewybaczalny.

Równocześnie rozkładałam na kolanach kolorowe kartki.

- A może to nie był ten? Pokaż no charakter pisma.

Albo podpis. Przez chwilę myślałam, że to od tego cherlawego matematyka, z którym tak brutalnie obeszło się życie. Ale nie. To od kogoś innego. Niestety, nie pamiętam jego

imienia.

-”ściskam, twój...”.

- Nie wąż się czytać na głos tego okropnego zdrobnienia, bo zaraz się porzygam. Od tych wszystkich brudnych spraw intymnych przewraca mi się w żołądku. Wiem kto to, pewnie, że wiem. W tych nowszych jeszcze się jakoś orientuję, ale zanim używanie telefonu stało się rzeczą powszechną, musiałam zatrudnić sekretarza do załatwiania korespondencji. Koperty z tamtych czasów dawno już wyrzuciłam, pełno w nich było kosmyków włosów i zasuszonych kwiatków, których przechowywanie jest mało higieniczne.

Zabrałam się za czytanie listów, na walających się koło telefonu karteczkach zapisałam kilka zwrotów, które przypadły mi do gustu.

- Babciu, ty naprawdę pozwalałaś się komuś ścisnąć?

- Patrząc z zewnątrz, życie wampirów jest samym blaskiem, wiąże się z nim jednak też kilka obrzydliwych rzeczy.

Zgodnie stwierdziłyśmy, że obmacywanie i lizanie należy w tej działalności do”czarnej roboty”, ale później babka powróciła do rozpoczętego tematu.

- Właśnie dlatego telefon jest cudownym wynalazkiem. I cieszy mnie rozwój technologii telekomunikacyjnych, w które odważnie, ale mądrze zainwestowałam połowę majątku. Zrobiłam to, aby doprowadzić do upadku listów miłosnych, i żeby w eterze i cyberprzestrzeni rozbrzmiało analogiczne paplanie. Uważam to za swoją misję, gdyż poza kontraktami nic innego nie zasługuje na to, aby istnieć dłużej niż kilka miesięcy, wszelkie ślady miłosnego kumkania, szkodliwie zbierają się we wszechświecie, podobnie jak zdaniem bioenergoterapeutów, toksyny w ludzkim ciele. Ja też jestem odpowiedzialna za Ziemię, muszę z niej zrobić lepsze miejsce, przecież sama spędzę tu jeszcze sto albo i tysiąc lat. - Babka upchnęła w walizce resztę czarnej bielizny i zatrzasnęła wieko. - I co, znalazłaś coś?

- Tak, zapisałam kilka cytatów.

- Jakich? Przeczytaj.

-”Moje życie nabrało przy tobie treści. Marzyłem o tym skrycie”. Dostrzegam w tym topos zakazanego owocu.”Twoje spojrzenie. Hmm! Nie sposób go odczytać”. Owo”hmm” buduje nastrój, przywodzi na myśl rozkosz.”Jesteś niezwykle inspirująca. Piękna i skłaniająca do myślenia”. Łączy wartości estetyczne i duchowe. To sprytne. I ostatnie:.Poddaj się irracjonalizmowi i mnie”.

- Widzisz? Na końcu rozum jednak pozostaje w tyle.

Prawda, Jerne, jakie to interesujące? Miejscami niezwykle zabawne, a jednak mimo wszystko podniosłe. Wydaje mi się, że przez tych kilka tygodni całą swoją energię umysłową

włożył w te listy. Jeśli ci się podobają, spokojnie możesz z nich korzystać. Nie są objęte prawami autorskimi.

- Dziękuję, babciu.

- Albo poszperaj jeszcze w tym pudle. Pełno w nim szczerych uczuć.

Leżałam na brzuchu na sofie w kuchni - tutaj sypiałam, żeby nie zakłócać babce intymnej sfery życia i snułam plany. Zebrałam już tyle materiałów na temat miłości, że w każdej chwili mogłam napisać romantyczny dialog między naj starszym synem wpływowego Chomika a młodą zajęzycąprzybłądą, Mogłam o tym rozmyślać tylko dla zabawy - na szczęście myśleć każdemu wolno - gdyż jak wspominałam, nie wolno mi pisać bajek.

Wyobraziłam sobie nawet scenę, w której siwy Chomik stara się odwieść syna od zamiaru popełnienia mezaliansu. „Ależ ojciec - tak powiedziałby syn - dlaczego to właśnie ja, spośród tysiąca dwustu czterdziestu twoich potomków, nie mogę pójść za głosem serca?” „Zrozum, kapuściany głąbie, że nie będziecie się mogli rozmnażać, a w naturze to właśnie stanowi największą siłę przyciągania”. „A wzajemna sympatia nie ma żadnego znaczenia?

W takim razie, ojciec, jestem gotów zrezygnować z obyczajów przodków dla innej siły przyciągania, dla miłości” powiedziała młodzieniec i opuścił chomiczą norę, trzaskając drzwiami. A może one nie mają drzwi? Skoro już mówią i żenią się, to taki szczegół nie jest w stanie zaważyć na wiarygodności.

Myślę, że odnalazłam właściwy ton. Gdybym jeszcze poczytała literaturę fachową, potrafiłabym nauczyć moich zwierzęcych bohaterów znaczenia miłosnych wyznań.

Dlaczego jestem tak niezdolnie mądra? Dlatego, że już umarłam, czy dlatego, że tak dużo zmywam? Na wzór Jelonka Bambi i jego dzieci napisałabym cykl bajek Inicjatyw i jego szczenięta. Moim zdaniem zakazana miłość, która przewycięża wszystkie przeszkody, jest królową tematów dzieł artystycznych i nadzwyczajnym przeżyciem. Niestety, chomiczy syn zdechłby na końcu: zostałby ugodzony trzonkiem łopaty przez zagorzałego tępicielea chomików z sąsiedniej wsi - realizującego pogrom chomików za to, że wyjadły zbiory. Ale to nie nadawałoby się dla dzieci.

Jakby dorośli nie byli wystarczająco dojrzały, żeby zaakceptować tragedię, jaką przynosi spełnienie pragnień.

Dlatego należy zachować ostrożność: lepiej jeśli dostają historie ze smutnymi zakończeniami. Dusze rozplývają im się w katharsis - i jest zrozumiałe, że powstaje wtedy przerażająca pustka. Taki ciężar potrafi udźwignąć tylko niewinna dusza dziecka. Czasami trzeba, że tak powiem, zniżyć się do poziomu dorosłych, ale na szczęście to nie jest ten

przypadek. Zapaliłam się, ale ledwie zdążyłam napisać tytuł, do pokoju zajrzała babka i pokręciła głową: - Nie, Jerne. Nie, nie. Pamiętasz, jak byłaś mała, też ci tak mówiłam, kiedy chciałaś wsadzić palec do kontaktu. Chociaż teraz mam coraz mocniejsze poczucie, że niepotrzebnie wówczas interweniowałam.

- Ale co "nie"?

- Odłóż kartkę i długopis. Na razie nie wolno ci pisać, dopóki nie zdobędziesz wystarczającego doświadczenia życiowego. Połóż się na wznak i odpocznij po ciężkim dniu pracy.

Obróciłam się posłusznie, babka starannie mnie okryła.

- O, tak. Staraj się nie myśleć o niczym. Albo myśl o mnie. To coś przyjemnego - powiedziała babka i zgasła światło.

8.

Pochyliłam się trochę do przodu, ręce oparłam o blat kuchenny i przeglądałam najświeższe wiadomości - nasza jadalnia prenumerowała wszystkie ważniejsze tytuły, gdyż nastawieni byliśmy na roślinożerców o naj różniejszych poglądach politycznych; jednocześnie obserwowałam, jak Atti robi rozliczenie. Kiedy nasze spojrzenia od czasu do czasu krzyżowały się, on natychmiast wbijał wzrok w kolumny cyfr i jakby nigdy nic uderzał w klawisze kalkulatora swymi artystycznymi palcami.

Byłam zachwycona sobą: rozwijam się błyskawicznie, już niedługo wszystkich będę wodzić za nos, zadrzę przede mną zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

Podczas kiedy ja delektowałam się kontaktem wzrokowym, za moimi plecami kucharz dzielił się z kelnerem skrzętem, odgrywając zarazem fragmenty opery dla dzieci pod tytułem Cudowna trawa, w której dopóki nie padł ofiarą mutacji, błyszczał w roli jednego z energicznych skrzatów leśnych. Pokazywał też kroki, a ja powoli zaczęłam się martwić, w jaki sposób strudel ze szpinakiem i tort porowy trafią na stół gości, kiedy z przedsionka dobiegła do nas głośna rozmowa. Po kilku minutach okazało się, że problem jest na tyle poważny, że trzeba zawołać szefa.

- Przed chwilą go złapał.

- Zje go! Zaraz go zje! - szeptali na zewnątrz.

Wiedza ornitologiczna naszej trójki okazała się niewystarczająca, aby rozpoznać ptaka (propozycje: jastrząb, sokół) - ja wstydziłam się najbardziej: oni pracowali tylko w knajpie, ale ja, autorka bajek o zwierzętach, powinnam mieć jakieś pojęcie na temat ptaków. Jedno było pewne: tuż przed restauracją, na betonowym podwórku kamienicy, sporych rozmiarów ptak drapieżny spożywał miejskiego gołębia, a niewdzięczna publiczność obserwowała ten

krwawy widok przez okno.

Atti energicznie odłożył długopis i wyszedł na zewnątrz.

Zadziałał z niespotykaną u niego energią - muszę przyznać, że byłam pełna podziwu - przy użyciu miotły dał ptakowi jednoznacznie do zrozumienia, że jego obecność tutaj jest niepożądana. To nagłe wystąpienie wywołało u napastnika konsternację - oddalił się niezwłocznie wraz ze swym poszarpanym łupem.

- Co za obrzydlistwo! - parsknął Atti, po czym zamachał miotłą również w naszą stronę, niczym jeden z mniejszych, ale posiadających pełne kompetencje, bożków, a my staliśmy w równym szeregu przy blacie.

- Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to to, że duch naszej restauracji nie jest wystarczająco silny. A ponieważ na własnych przekonaniach nie dostrzegam żadnej skazy, podejrzewam, że to wy nie wierzycie, iż to jest droga do czystej świadomości. Ktoś zadał krwawy cios ciału oczyszczonemu z trucizny, i zapach tej rany zwabił tu tego drapieżnego ptaka.

Opuściłam głowę, ledwie mogłam znieść jego potępiające spojrzenie. To niesamowite, że choć nie jestem prymuską, zostawiam wielkie, krwawe rany na śnieżnobiałym ciele wegetarianizmu. Już nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio miałam w ustach krew, nawet do głowy nie przychodziły mi żadne krwawe myśli. Wampiryzm, podobnie jak zamięłowanie do literatury, jest rzeczą nie do ukrycia.

Zaraz po wyjściu Attiego kucharz wtoczył się z powrotem na środek pomieszczenia i zaczął śpiewać piosenkę zaczynającą się od słów: "Moją złotą karetę ciągną dwa łabędzie...".

- Przyłącz się! - Mrugnął do mnie.

- Nie znam słów - powiedziałam i zamknęłam za sobą drzwi. Jako urodzona niehedonistka nie potrafiłam docenić najnowszego programu lojalnościowego Attiego, polegającego na tym, że każdemu z nas do miesięcznej pensji dodawał dwa gramy suszonych dzikich konopi bardzo dobrej jakości. I nadal martwiłam się o to, jak strudel ze szpinakiem i tort porowy trafią na stół.

9.

Jeśli chodzi o kobiety, na dodatek o tak zwane mądre kobiety, wciąż jeszcze nie miałam rewelacyjnych pomysłów. Skuteczność babcinych listów miłosnych w wypadku tak zwanej mądrej kobiety zdawała się możliwa do przewidzenia i do oszacowania, jednak jak wiemy, jest to niewiele. Z czego się cieszą? Czego chętnie słuchają? Czemu nie potrafią się oprzeć?

Kobietom nie wystarcza już stwierdzenie "masz ładne oczy". Można ewentualnie

próbować z pisanymi do konkretnej osoby wierszami miłosnymi, ale O. zbyt dobrze zna się na liryce. Z pewnością lepiej niż ja, która jestem potwornie prozaiczną duszą, głuchą na wszelkiego rodzaju subtelności. Babka bezustannie przechwala się, że jej nikt nie potrafił opierać się dłużej niż tydzień - a za tego, któremu się to udało, wyszła za mąż i nigdy nie piła jego krwi.

Minął miesiąc, a ja wciąż nie wykroczyłam poza stadium przygotowawcze, na dodatek nie byłam w stanie zdecydować, czy O. faktycznie nie jest ładna, za to wygląda na inteligentną, czy też jest piękna, ale nie wygląda na błyskotliwą. A może i ładna, i mądra? Brzydka i głupia?

Mądra kobieta? Piękna kobieta? Wcale nie jest wszystko jedno, z jakim materiałem ma się do czynienia. Wprawdzie tego nie potrafiłam stwierdzić, wielokrotnie jednak widziałam na twarzy O., że chciałaby mi się zwierzyć ze swojego życia uczuciowego, lecz dopiero po około dwóch tygodniach znajomości odważyła się zaryzykować. Otworzyła mi drzwi po bardzo długim dzwonieniu i od razu zaczęła: - Nie gniewaj się, jeśli będę dziś lekko rozkojarzona, ale jestem trochę załamana.

Uśmiechnęłam się ciepło, dając do zrozumienia, żeby się nie przejmowała, skoro jest trochę załamana, to ma prawo być nieco rozkojarzona.

- Niechętnie o tym mówię, ale w przyszłym miesiącu minie pół roku, odkąd po pięciomiesięcznym namyśle wdałam się w tygodniowy romans z byłym nauczycielem.

Ależ mi serce bije.

- Od tamtej pory?

- Nie. Nie, skąd. Tylko że znów go zobaczyłam.

Szłam ulicą. Spacerkiem po deptaku. Miałam na sobie czerwoną spódnicę, myślisz, że dobrze w niej wyglądam?

I akurat pod apteką... Nie, nie pod samą apteką, ale widziałam już szyld z wężem. Wtedy wyszedł zza zakrętu prosto na mnie.

Z wielką empatią rozwiązywałam sznurowadła.

- Przywitałam się, powiedziałam "cześć" i wtedy on też powiedział "cześć". I poszedł dalej. A właściwie poszli, bo był razem z żoną.

- Ma żonę? - zapytałam, żeby upewnić O., że cały czas śledzę tok jej myśli.

- Tak. I trójkę dzieci.

Podniosłam głowę.

- Ale całkiem małych. I wszystko trwało tylko tydzień. A najmniejsze z nich było jeszcze wtedy w brzuchu u mamy.

- To niezbyt ładnie - powiedziałam.

- Tak myślisz? - zapytała o. z przestraczem.

Raczej tylko się domyślałam, bo skąd miałabym wiedzieć. Moje życie nie było pełne takich codziennych, a mimo wszystko ekscytujących, przeżyć. Potem przypomniała mi się pewna powieść, w której znalazłam pożyteczną argumentację.

- Ale to zrozumiałe. Życie mężczyzn jest trudniejsze niż życie kobiet. Muszą korzystać ze źródeł zewnętrznych, gdyż nie posiadają niewyczerpanych źródeł wewnętrznych, tak jak kobiety - mówiłam powoli, jakbym to teraz wymyślała, w dodatku szukając odpowiednich słów.

Na O. nie działało to pocieszająco. Udało jej się samą siebie wprawić w zakłopotanie własną szczerością, i teraz stała bezradnie przy szafce z butami i skubała rąbek bluzki w kwiatki. Postanowiłam okazać współczucie, to zawsze się sprawdza.

- Jeśli chcesz teraz napisać wiersz... i chcesz, żebym sobie poszła... nie ma problemu... przyjdę jutro.

- Nie trzeba. Jeszcze trochę wytrzymam - zapewniała. - Mam dla ciebie bardzo ciekawe ćwiczenia.

Chodź. Ojej, ile razy ci mówiłam, żebyś nie zdejmowała butów.

Poszłam za nią do pokoju. Patrząc, jak czasem drapie się po potarganych włosach, albo przyglądając się jej zgrabnym, gołym nogom, pomyślałam, że jest to coś, co też może się podobać.

10.

Nie lubię pożegnań - nudzą mnie, są stratą czasu i zmuszają ludzi do składania wprawiających w zakłopotanie deklaracji. Dotarliśmy z babką na lotnisko na tyle wcześnie, że zdążyła mnie nawet poprosić, żebym dowiodła, że zachowuję się moralnie nawet wtedy, gdy jej przy mnie nie ma. Wyskoczyło jej od tego zimno na górnej wardze, po lewej stronie. A tyle razy prosiłam ją, żeby uważała, jakich słów używa.

- Gdybyś powiedziała, że mam się całkowicie podporządkować twoim poleceniom, też bym zrozumiała, nie musiałas od razu używać takich górnolotnych słów, tym bardziej, że dobrze wiesz, że jesteś na nie uczulona - zgasiłam babkę z wielką satysfakcją, gdyż cieszyło mnie, że jej też zdarza się postąpić impulsywnie i nieprzemyślenie.

- Ale od "moralnie" jeszcze nigdy nie wyskakiwało, tylko od "miłości bliźniego".

- No widzisz. To teraz już wiesz... Babciu, zanim wyjedziesz, chciałabym cię o coś zapytać.

- Pytaj, kochanie. Śmiało.

- Chodzi o moje dzieła...
- To już omówiliśmy.
- Chciałam tylko zapytać, czy je czytałaś.
- Tak. Przejrzałam je kiedyś, czekając na kontrahentów.
- I?
- Co?"i"?
- Podobały ci się?
- Oczywiście. Dosyć mi się podobały, tylko...
- Tylko?
- Tylko jak na mój gust za dużo w nich litery"a'.
- Litery"a.

- Tak. Trzeba by powstawić więcej"e", "i" też jest za mało. Nawet gdybyś osiągnęła subtelną równowagę, i tak powinnaś pilnować harmonii samogłosek. Nie"i" i"e", one są neutralne, wiesz przecież. Ale tam, gdzie jest"a', niech będzie"o", "ó" albo"a'. Dla wszystkich piszących po węgiersku to jest kwestia sumienia. Na ogół.

Wreszcie wyświetlili lot babki, i ucieszyłam się, że przyspieszony kurs sztuki pisania dobiegnie końca.

- Posłuchaj, Jerne. Na górnej półce szafki kuchennej postawiłam dwie puszkę krwi. Ale nie ruszaj ich, chyba że naprawdę będziesz w potrzebie. Tylko tyle zdobyłam. Więcej mi się nie udało, za żadne skarby świata. A do tego, żeby obrabować Bank Krwi, sama nie wystarczę.

- Szafka w kuchni, górna półka - powtórzyłam.

- Ale jeśli w ciągu miesiąca zużyjesz wszystko, to potem będziesz głodować. Bardzo cię proszę, nie zdechnij mi tutaj, kiedy ja będę pracować w Finlandii. Nie zrobisz tego, prawda? Masz teraz tę swoją nauczycielczkę węgierskiego. Zdobędziesz ją, prawda?

- Zdobędę, oczywiście.

- Przynajmniej tyle. Naszym zadaniem jest cierpieć, cierpieć, cierpieć, ale nie zdychać z głodu.

- Rozumiem - kiwnęłam głową, a potem pomachałam babce, żeby już wreszcie poszła.

Część trzecia

II.

Kiedy sięgam pamięcią wstecz, chwile największego zapomnienia przeżywałam, trzymając w ustach jedzenie. Teraz mogłam być wdzięczna, że jestem żywym trupem i już nigdy nie będę się odżywiać w tradycyjny sposób, ponieważ pensji starczało mi wyłącznie na zapłacenie czynszu i rachunków. Jednakże dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności nawet gdybym jadała normalnie, również nie byłoby problemu. W pracy bowiem było mnóstwo resztek, całe wiadra zlewek. Czasami, wyłącznie gwoli oralnego rytuału, kusiłam się na strudel, leżący samotnie na wracającym z sali talerzu. Nie miałam serca wrzucić go prosto do młynka na odpadki, który porwałby na strzepy ów znakomity węgierski przysmak. W wyobraźni potrafiłam jeszcze przywołać wspaniały smak twarogu z rodzynekami.

Byłabym smutna i niezadowolona, gdyby z powyższych słów w jakikolwiek sposób przebijał ton skargi.

Mój status był godny pozazdroszczenia, babka wspaniale się o mnie zatroszczyła: jestem sierotą bez ojca i matki, z własnym majątkiem. Wprawdzie moje pieniądze zostały przez nią zablokowane na sto lat, żeby zmotywować mnie do podtrzymywania wampirzego stylu życia, ale jeśli będę postępować zgodnie z jej wskazówkami, za półtora wieku lokata bankowa przejdzie w moje ręce, co jest więcej niż kuszące. Ponadto babka uczyniła również gest w stronę kultury współczesnej - niewielką sumę, którą mimo wszystko mi przekazywała, mogłam wydawać wyłącznie na sztukę, co miało być potwierdzone rachunkami, w przeciwnym wypadku wstrzymałaby wypłaty. Dla mnie była to iście salomonowa decyzja! Tym bardziej, że dowiedziałam się, iż w jej firmie zajmuję stanowisko "receptora kulturalnego" - babka zawsze miała zamiłowanie do quasilacińskiej terminologii - wujek Oskar z kolei w zamian za codzienny ciepły posiłek zatrudniony był jako firmowy esteta.

O wujku Oskarze nie było dotąd mowy, co jest niesprawiedliwe. Przychodził codziennie, żeby skosztować przysługujące mu dania. Kiedy nie było dużego ruchu, dostawałam pozwolenie na półgodzinną przerwę w zmywaniu. Wycierałam w fartuch tłuste, odmoczone, śmierdzące płynem do zmywania ręce i wynosiłam mu porcję jedzenia.

Wujek Oskar uciekł przed naiwnym snem o Ameryce do wyrafinowanej, melancholijnej kultury środkowoeuropejskiej; warto wspomnieć, że jego dziadkowie kilkadziesiąt lat wcześniej ruszyli w dokładnie przeciwnym kierunku, porzucając piękną

węgierską ojczyznę dla nieograniczonych możliwości. Z naszych częstych, szczerych rozmów wynikało, że droga życiowa wujka Oskara wiodła z domku na przedmieściach (nie byle gdzie, w sąsiedztwie Norman Mailer bił swoją żonę), przez nowojorską instytucję oświatową, stworzoną specjalnie dla zdegenerowanych potomków rodzin milionerskich, i demonstracje studenckie w Los Angeles, do doktoratu na uniwersytecie w Anglii, a następnie szpitala w Amsterdamie, gdzie trafił z powodu przedawkowania i gdzie pochylając się nad jego łóżkiem tlenioną siostrę uznał za członka anielskich zastępów. Wymknął się śmierci i wstał wśród nas, żeby nam o tym opowiadać. Pomimo opowieści o znaczących i mocnych wydarzeniach z dzieciństwa, i tak cieszyłam się każdym posiłkiem w jego towarzystwie. Wystarczało mi, że mogłam patrzeć, jak spożywa przygotowane przez nas wyborne potrawy, nie zawierające środków konserwujących. Na przykład tego dnia były to pyzy ziemniaczane z duszoną czerwoną kapustą.

- Ty nie jesz?

- Nie. Najadłam się od samego patrzenia. Tyle jedzenia tu widzę - dodałam pospiesznie i delikatnie położyłam mu rękę na ramieniu, jakby dla zachęty, żeby kontynuował swój późny obiad.

Dlaczego nie miałabym mu kłaść ręki na ramieniu, dlaczego nie miałabym patrzeć, jak je, znałam go przecież, gdy jeszcze byłam dzieckiem. Tego roku, kiedy na poważnie zaczął kręcić się koło babki, skończyłam dwanaście lat.

Spośród kilkuset mężczyzn, którzy pojawiali się w bliskiej przeszłości, czyli odkąd sięgam pamięcią, Oskar był jedynym, który nie zaniedbywał mnie. Na przykład kiedy rzeżkim letnim porankiem dzwonił do drzwi, a babka odpoczywała jeszcze w trumnie z zaschniętymi w kącikach ust kroplami krwi, brał mnie za rękę i prowadził na spacer po budzącym się do życia mieście.

- Spójrz na tego pewnego siebie proletariusza! - pokazywał na uwijających się śmieciarzy i zamiataczy ulic.

Jak już wcześniej wspomniałam, od tamtej pory staram się jakoś przejść do porządku dziennego nad tą ideologiczną wskazówką.

Pokochałam go szybko i chcąc wykluczyć przeszkadzające mi nade wszystko notoryczne zmiany partnerów, poprosiłam, żeby ożenił się z przynależną mi osobą dorosłą.

- Twoja matka to piękna kobieta, ale ja jestem gejem - odpowiedział. Ponieważ wtedy jeszcze słabo znałam węgierski, ta odpowiedź niczego mi nie wyjaśniła, nie potrafiłam pojąć relacji przyczynowo-skutkowej, jedynie słówko "ale" dało mi do zrozumienia, że była to odpowiedź odmowna. Tak więc nadal nie miałam tatusia, jednak teraz nadzieja rozbłysła na

nowo, gdyż bezpośrednio przed wyjazdem babka wyznaczyła wujka Oskara na rolę duchowego mentora. Wprawdzie dziwny los chciał, że w tym samym czasie w cudowny sposób odnalazłam swoich rodziców, lecz starałam się o nich jak najszybciej zapomnieć. Wyznaję zasadę: nowa historia - nowy tatuś. Wujek Oskar sam kładł mi do głowy, że gdybym kiedykolwiek utknęła przy interpretacji jakiegoś dzieła lub miała problemy natury metafizycznej, śmiało mam się do niego zwracać. A wszystkiego tego, jak już wspominałam, podjął się ów wielkoduszny esteta za talerz codziennej ciepłej stawy.

Wujek Oskar spokojnie pogryzł i przełknął kilka kęsów, po czym spojrzał na mnie pytająco.

- Wczoraj brałam udział w performance - odpowiedziałam powoli.

- W tym, co ci doradziłem?

- Nie, to było coś innego. Performer najpierw wciągnął nas w klasyczny melodramat historyczny, a potem przez czterdzieści pięć minut wystawiał na próbę cierpliwość publiczności, następnie usiadł na brzegu sceny i zaczął nam opowiadać swoje życie. To było bardzo fajne, osobiste.

- Brzmi niezłe.

- Bo to było niezłe. Na początku chciałam uciec. Ale nogi bolały mnie ze zmęczenia, dobrze mi się siedziało.

Więc wstałam. Ale jak mówię, na koniec się poprawiło.

- Jerne, chciałbym ci coś powiedzieć. Jestem oburzony tym, że matka, którą poza wszystkim bardzo szanuję, pozwala na to, żebyś tak się męczyła.

- Chce mnie tylko nauczyć moresu.

- Daj mi skończyć. Moja babka ma sto sześć lat.

A moja dwieście trzydzieści pięć. Ale starałam się przyjąć tę wiadomość ze zdziwieniem na twarzy.

- Wyobrażasz sobie? Sto sześć lat! I ciągle żyje. Śpi na pieniądzach, a ja figuruję w testamencie jako spadkobierca. Nie kryję, że co dzień czekam na radosną nowinę.

Chyba nie uważasz mnie za świnię, prawda?

- Nie. Sto sześć lat to ponad ludzkie siły.

- No właśnie. To już przesada. Przynajmniej z mojego punktu widzenia. Ale dlaczego to mówię: jak tylko odziedziczę te pieniądze, dam ci z nich w prezencie jakąś sumkę, żebyś mogła samodzielnie, niezależnie żyć.

- Ależ ja nie mogę tego przyjąć.

- Ale przyjmiesz, bo dla mnie to nie będzie żadne obciążenie.

- Nie mogę.
- Ależ musisz przyjąć.
- No dobrze, przyjmę.

Wujek Oskar kontynuował posiłek. Na słowopytanie "deser" przecząco pokręcił głową, więc tylko nalał mu szklankę wody. Napił się i zapytał: - Czytałeś jakąś książkę?

- Nie, przekartkowałam tylko kilka czasopism. Przeleciałam wiersze o wypalonych związkach...

- Aha.

- Wujku, a kiedy ostatnio rozmawiałeś z mamą?

- Wczoraj, a może przedwczoraj. Na próżno próbowałem przekonać ją o bezsensowności tej lekcji wychowawczej.

- Doświadczenie życiowe, co?

- Jego brak. Uparcie sądzi, że zmywanie garów uświadomi ci, jak ciężkie jest prawdziwe życie, i nauczysz się doceniać styl, który ci proponuje.

- Sama nie mogę się doczekać, kiedy się złamię.

- Gdyby przypadkiem do tego doszło, radzę ci, żebyś nigdy nie wstydziła się płakać.

Płacz śmiało!

- Zrobię to, jak tylko nadarzy się okazja, ale teraz lojalność wobec firmy wymaga, abym zapytała, czy zjesz jeszcze kapusty. To nasza sezonowa oferta, za niewielką dopłatą każdy z naszych gości może dostać dokładkę kapusty.

- Niech będzie. Poproszę.

Wujek Oskar rozsiadł się wygodniej i założył za ucho niesforny kosmyk włosów. Szczerze ucieszyło mnie, że poprosił o kapustę. Odkąd ojciec wyrzekł się go, kiedy wujek skończył dwadzieścia lat - i potem musiał żyć z niewielkich datków przekazywanych mu przez matkę oraz z krytyki - Oskar nie uważał, żeby korzystanie z darmowych posiłków, sezonowych wyprzedaży i promocji było poniżej jego godności.

Ile kapusty! Mnóstwo, mnóstwo! Jeśli chodzi o konkrety, to już drugi tydzień nasi stali bywalcy gryzli kupowaną po promocyjnej cenie białą oraz czerwoną kapustę.

Zaopatrzeniowiec wyznawał zasadę, że jedzenia się nie wyrzuca - pochodził z wielodzietnej rodziny protestanckiej, poza tym miał w interesie spore udziały, a wszystko to skutkowało promocyjnym rozdawaniem kapusty: duszonej albo pod postacią surówki. Kucharz dwoił się i troił, gotował gołąbki i kapustę faszerowaną pszenicą.

Ale inni mieli już tego dość.

- Proszę. Bardzo smaczne - postawiłam kapustę przed wujkiem Oskarem. Siedział

spokojnie przy narożnym stoliku, niczym bogaty pan Jowialski.

- Nie przysiądziesz się? - zapytał.

- Wiesz przecież, że ja tu pracuję.

- No dobrze, to idź. Do zobaczenia. - I zabrał się za grzebanie widelcem w stercie kapusty.

Sama nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale zaczęłam się zastanawiać, gdzie i z kogo wysysa teraz krew mój ojciec.

Matka pewnie gotuje szczaw albo szpinak. I do tego ziemniaki, w słonej wodzie. Nie chciałam się znaleźć tam.

Ciekawe, czy jest tam też mięso.

12.

Moje starania w osaczeniu O. oraz wyssaniu jej krwi które ostatnio, używając terminologii z dziedziny antropologii kultury, dla uproszczenia nazwałam badaniami terenowymi - zyskały niedawno wsparcie merytoryczne.

Wprawdzie żadne z dzieł nie mówi o tym wprost, jednak z aluzji i wzmianek krystalizuje się pewna powszechna zasada, a mianowicie: teoria zabranego czasu. Nie będę się zajmować innym wariantem, w języku potocznym zwanym "miłością od pierwszego wejrzenia", gdyż niniejsza teoria odnosi się wyłącznie do sytuacji, w których już przy pierwszym spotkaniu pojawia się owa "drobna fizyczna antypatia", o której wspominał również Nietzsche. Jest to coś, co można wyeliminować - wszystko jest bowiem kwestią przyzwyczajenia. Człowiek to istota addytywna.

Fakt ten jest dla mnie o tyle radosny, że oznacza, iż nawet pomimo braku cech, które mogłyby być pociągające, jestem w stanie wykształcić w O. jakieś uzależnienie, jeśli to ja stale będę blisko niej. Moje fizyczne "ja" wypełni trawiącą jej duszę nudę, do zabicia której używałam do tej pory najróżniej szych środków zastępczych. Zrobiłam sobie nawet tabelę z kolumnami: sposób, przykład, ...3. miar (mój), efekt (wywarto na niej). We wszystkich wierszach pod "zamiar" widniało "zabieranie czasu", a niekiedy "wspólne doznania". Naturalnie gdybym chciała przedstawić nieco dokładniej obraz badań terenowych, zaakcentowałabym znaczenie doznań - bo z pewnością są ważne. Teraz jednak chodzi tylko o wstępny szkic, z naciskiem na to, co najbardziej charakterystyczne.

- Ile razy pomyliłam pojęcia? - podniosłam wzrok znad napisanego jako zadanie domowe wypracowania.

- Najwyżej trzy - uspokoiła mnie O. - Nie przejmuj się, miewałam już głębszych uczniów.

- Dobrze wiedzieć.

- Przez tydzień wytrwale mnie oblegał, błagając, żebym nie odrzucała jego względów. Rzecz jasna skierowałam do niego surowy odmowny list. Bardzo jestem z niego dumna, napisałam go w poetyce anglosaskiego eseju, za tezę posłużyło mi zdanie: "Nie sądzisz chyba, że uda ci się namówić mnie na pójście z tobą do łóżka?".

- Nie gniewaj się, że ci przerwę, ale teza nie może mieć formy zdania pytającego.

- Nie? To pewnie dlatego nie udało mi się go przekonać. Hmm, w sumie dziwne, bo argumentację zakończyłam cytatem z Goethego: "Tragedia zaczyna się wtedy, gdy frywolna komedia dobiega końca".

- Cytat robi wrażenie...

- Prawda? Też tak uważam.

- Ale właściwa teza powinna brzmieć: "Nie uda ci się namówić mnie na pójście z tobą do łóżka", a potem argumenty za i przeciw.

- W porządku, ale nie pozwolę ci dalej kwestionować mojego nauczycielskiego autorytetu. Poprawmy twoje wypracowanie - rozkazała O. Podczas gdy czytałam dwuznaczne, obfitujące w niejasne metafory zdania, które poprzepisywałam z gazet, w głowie kołatała mi jedna myśl: motywacja, motywacja. I skąd mam ją wziąć.

Czy w ogóle robić sobie nadzieję, że nadejdzie czas, kiedy ogarnie nas namiętność? Czasami czułam, że O. jest mi naprawdę bliska, wyobrażałam sobie jej postać, leżąc samotnie na wznak albo na boku, a ostatnio nawet włączyłam ją do swoich snów.

Znów siedziałam na zmywarce, chociaż Atti kazał mi przyrzec na wszystkie świętości, że nigdy więcej tego nie zrobię. Ale dla mnie nie ma świętości; najwyraźniej nie mam też w sobie ani krzty dobra, bo powiedział też: "Jeśli masz w sobie choć krztę dobra, nie siadaj więcej na zmywarce."

W powietrzu unosił się przyjemny zapach gotowanych jarzyn. Kucharz miał akurat dzień destrukcji, wobec czego witaminy były bez szans: parzył warzywa, doprowadzał do wrzenia, mieszał z panierką, formował z nich kulki i smażył w dwustopniowym oleju. Gdyby Atti to zobaczył, serce by mu pękło, pomyślałam, lecz Atti obudził się nie w sosie, na chwilę zajrzał do kuchni, a potem poszedł do domu dać sobie w żyłę.

- Umyłaś wczorajszy garnek? - zagadnął mnie kucharz.

- Tak - spojrzałam na niego znad książki. Odkąd poznałam O., czytałam wyłącznie romanse, żeby utrzymać w sobie podniosły, romantyczny stan ducha.

W szczególności zaś upodobałam sobie węgierskie powieści z okresu międzywojennego: akurat pochłaniałam historię pewnej maszynistki i stenotypistki, która

złapała Pana Boga za nogi.

- To umyj też dzisiejszy!

Byłam święcie przekonana, że na końcu dyrektor poślubi tę świetnie wykwalifikowaną dziewczynę, jak tylko przejdzie do porządku dziennego nad tym, że Mancini nie jest, by tak rzec, swego rodzaju niezapisaną kartką. Zeskoczyłam lekko ze zmywarki.

- Nawiasem mówiąc, uważam, że Kartaginę należy zburzyć - powiedziałam, gdyż wyznaję zasadę, że kultura greckorzymska jest solą codzienności.

- Zamknij się - mruknął kucharz i podał mi garnek. Wiedziałam już, że to złoty człowiek, tylko coś leżało mu na wątrobie, witaminy uległy zagładzie i zauważyłam, że fasolka się przypaliła. Miał w sobie jakąś zawziętość, chociaż karierę zaczynał w darmowej kuchni wyznawców Kryszny - stąd specjalizacja w potrawach wegetariańskich. Jednakże według mnie zawiodły go tam nie przekonania, lecz chęć nauki i miłość do zawodu.

- Mam napisać na tablicy, że dziś polecamy fasolkę w sosie pikantnym? - zapytałam przymilnie, zarazem jakby proponując, że chętnie wysłucham, co go gryzie. Kucharz darzył mnie sympatią, nawet jeśli czasami mi wymyślał, bo niewiele mówiłam i z szeroko otwartymi oczami słuchałam każdego jego słowa.

- Napisz - pozwolił mi. - Ty jedna mnie rozumiesz w tej pracy.

Tak, to prawda. Swego czasu mogłam wspomnieć o tym łowcom głów, że jedną z moich pozytywnych cech jest empatia. Nieważne. Ta okazja już przepadła i nigdy się nie powtórzy.

Przez okno na zapleczu zobaczyłam wujka Oskara, chwiejnym krokiem zmierzającego w stronę restauracji.

Nie był pijany ani wstawiony, chodził tak z powodu swego wzrostu. Wybiegłam mu naprzeciw, a przedtem napisałam kredą na tablicy: "Szef kuchni poleca: młoda fasolka w apetycznym sosie". Włożyłam w to trochę weny twórczej, dodałam nieco od siebie.

- Ja też to poproszę - powiedział wujek Oskar.

- Nie ma - powiedziałam, gdyż nie mogłam skazać przyjaciela na coś podobnego.

- Przecież właśnie napisałaś to na tablicy.

- Jeszcze nie ma.

- W takim razie nic nie chcę. Jak się dzisiaj miewasz, Jerne?

- Bardzo źle.

- Ja zwariuję! Dlaczego tak mówisz? Trzymaj się zasad konwersacji. Odpowiedz: "Dziękuję, dobrze". A potem ja zauważę: "Nie wyglądasz najlepiej. Czy coś się stało?". Nauczył mnie tego jeszcze dziadek, a on wiedział co to maniery.

- Zle wyglądam?

- Zawsze. Masz zdecydowanie przerażone spojrzenie.

- Mam ci posłać uśmiech, wujku?

- Nie trudź się. Lepiej opowiedz, co czytałaś.

- Nic. Nic, o czym warto byłoby wspominać. - Byłam przekonana, że wujek Oskar nie potrafiłby z odpowiednią ironią potraktować moich popularnoliterackich skłonności.

- No, dalej, powiedz mi wprost, że kiedy po całodziennej pracy zmęczona wracasz do domu, nie marzysz o niczym innym, jak tylko o lekkiej, przyjemnej lekturze - powiedział i dało się wyczuć, że wcale nie żartuje. Zdaje się, że miał zły humor, tak prowokacyjnie to zabrzmiało.

- Czasami nawet na to nie mam siły. Leżę na wznak, gapię się w sufit i przez jakieś pół godziny snuję rozważania o moim popieprzonym życiu. A potem zasypiam.

- Klasę robotniczą darzę wielką sympatią. Ale ty na to nie zasługujesz.

- Nie obchodzi mnie to. Chcę czytać bajki. Tylko one są naprawdę zabawne.

- Nie rozumiem, dlaczego ty ciągle chcesz się bawić - uniósł się wujek Oskar. - Co to jest, wesołe miasteczko? Masz jakieś reakcyjne poglądy.

Zamilkłam i zaczęłam obgryzać paznokcie. Wujek Oskar wyjął z kieszeni marynarki gazetę i ostentacyjnie się w niej zagłębił.

- Wujku, wiem, że jestem nieokrzesana, ale może dzięki wytężonej pracy... - Gdyby nie okoliczności wujek Oskar mógłby być nawet postmodernistycznym papieżem, zawsze z wrażliwością reagował na historyczne działania zwykłych ludzi. Nawet na mnie nie spojrzał.

Zmieniłam temat: - Wujku, słuchaj, zbliża się koniec miesiąca, a ja muszę jeszcze wydać na kulturę dwadzieścia sześć tysięcy forintów. Co u licha mam zrobić?

- Kup bilety do opery. Dwa na dzisiaj i dwa na jutro - powiedział, nawet nie podnosząc wzroku znad gazety. Przewracał strony, czytając zawzięcie. Stałam nad nim bezradnie jeszcze przez chwilę, potem usiadłam i wbiłam w niego błagalny wzrok.

- Mam już dość tego pieprzenia o Holokauście krzyknął nagle i zmiął gazetę.

- Ja też - przyłączyłam się nieśmiało, a nuż zmiękczę go moim zrozumieniem.

- Co takiego? - oburzył się wujek. - Żebym więcej nie słyszał żadnych antysemitkich tekstów! To są moje wewnętrzne żydowskie sprawy. - I wstawił mnie w wegetariańskiej restauracji o śmiesznej nazwie, przy narożnym stoliku, o czwartej po południu.

14.

Całe popołudnie martwiłam się, że cos Się popsulo między mną a wujkiem Oskarem. Żeby go udobruchać, zabrałam się za czytanie dwóch poleconych przez niego dzieł,

wypisałam też kilka zwrotów z tomu esejów, żeby olśnić go umiejętnością właściwej recepcji:”moje wykształcenie nakłada na mnie pęta’,”zamiarem autora było wyprowadzenie mnie z mojego małego świata, do którego przywykłam’,”język jest fałszywym kanałem komunikacji”. Kiedy już skończyłam, wsadziłam pieniądze do kieszeni spodni i powolnym, statecznym krokiem udałam się w kierunku opery. Obserwowałam gromadzących się wielbicieli, a ponieważ delikatne podekscytowanie, z jakim oczekiwali na przedstawienie, udzieliło mi się i sprawiło, że też zatęskniłam za bel canto, postanowiłam, że jak tylko nadarzy się okazja, kupię bilety do opery. Najchętniej już teraz słuchałabym piszczących, pulchnawych pań i tenorówamorożów pod pięćdziesiątkę. Z pew-nych względów zawsze uważałam operę za gatunek nieco sztuczny, ale być może przez to wyjątkowo pociągający.

Tym razem jednak ruszyłam do innej dzielnicy, żeby zająć się zabieraniem czasu O.

Kiedy zadzwoniłam do drzwi, zbliżała się ósma wieczorem. Mimo tak wczesnej godziny O. przyjęła mnie w koszuli nocnej.

- Wchodź. Wchodź śmiało - zajęczała dość przybitym głosem. - Dobrze, że przyszedłeś, bo czułam się bardzo samotna. Niewykluczone, że samą swoją obecnością uchronisz mnie przed samobójstwem.

- To byłoby cudownie - stwierdziłam pogodnie i rozsiadłam się w jednym z foteli, wypełnionych po brzegi damską bielizną. Artyści, niczym chleba, potrzebują tego, co powszechnie nazywamy depresją: przed, po, zamiast; jak kto woli. Wracając na moment do bielizny: podziwiałam O., podobało mi się to, co nosiła bezpośrednio na swoim ciele, i cieszyłam się, że wszystko miałam na wyciągnięcie ręki.

- To naprawdę piękne koronkowe majtki - podniosłam jedne trochę zmieszana.

- I dobrze mi w nich - powiedziała O. obojętnie, po czym postawiła przede mną kieliszek. - Wiesz, Jerne, za półtora miesiąca mam urodziny. Napijmy się wódki.

- Kobietom pasuje raczej szok cukrowy, a nie pijaństwo.

- A ja i tak napiję się wódki - powiedziała O. - Odkąd skończyłam dwadzieścia dwa lata, nienawidzę urodzin.

- Ale przecież to dopiero za półtora miesiąca - wykorzystałam usłyszaną przed chwilą informację.

- Ale ja już teraz pogrążam się w żałobie.

- A jak to robisz? Pytam z czystej ciekawości.

- Osobiście ufam wyłącznie alkoholowi i lekom, tylko one mają stały skład.

- Święta prawda! Też nie potrafię sobie wyobrazić piękniejszej śmierci - przyznałam jej rację.

- Oczywiście, ty też się ze mną napijesz. - O. napełniła kieliszki.

Rozejrzałam się, czy jest w pokoju jakaś roślina, której nie zaszkodzi setka wódki. Oralne rytuały związane z socjalizowaniem O. dawały mi się we znaki.

- No to do dna.

Nie chciałam wywołać błędnego wrażenia, że wszyscy Węgrzy to alkoholicy. Absolutnie nie. Jednakże dla wielu ludzi alkohol jest częścią codzienności. Niedawno babka napisała mi, że w piątek, sobotę i niedzielę nie ma odwagi wgrzyźć się nikomu w szyję, bo wielokrotnie zdarzyło jej się, że po jednym, dwóch łykach zwała ją z nóg.

Ale odkąd zgłębiła panujące w Finlandii zwyczaje, nie ma już problemów. Trzeba wiedzieć, kiedy się pożywiać.

A u Węgrów? Tu nigdy nie wiadomo. Nie ma wyznaczonych dni. To była na przykład środa, a O. nalewała sobie już drugi raz. Za to przede mną wciąż stał pełny kieliszek.

Stwierdziłam, że gdybym wysłała O. do kuchni po cytrynę i sól, mówiąc, że bez tego nawet nie tknę alkoholu, i nim wróci, wylała go do fikusa, udając, że jednak udało mi się wypić, byłaby to gra zbyt jawna. Postanowiłam niechętnie przewrócić kieliszek.

- Nic się stało - powiedziała O. - Wysznie. Należę ci nowy. - Odmierzyła palinkę, mówiąc: - Kilka tygodni temu, już któryś raz z kolei, dyskutowaliśmy z przyjaciółmi, jak poszczególne środki odurzające wpływają na wzrost potencji twórczej. Jakie argumenty przytaczano! Nie wiesz nawet, ilu zagorzałych zwolenników ma wino w baniakach!

- Moim zdanie nie.

- Co nie? - O. spojrzała na mnie.

- Nie - odpowiedziałam po prostu.

- Źle mnie zrozumiałaś. Ja o nic nie pytałam. Miło słyszeć, że czegoś nie rozumiesz.

Czasami wydaje mi się, że niczego więcej nie jestem w stanie cię nauczyć.

- Od ciebie każdy może się czegoś nauczyć. Przecież jesteś poetką... - podlizalam się strasznie.

- No tak - zaczerwieniła się O. - Ale ty nie czytałaś jeszcze ani jednego z moich wierszy. Być może jestem złą poetką. Chociaż sama w to nie wierzę. Jestem dobra.

Bogata w kobiece doświadczenia.

- Gratuluję.

- Dziękuję.

- Na czym jeszcze się znasz? - zapytałam bez specjalnego zainteresowania.

- Och... - zaczęła O.

- Właśnie mi się przypomniało, że potwornie boli mnie głowa. Muszę już iść. -

Postanowiłam to nagle, gdyż zauważyłam, że O. ponownie sięga po butelkę. Jeszcze pięć, dziesięć minut i mogłabym z nią zrobić wszystko, co tylko bym chciała, ale po pierwsze, mam swoją dumę, po drugie, jestem abstynentką, Ofiara z taką zawartością alkoholu we krwi dałaby mi się we znaki dużo bardziej niż babce, przyzwyczajonej do tego. Nie, dziś za żadne skarby. Może jutro, pojutrze albo w przyszłym tygodniu.

Część czwarta

15.

W pewne słoneczne, wiosenne popołudnie siedziałam nad Dunajem i pisałam w swoim oprawionym w płótno brulionie. Na ławce za mną rumuńscy chłopcy - męskie prostytutki - pracujący na naddunajskim deptaku, kąpali swe młode twarze w złotych promieniach zachodzącego słońca, a ich wesołe przekomarzanie się dobiegało aż do mnie. Ten idylliczny nastrój zaczynał mi trochę ciążyć, dawno bym już sobie poszła, gdyby nie to, że wujek Oskar właśnie tutaj wyznaczył miejsce spotkania. To było pierwsze popołudnie długiego weekendu.

Wkrótce nadszedł Oskar, widać było, że bezchmurne niebo i słońce również jego zmyliły. Zamiary natury wobec ludzkości bywają nieprzeniknione.

- Ależ się zrobiła wiosna! - cieszył się wujek. - Mogę się przysiąść? Co piesz?

- Powieść. Ale na razie tylko robię notatki. - Bezustannie coś pisałam. Jak nie bajki, to powieść. Tego drugiego mniej się obawiałam.

- Mnie też w mej opisz. W dzisiejszych czasach w powieści musi być choć jeden pedzio. Mógłbym być wyrozumiałym przyjacielemhomoseksualistą, na którego główny bohater zawsze może liczyć. Na dobre i na złe.

- W porządku, załatwione.

- Naturalnie otrzymałem od twojej matki polecenie, że jak tylko zobaczę, że coś piesz, mam natychmiast interweniować. Ale nie bój się, nic jej nie powiem.

Z radości, że wreszcie rozwiął moją wielokroć uzasadnioną paranoję, miałam ochotę rzucić mu się na szyję.

Nagle ogarnęła mnie chęć podzielenia się z tym kochanym człowiekiem czymś ważnym.

- Słuchaj, wujku, co byś powiedział... gdybyśmy trzymając się za ręce skoczyli do Dunaju.

- Z Mostu Łańcuchowego?

- Właśnie.

- Dziś nie mam ochoty. Tak pięknie świeci słońce. - Wujek Oskar wzruszył ramionami.

- Dziwię się, że odmawiasz mi, ot tak. Przecież ty też należysz do typu o

skłonnościach samobójczych.

- Niby tak, ale ostatnio było mi żal strażaków, jak musieli kogoś ściągać ze statui Turula.

- Ale Most Łańcuchowy to co innego.

Dla jasności dodam, że rozmowa dotyczyła ulubionych miejsc budapeszteńskich kandydatów na samobójców, ale my rozumieliśmy się znakomicie.

- Jerne, nie gniewaj się, lecz od kilku minut bez przerwy gadasz od rzeczy. Skończyłem pięćdziesiątkę i w niedługim czasie będę miał masę pieniędzy. Wiem, że tobie kiepsko się wiedzie, ale zarażaj mnie swoim złym nastrojem. Ja to życie jakoś wytrzymam, nawet stojąc na jednej nodze. Powtarzam, nie obraż się, to mi się jakoś samo wyrwało - wykrzyknął wujek Oskar na zakończenie.

- Nie obrażam się. Przynajmniej wiem, na czym stoimy.

- Jestem z tobą, moja droga! Powiem ci, jak to działa: nie oczekuj, że będzie coraz lepiej, bo nie, będzie coraz gorzej. Pochodzę z mieszanego małżeństwa: moja matka była Żydówką, ojciec katolikiem. Mówię o tym, bo z naszego punktu widzenia nie ma tu dużej różnicy.

Przez długi czas ja też sądziłem, że każda niesprawiedliwość i cierpienie albo są słuszne, albo należy się za nie rekompensata. Ale teraz już wiem, że to nie tak, dorosłem do myśli, że we wszechświecie nie ma rzecznika ludzkich losów. Jeśli dziś jest pochmurna pogoda, to nie znaczy, że jutro na pewno zaświeci nam słońce.

- Co w związku z tym należy robić?

- W takim razie wyobraź sobie, że każda niesprawiedliwość i cierpienie albo są słuszne, albo należy się za nie rekompensata. Żeby nie przygniatał cię rzeczywisty stan rzeczy.

- To nazywają religią, a ja nie wyznaję żadnej religii.

- Widzisz? W takim razie przestań narzekać. Usiądźmy wygodnie i opalajmy się - powiedział wujek Oskar, i tak właśnie uczynił.

Po kilku sekundach dodał jeszcze: - Co więcej, nie istnieje też sprawiedliwość historyczna.

Przyszły mi na myśl owce, gdyż ostatnio obsesyjnie zajmowały mnie właśnie one. Wstałam z ławki i energicznie ruszyłam.

Dokąd to? - Wujek Oskar otworzył jedno oko.

- Muszę już iść.

- Przecież dopiero co przyszedłem.

- Chcę napisać list do ba... do mamy. Tak mnie nagle naszło, nie gniewaj się, wujku. Jutro koniecznie musimy się spotkać. Nie zapomnij.

Pomachałam na pożegnanie śmiejącym się za naszą ławką chłopcom i kilkoma gestami dałam im do zrozumienia, że opalający się przed nimi, starszy, ale dobrze wyglądający mężczyzna może być ich klientem, przynajmniej teoretycznie.

16.

Kochana Babciu!

Większą: część ostatniego weekendu spędziłam, leżąc na wznak i licząc mój zasób słów. Naliczyłam ich 2310 - okrągła liczba. Sama przyznaję, że to kiepski wynik, i dzięki temu łatwiej przychodzi mi zachować umiar i wspaniałomyślnie zrezygnować z pisania, jednak chciałabym, abyś przynajmniej pozwoliła mi codziennie zapisywać po jednym nowym oraz archaicznym słowie lub wyrażeniu.

Nie bój się, nie piszę bajek. Rozmyślałam tylko w piątki.

Ostatnio interesują mnie owce, zauważyłam dwie ciekawe rzeczy z nimi związane: na przykład to, że owczy gniew jest straszny, co dało mi do myślenia (tylko w piątek). Ukazała mi się też postać zupełnie wyjątkowej owcy. Druga rzecz jest bardziej tradycyjna, a jednak ekscytująca: przypadek starej owcy i młodego rzeźnika. Prawda, że ty też masz dreszcze na samą myśl o nich?

W prezencie urodzinowym chciałabym dostać pozwolenie na napisanie historii o owcach. Obiecuję nie działać samowolnie bez Twojej zgody.

Całuję cię delikatnie, twoja wnuczka, Jerne Gdyby ktoś na podstawie tego listu chciał ocenić, jak spędzałam dni, postąpiłby zbyt pochopnie - gdy wymagały tego moje własne interesy, kłamałam jak z nut.

Babka w zasadzie miała nadzieję na dwie rzeczy: 1. że zakaz okaże się silniejszy niż duch (zobacz: bolszewizm, faszyzm), 2. że czatującym na mnie szpiegom uda się przejrzeć moje zamiary. Co się tyczy tego ostatniego: cóż za niedorzeczność! Przecież nawet ja nie miałam jeszcze pewności, co zamierzam. Mimo wszystko wyglądało na to, że wujek Oskar jest nielojalny. Za codzienne bezmięsne wyżywienie nie miał zamiaru działać wbrew sobie, wolał raczej wspierać swobodny przepływ moich myśli.

W ten sposób dotarliśmy do pierwszej babcinej zasady, która - istnieją na to poparte doświadczeniami dowody - była całkiem mylna. Jeśli nad głową wisi mi "nie wolno", tym bardziej inspiruje mnie zwierzęcy świat, a w moim umyśle rodzą się coraz to nowe zdania: To jest bioogród, tu panują całkiem inne zasady. Nie ma spryskiwania, możesz jeść wszystko, czego tylko zapragniesz. Za to wystrzegaj się aksamitek. Niestety, nie starczyło mi czasu,

żeby przelać to wszystko na papier.

Mój rozkład dnia wyglądał następująco: wstawałam o ósmej rano i do godziny jedenastej zajmowałam się sztuką. Odkąd musiałam się z niej rozliczać, zaczęłam widzieć ją w całkiem innym świetle: nie lubiłam chodzić do galerii ani na wystawy, gdyż są stosunkowo tanie i zabierają sporo czasu. Na bezpłatne imprezy od razu machałam ręką. Słyszac ° darmowym koncercie Bachowskim, motetach i madrygałach w kościele, dla wszystkich, albo znanych autorach czytających swe dzieła, wstęp wolny spluwałam tylko. Co mnie kusilo? Na przykład bilety do teatru w pierwszym rzędzie! Pokaz taneczny - tylko dzisiaj! Koncert w konserwatorium! Nieprzyzwoite czasopisma na kredowym papierze! Poradniki w twardych oprawach!

Kupowałam bilety, ale od razu je darłam, zakupione książki rzucałam w ką, rachunki odkładałam w bezpieczne miejsce i szłam do pracy. Przez osiem godzin krzątałam się i uwijałam, potem wracałam do domu, regenerowałam się, i tak znów da capo al fine. W to upychałam jeszcze trzy godziny języka węgierskiego tygodniowo i inne czasochłonne czynności. I tak sobie żyłam, na marginesie społeczeństwa i rzeczywistości.

Wprawdzie wujek Oskar miał za zadanie śledzić mnie, jednak wolał proponować mi wspólne, niezobowiązujące spędzanie czasu; trzymaliśmy się razem, niczym kolonia bezdomnych z VI. dzielnicy. Bycie "poza" jest rzeczą słodką, a zarazem "chłodną", dlatego nigdy nie mówiliśmy, że

„my”, tylko że „oni”, „ci”. Drugiego dnia długiego weekendu urządziliśmy sobie wycieczkę po Górach Budańskich i zamęczaliśmy się nawzajem swoimi monomaniami.

- Moim zdaniem mrówki są ewangelikami - oznajmił wujek Oskar i delikatnymi butami z koziej skóry w kilka sekund rozdeptał mrowisko. - Z zasady cechuje mnie tolerancja religijna, ale to sprawiło mi dużą przyjemność. - I przyklął, żeby wyczyścić sobie obuwie.

- A co sądzisz o świerszczach?

- Nie przepadam za tą bajką.

- Z ust mojej ba... mamy brzmiała zawsze bardzo wiarygodnie.

- Tak. To kobieta o osobowości utylitarnej. Niezbyt wrażliwa pod względem społecznym, nie nazwałbym jej też miłą. Natomiast... - wujek Oskar ze zmarszczonym czołem szukał odpowiednich pozytywnych epitetów - dla określenia babki.

- Piękna? - zaoferowałam swoją pomoc.

- Tak, wygląd ma niezwykle korzystny. Bez dwóch zdań. I bardzo gustownie się ubiera. Jestem jednak zdecydowanie przekonany... - Wujek Oskar kucnął, żeby z bliska podziwiać kaczeńce. -... że ty wcale nie jesteś do niej podobna. Pewnie wdałaś się raczej w

ojca, mam rację?

- A bo ja wiem? - Ten temat zawsze sprawiał, że stawałam się opryskliwa: dlaczego ludzie uważają, że znam odpowiedzi na wszystkie kłopotliwe pytania, niczym interaktywny ginekolog?

- Cholera wie. Kilkanaście lat temu, kiedy twoja matka użyczała mi lichwiarskiej pożyczki, zaprzyjaźniliśmy się bardzo i wtedy opowiedziała mi, że zaszła w ciążę z ziemskim sobowtórem rzeźby Dawida. No ale w takim razie do ojca też nie jesteś podobna.

- Genetyka to bardzo skomplikowana rzecz. - Zakończyłam dyskusję, choć korciło mnie, żeby wyjawić mu tajemnicę mojego życia. Byłoby dużo wygodniej, gdybym wreszcie mogła obwieścić, że kierująca moim życiem nieprzemijająca kobiecość to moja babka. Zapewne wujek Oskar też czytał o wampirach tylko to, że mlaszcząc wysysają krew, spermę, mleko i zlizują słony pot, i jeśli przypadkiem dowiedziałyby się, że należę do gatunku tych potwornych istot, w przyszłości wzbraniałyby się przed spotkaniami ze mną, bez względu na to, jak jest wykształcony i uświadomiony. Muszę żyć w kłamstwie! Będę samotna aż po grób! Niestety, tak to wygląda.

- Wujku, jak myślisz, istnieje życie pozagrobowe?

- Skąd miałbym wiedzieć? Z takiej wycieczki nikt jeszcze nie wrócił - zamrugał i słodko się uśmiechnął, a jednak jego lekceważąca odpowiedź mnie zdenerwowała. Podniosłam z ziemi kamień i zamachnęłam się.

- Cóż to za maniery, Jerne? Rzucasz kamieniami tylko dlatego, że ktoś powiedział coś, co ci się nie spodobało?

Nawet jeśli rozbijesz mi głowę, i tak odpowiem, że twoje pytanie jest nieprecyzyjne i zbyt ogólne.

W tej odpowiedzi wujka Oskara był cały jego pięćdziesięcioletni urok; wypuściłam kamień z ręki, bo przecież w świecie bez Boga nie wypada zadawać takich pytań.

Zaproponowałam więc, żebyśmy podeszli do punktu widokowego, ponieważ obiecałam O., że następnego dnia ją tam zabiorę, i chciałam przedtem zbadać teren.

18.

Na próżno się starałam i przygotowywałam. Kiedy o poranku zadzwoniłam domofonem na szóste piętro z komunikatem "przewodnik czeka", O. wychynęła z bramy w okularach słonecznych i eleganckim stroju.

- Dzisiaj nie mam ochoty na wycieczkę. Napijemy się herbaty i pospacerujemy po deptaku. Preferowany przeze mnie nocny tryb życia nadwerżył zarezerwowane dla sportu zapasy energii. - Odśloniła na chwilę podkrążone oczy. Biedna laska. Całe szczęście, że nie

musiała sobie tego dnia robić zdjęcia na okładkę debiutanckiego tomiku. Czułam, że jest mi bliska; przez całą noc w marzeniach snułam plany dotyczące naszej namiętnej miłości. Ostatnio było mi niemal przykro, że na mój widok nie rzuca mi się na szyję, gdyż w naszym nocnym życiu już się do tego prawie przyzwyczaiłam, podobnie jak do innych intymnych rzeczy, na myśl o których dotąd przewracało mi się w żołądku.

Po półgodzinie snułyśmy się po dużym placu, wokół złożonej ze sporej ilości muzyków orkiestry. O. zaproponowała, żebyśmy usiadły na tarasie utrzymanej w klimacie śródziemnomorskim kawiarni, jak najbliżej muzyków. Właśnie grali 40. symfonię Mozarta, a ja zaczęłam się denerwować, że sentymentalne dźwięki skrzypiec porwą mnie ze sobą.”To tonacja moll, a jednak pogodna, czyż to nie zachwycające?”, tą myślą pragnęłam się podzielić z O., jednak powstrzymał mnie stosunkowo wysoki poziom skomplikowania tej wypowiedzi. Po co miałabym niepotrzebnie ściągać na siebie jakieś podejrzenia.

- Piękna muzyka. - W rezultacie na tym stanęło.

- Piękna. A, przypomniało mi się, jaką miałam wczoraj w nocy przygodę.

- Ale czy nie jest zbyt lekka, słodkawa?

- Być może, ale wyobraź sobie, wczoraj w nocy...

- Co się stało? - zapytałam krótko, żeby wywiązać się z obowiązku interakcji.

Widziałam, że O. i tak zrealizuje swój zamiar rozmowy na temat wczorajszego wieczoru, ja natomiast nie odczuwałam podobnej potrzeby w związku z Mozartem. Mozart był geniuszem, lecz wiele osób uważa, że miał zbyt lekką rękę. Nienawidził Bacha - ciekawe, czy Bach nienawidziłby jego.

- Umówiłam się z przyjaciółmi w jednym z peszteriskich klubów. Właśnie zmierzałam w tamtą stronę, kiedy na przejściu dla pieszych jakiś młody mężczyzna zapytał mnie po angielsku, czy nie wiem, gdzie w pobliżu można napić się piwa. Powiedziałam mu, że właśnie idę w takie miejsce. Przyjrzał mi się w blasku czerwonej lampy i powiedział, że chętnie pójdzie ze mną, dokądkolwiek bym szła.

Przełknęłam kilka zdecydowanie niepochlebnych komentarzy.

- I? - zapytałam zamiast tego.

- Kiedy dotarliśmy na miejsce, na jakiś czas straciłam go z oczu, ale potem się odnalazł, i resztę wieczoru spędził ze mną. Żartowałam sobie z niego, żeby uważał, bo o północy mogę zniknąć.

- I co on na to?

-”Nie dziwiłbym się, bo jesteś zjawiskowa”. Najwyraźniej czegoś ode mnie chciał, a ja wzbraniałam się: z humorem, ale wytrwale. Wyszłam nawet na pięć minut do toalety, żeby

się z nim trochę podroczyć. I co zobaczyłam po powrocie? Zasnął oparty o bar, nie obudziło go żadne poszturchanie. Nie mogłam nawet zniknąć jak Kopciuszek, musiałam po prostu dowlec się do domu!

Wyobrazasz to sobie?

- Hmm...

Czułam, że nadszedł czas, aby w sieć słów wpleść trochę zalotów.

- Jak można zasnąć, gdy ty jesteś w pobliżu? Taka wibrująca, stuprocentowa kobieta. - Tak się starałam, że przypadkiem wstawiłam dwie przydawki. o. uśmiechnęła się skromnie, nie podnosząc wzroku.

Dorzuciłam jeszcze jeden z babcinych cytatów:

- Twoje spojrzenie. Hmm! Nie sposób go odczytać. - Żadnej z nas nie przeszkadzało, że spojrzenie O. zasłaniały przyciemniane szkła z filtrami zabezpieczającym przed promieniami uv. Choć moje starania przyjęte zostały w miarę przychylnie, O. nadal wyglądała na zmęczoną życiem, niczym Maria Baskircsev przed zachorowaniem na gruźlicę. W pozostałej części spędzonego wspólnie czasu skierowałam rozmowę na bardziej konkretne sprawy: poprosiłam O., żeby wyjaśniła mi znaczenie funkcji stylistycznej ornamentów językowych”mówiąc po peszteńsku” i”na dzień dzisiejszy”. Trochę nas to zelektryzowało, ale zaznaczam: tego dnia również nie dałyśmy się porwać zgubnej namiętności.

19.

Odkąd skończył się post, restauracja przestała tętnić życiem.”Wszyscy siedzą w domach i zajadają się do nieprzytomności wielkanocną szynką”. Atti wielokrotnie to powtarzał; albo miał nadzieję, że kiedyś będziemy się z tego śmiać, albo dlatego, że fakt ten bardzo go przygnębił. Ale nikt z nas się nie uśmiechał, nawet z poczucia lojalności.

Na przykład kucharz i kelner czuli się nieprzyjemnie dotknięci, gdyż w woreczkach z drugim śniadaniem czekał na nich ów kultowy przysmak. Węgrzy, poprzez spożywanie tego rodzaju mięsa, zaspokajają swoje potrzeby duchowe związane ze świętem zmartwychwstania jedyne Syna jedyne Boga. Zbliżała się również rocznica mojego zmartwychwstania, ale ja jej nie obchodzę, nie jest to dla mnie ani Zenit, ani Nadir; raczej przeżyłam ją jako rite de passage.

Tak więc restauracja nie szła, interes się nie kręcił, a ja mimo wszystko w pełnej gotowości siedziałam na swojej zmywarce i na kieszonkowym telewizorze kucharza oglądałam filmy przyrodnicze. Takie, które mówią o przedłużonych kanałach urogenitalnych samic hien lub o szesnastowiecznych rzeźbach z drzewa hebanowego i mają wzbudzić w nas poczucie, że świat jest pięknym i ciekawym miejscem, pełnym niezliczonych dziwów.

Naturalnie kurioza te nie pozwoliły mi zapomnieć, że w zasadzie moje życie pozbawione jest celu, i delikatny uśmiech na mojej twarzy wywołała świadomość, że ich życie też. Przez większość czasu byłam smutna i bez humoru, ale właśnie po to tu byłam. A zatem pod pewnymi względami moja misja mogła wstać uznana za sukces. Akurat łuskałam orzechy brazylijskie, kiedy zajął do mnie kucharz i powiedział, że właśnie przyszedł mój wujek; wprawdzie wcześniej niż zazwyczaj, ale mogę się do niego przysiąc - firma jakoś sobie teraz beze dmie poradzi.

Wujek Oskar pomachał do mnie porośniętą ciemnoblonde włosami ręką. A mnie ogarnęło nieodparte przecucie, że jest dziś w znakomitym humorze i nie będzie mnie pouczał, żebym nie popełniała samobójstwa i czytała więcej literatury współczesnej.

- Proszę cię, Jerne, pogratuluj mi - zaczął natychmiast. - Od dziś jestem nie tylko marksistowskim i wielkonosym, ale także bogatym Żydem.

- Jeśli celem twojego życia było dorośnięcie do stereotypu, to właściwie możesz już umrzeć.

- Nie rozumiesz? Babka... - I lekko dał mi do zrozumienia, że "kaput".

- Poważnie? Nie do wiary.

- Też tak czuję. Po tylu latach... Wiesz, Jerne, nie należę do tych, co składają wódkę w ofierze jakimś bóstwom domowym...

- I właśnie to jest w tobie takie sympatyczne, wujku.

-... ale zastanawiałem się już nad zrobieniem laleczki voodoo. Od lat marzyłem o tej chwili.

- Nie mów tak! A ja myślałam, że jesteś człowiekiem, który zawsze ma dobre zamiary.

- Bo jestem, ale ta radość rzuciła mi się na umysł.

- Przyniosę ci coś do picia, żebyś się uspokoił.

- Dobrze. Jeść i tak nie jestem w stanie.

Kucharz doradził napar z mieszanki rumianku, trawy cytrynowej i lebiody - w jednakowych proporcjach. Powiedział, że od tego nerwy puszcza i zostaną wydalone razem z moczem. Jeśli już o tym mówimy, to sam napój wyglądał jak mocz.

- Co tam dla mnie masz, Jerne?

- Wypij, to ci dobrze zrobi - powiedziałam z chytrym uśmiechem.

Wujek Oskar wypił łyk, a kiedy zobaczył, że w restauracji poza nami nie ma nikogo, powstała w ustach herbatę wypluł na kwitnącego w oknie niecierpka. W mojej opowieści nie wolno pluć na nic poza niecierpkim. A już w żadnym wypadku na kwiaty o kobiecych

nazwach typu róża czy magnolia.

- Nie gniewaj się. Nie zachowałem się, jak przystało na dżentelmena, ale kiedy miałem trzy lata babka zgodziła się, że jeśli coś mi nie smakuje, mogę to wypluć. Zmieńmy temat. Nadszedł czas, żebym spełnił swoją obietnicę.

- Pożyczysz mi Mein Kampf.

- Zapomniałaś? Teraz wylatuję do Nowego Jorku na pogrzeb i odczytanie testamentu. Ale najdalej za miesiąc wrócę i wtedy nie będziesz już więcej zmywać.

- Ale ja muszę zmywać.

- Jesteś stworzona do wyższych celów. J nie chcę słyszeć żadnej fałszywej skromności. Przede wszystkim jednak chciałbym, żebyś dotrzymała mi towarzystwa w podróży dookoła świata, którą zamierzam rozpocząć za cztery tygodnie w Tallinie.

- Ja?

- Ty. Na obecnym etapie mojego życia ty jesteś osobą, z którą pragnę objechać świat dookoła. Jeśli mi nie odmówisz.

- Czy muszę natychmiast dać odpowiedź?

- Nie. Ale nie przyjmę argumentów o zatrzymującym cię tu powołaniu.

- Nie gniewaj się, wujku, twoja propozycja jest bardzo kusząca, ale ja jeszcze przez jakiś czas muszę się tu męczyć.

- Jak uważasz. - Wujek Oskar z lewej górnej kieszeni lnianej koszuli, niebieskiej jak u Tiepola, wyjął małą karteczkę i sięgnął po pióro do tylnej kieszeni szarych, zaprasowanych w kant płóciennych spodni, ale tam go nie znalazł, gdyż ono też było w kieszeni koszuli. To był bardzo ładny ciąg ruchów. Z przechyloną lekko w prawo głową przyglądałam się, jak z namaszczeniem przygotowuje pióro do pisania.

- Zapisz mi tutaj swój adres. Prześlę ci na niego bilet lotniczy. Piątego czerwca czekam na ciebie na lotnisku w Tallinie. Będziesz, to będziesz, jak nie, to nie.

I na tym stanęło.

Część piąta

20.

Chodźmy, Karlin, chodźmy z pośpiechem / wejdźmy razem na górę / Mgła okryła już las / W ten chłodny jesienny poranek - recytowała O. Wcale nie przeszkadzał jej fakt, że w okolicy nie było ani lasu, ani góry; z tego, co widziałam, było upalne wiosenne popołudnie, a ja nie nazywam się Karlin. Lekcje języka od dawna już były tylko pretekstem, nazywałyśmy je swobodnymi konwersacjami. O. już nawet nie podrywała głowy ze zdziwienia, słysząc, że stosuję właściwą odmianę.

Nie było dla mnie jasne, co wywołało w niej tęsknotę za wolnością. Od ponad godziny zachowywała się jak rzadko wyprowadzany młody wyżeł: tęsknie spoglądała przez okno i ciągle powtarzała, że w taką pogodę nie warto być nigdzie indziej, tylko na dworze. Chciała mnie tym zmusić do wystąpienia z propozycją spaceru. Kiedy wreszcie wyszliśmy na powietrze, rozbrykała się i uraczyła mnie koktajlem z perełek węgierskiej poezji kobiecej. W pewnej chwili nagle zniknęła mi z pola widzenia i usłyszałam tylko, jak woła: - No proszę, to by mu się podobało. - Stała przy niskim, marnie wyglądającym drzewku i jedna po drugiej obłamywała mu gałązki. - Nie ma wątpliwości. Uschło.

- Nie niszczyć go całkiem.

- Pod tym drzewem siadywaliśmy często z jednym z moich ukochanych. Jeśli mi się uda, jeszcze dziś do niego zadzwonię i powiem mu, że drzewo naszej miłości uschło. Choć oboje wiemy o tym od dawna.

Usiadłyśmy na pobliskiej ławce. Denerwowałam się na myśl, że o. mogłaby dostać napadu szczerości.

- Tam. - Mój wzrok podążył za palcem o. - Staliśmy na szczycie wzgórza i rozmawialiśmy o Dostojewskim. Marcowy wiatr rozwiewał nam włosy. Kiedy wspomniałam tego starca, prawie stracił równowagę. Mnie też krew napłynęła do twarzy, ale panowałam nad sobą.

Obie zagłębiłyśmy się na chwilę w marzeniach. Ja dlatego, że naprawdę uznałam to za ekscytujące. Starzec...

To jest coś. Niemal zazdrościłam o. przygód, jakie jej się przytrafiają. Też chciałabym rozmawiać o Dostojewskim, a jeszcze bardziej być bohaterką jego powieści. Jakże podniecające są te dyskusje połączone z nocnymi spotkaniami! Gdyby tak ktoś przez całą noc

śluchał, jak opowiadam o swoich poglądach na świat, bez szans na ucieczkę: na zewnątrz panowałyby sroga rosyjska zima.

-...i wtedy on powiedział:”Mam Braci Karamazow po rosyjsku” - kontynuowała o. - Ale jeszcze nie czytał. Planował tylko, że to nadrobi.

- A potem co się stało?

- Oparł mnie o drzewo i zarzucił mi spódnicę aż na szyję.

- Stosunek na stojąco nie jest ani prosty, ani wygodny - przytoczyłam słowa znanego autora.

- Zgadzam się. Dlatego rozłożył na ziemi swoją kurtkę. Położyłam się na niej, a on znów sięgnął mi pod spódnicę.

- Mów, jak się to skończyło! - wtrąciłam szybko, gdyż nie byłam ciekawa reszty obscenicznych szczegółów.

- Powiedział, że nasze wspólne pieprzenie dołączy do najpiękniejszych momentów swojego życia.

- To chyba swego rodzaju uznanie.

- Ale mi nie było dobrze. Moim zdaniem on nie był zbyt dobry. - o. pokręciła głową. Nie myślała już o naszej rozmowie, choć na początku to ona z wielkim zapalem opowiadała o uschniętym drzewku, Dostojewskim i najróżniejszych pozycjach. Rozmyślała o czymś innym, o czymś, co było w stanie sprawić, że na kilka chwil zapomniała o podstawowym sensie swego istnienia.

- Na pewno było ekscytująco. To tylko czas wypacza niegdyś piękne wspomnienia. - Za dużo, za dużo, że też nie ugryzłam się w język.

- Bardzo dobrze mówisz po węgiersku.

- Tak uważasz? Bardzo się cieszę, jeśli rzeczywiście tak myślisz.

- Roztrzaskam ci łeb, jeśli okaże się, że tak naprawdę doskonale znasz węgierski i tylko robisz sobie żarty, nie wiedzieć po co i dlaczego.

Od początku czułam, że moja gra jest dość słaba, a teraz skończyła się też cierpliwość O. Musiałam improwizować.

- Nie wiesz dlaczego? Bo cię kocham. o. przygryzła wargi i oparła się o pień drzewa.

- Prawdą jest, że nie jestem Węgierką i że nie znam węgierskiego tak dobrze jak ty. No i ty na dodatek jesteś poetką..;

- Ale dlaczego w ten sposób?

- Żeby móc spędzać z tobą dużo czasu. - W miarę rozwoju tej sceny udało mi się przekonać nawet samą siebie. Zbliżyłam się do O. i głaskałam ją po ramieniu, począwszy od

obojczyka, aż po nadgarstek. Stała sztywna i zamyślona.

- Bardzo jesteś we mnie zakochana?

- Bardzo - odpowiedziałam tonem, który z jednej strony świadczył o sile, z drugiej przywołał na myśl cierpienia nieprzespanych nocy.

- Nie bój się, nie wykorzystam tego - powiedziała miło, po czym odwróciła się na pięcie. Przytrzymałam ją za ramiona, odwróciłam w swoją stronę i pocałowałam niezdarnie, jakby onieśmielona wielką chwilą. Ten rodzaj kontaktu cielesnego niestety również tym razem wydał mi się nieprzyjemny. "Pocałunek to szczęście", jak mawiała babka, cytując słowa jakiegoś nieznanego mi my/iiciela, i wszystko byłoby w porządku, gdyby nie kontynuacja: "Płodzenie to rozkosz, którą Bóg obdarzył nawet robaki". Z Bogiem czy bez Boga, mnie osobiście odrzucają wszelkie rodzaje rozkoszy. Wtedy O. zaczęła się zachowywać, jakby ogarnęło ją właśnie coś na kształt rozkoszy: mięsiste wargi mocno przycisnęła do moich, a jej; aktywny, przebojowy język badał moje podniebienie. Bezdyskusyjnie przyjemnym uczuciem była natomiast sama bliskość ciepłokrwistej istoty rodzaju żeńskiego - pozbawionej zarostu i ładnie pachnącej. Wychowałam się na odżywkach, za piernaty służyły mi tylko trociny - które wprawdzie dobrze izolują, ale nie dają ciepła - jednym słowem, powiedziałam sobie, że jeśli to jest jedyny sposób, żeby zaznać ludzkiego dotyku (everybody needs human touch), to niech się dzieje, co chce, mogę się nawet całować.

To właśnie robiłyśmy jeszcze przez chwilę, potem każda z nas poszła w swoją stronę.

21.

Dziecko drogie!

Twój list zdenerwował mnie. Zastanawiałam się, jak to możliwe, żeby neutralny w dniu dostarczenia materiału dziecięcy przekształcił się w zdegenerowanego wyrodka? Gdzie zaczyna się odpowiedzialność opiekuna, a kończy genetyka? Dlaczego muszę dobrotliwie znosić twoją mrozącą krew w żyłach głupotę? - Powyższymi pytaniami retorycznymi babka rozpoczęła refleksje nad faktem, że pomimo całej swojej uległości i posłuszeństwa nie spełniam jej oczekiwań. Z jej słów wynikało, że chętnie ujrzałyby w moim życiu więcej inicjatywy, a mniej teoretycznego opieprzania się. Wersy świadczące o trosce o mój los zamknęła groźbą śmierci i obiecała natychmiastowe jej zrealizowanie, jeśli nadal będę się z nią dzielić myślami o swoich wirtualnych zwierzęcych przyjaciółkach.

Właściwie nigdy jeszcze nie udało mi się jej dogodzić, no może raz czy dwa. Nie była zadowolona z moich wyników w nauce, mój wygląd też okazał się zdecydowanie poniżej jej oczekiwań. Czułam, że bezpowrotnie roztrwoniałam radość, którą wywołało we mnie jej uznanie, wywołane moim pierwszym wysśnieniem krwi. Jakże długo musiała na to czekać,

biorąc pod uwagę, że ostatnio była ze mnie dumna wtedy, gdy mając dwa i pół roku, wyrecytowałam wierszyk Idzie niebo ciemną nocą... na bożonarodzeniowej uroczystości w żłobku.

Skoro już jestem zła - co zostało wielokrotnie stwierdzone - to dlaczego miałabym przed skutkami tego chronić właśnie swoich najbliższych? Kiedy wklepywałam na klawiaturze, co myślę o wymyślanych potworkach (potępiam je) i jak bardzo żałuję, że z bajek całkowicie zniknęły tradycyjne zwierzęta domowe, na mojej twarzy pojawił się niesamowity, diabelski uśmiech. W postscriptum dodałam jeszcze: Pilne. Co mam robić, jeśli na ściankach wanny dookoła ciągnie się brudny ślad i nie mam czystych ubrań? Jeśli kosz na śmieci jest pełny po brzegi, a całą umywalkę pokrywają obrzydliwe ślady po splunięciach pastą do zębów? Oczekuję bezzwłocznej porady, gdyż moje otoczenie stało się odrażające i nieprzyjemne!

22.

Następnego dnia rano pomagałam kucharzowi taszczyć z bazaru siatki z zakupami. W drodze do restauracji zastanawialiśmy się, jaka potrawa byłaby w stanie przy~ czynić się do zlikwidowania piętrzących się w magazynie zapasów kapusty. Wielokrotnie już doradzałam, że można by ją ukusić, ale kucharz, zawsze z tym samym teatralnym akcentem, odpowiadał: „Ale w czym, na Boga?”. Od samego początku sprawiał on na mnie wrażenie człowieka, który zanim rozwiąże jakiś problem, lubi się nim długo delektować. Na próżno odpowiadałam mu już chyba z pięć razy, że najlepiej w drewnianej beczce - puszczał to mimo uszu i powtarzał: „W czym?”. „Trzeba kupić tę cholerną beczkę”, krzyknęłam w końcu z irytacją, ale nie zdążył się obrazić, bo akurat przechodziliśmy obok masarni. Dosłownie aż cofnęliśmy się z przerażenia i przez dłuższą chwilę staliśmy jak wryci, jakby ktoś rzucił na nas urok. Obdarty ze skóry pokazowy pieczony kurczak zahaczył szyją o śruby trzymające rożen i odbijał rytmicznie uderzenia poruszanej prądem konstrukcji. Szyja ptaka dymiła na rozgrzanym metalu, lał się z niej tłuszcz.

- Potworne - wydusił z siebie kucharz, kiedy w końcu odzyskał głos.

- Ale on już nic nie czuje - powiedziałam, mając na myśli kurczaka, i zaproponowałam, żeby dać znać izeinikowi. Kucharz skrzyczał mnie, że „z rzeźnikami i masarzami nie wchodzimy w żadne układy”. Przypomniało mu się natomiast, że nie kupił ani brokułów, ani natki, i w związku z tym powiesił sobie wszystkie cztery siarki na muskularnym ramieniu, a mnie wysłał z powrotem na bazar.

Nogi trzęsły mi się jeszcze od poprzedniego widoku, przywołującego na myśl największe okrucieństwa chrześcijańskiej inkwizycji (w pamięci miałam nauki Attiego, który

pieczenie w całości nazwał profanacją zwłok i po~ tępił jako takie). Nie byłam w stanie spieszyć się tak, jakbym chciała. Właściwie dreptałam cały czas obok kucharza, który po kolei wymieniał, czego pod żadnym pozorem mam nie kupować, kiedy zobaczyłam O.

- Mam nadzieję, że zwiędnięte warzywo nie ujdzie twojej uwadze? - szukał potwierdzenia kucharz. Ja natomiast od dłuższej chwili nieruchomo wpatrywałam się w twarz O., ona też już mnie zauważyła. Od wczorajszego pocałunku myślałam o niej wyłącznie ze wzruszeniem.

- Cześć - powiedziałam i zaczęłam intensywnie zastanawiać się, co jeszcze mogłabym powiedzieć miłego, pięknego. - Nie mogłam się doczekać, kiedy cię znów zobaczę. Ładnie wyglądasz. - Domyślałam się, że nie było to zbyt wyrafinowane, ale i tak osiągnęłam zamierzony efekt: na twarzy O. pojawił się różowy rumieniec, który przeniknął nawet przez warstwę makijażu.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś, żeby umówić się na następną lekcję?

- Nie miałam odwagi ci przeszkadzać - odparłam z powstrzymaną namiętnością.

- Możesz spokojnie zadzwonić.

- Dziękuję. Nie gniewaj się, ale teraz mam pilne sprawy służbowe. - Dla podkreślenia zrobiłam kilka kroków.

- To czekam na telefon. - o. pomachała mi i poszła dalej.

- Co to za laska? - zainteresował się kucharz, ale ja biegłam już w stronę bazaru. Od miesięcy trzymam pod poduszką Niebezpieczne związki, jak dotąd tylko wierzyłam w ich magiczną siłę, niczego się z nich nie ucząc. Oceniałam jednak, że zamieszanie wywołane przez kurczaka na grillu przysłużyło mi się w tej małej interakcji.

23.

Tego wieczora stosunkowo wczesne dotarłam do domu. Zastanawiałam się nad jakimś efektownym zajęciem na powstały mi do zaśnięcia czas, nad tym, co robi osoba samotna, kiedy chce spędzić wieczór w sposób kulturalny, a jest zbyt zmęczona, żeby zająć się dekodowaniem zasypanych literami kartek. Złożona ze stu elementów i przedstawiająca ukształtowanie terenu Węgier, układanka, którą dostałam od babki przed wyjazdem do internatu w Winterwood - żeby pamiętać o tym małym kraju - wydawała się dobrym rozwiązaniem: jednocześnie rozwijała wiedzę geograficzną i dostarczała rozrywki na odpowiednim poziomie.

Wydobycie pudełka zajęło mi nieco więcej niż chwilę - nazwanie pokoju z kuchnią chlewem nie byłoby tylko figurą retoryczną - kawałki puzzle' a wysypałam na trumnę, przysunęłam sobie krzesło i zaczęłam wybierać ciemnobrązowe elementy rzeźby terenu.

Kiedy wieko trumny nagle się uniosło i wygramoliła się z niej babka, oczy prawie mi wyskoczyły z orbit.

- To ty? - wykrztusiłam po dłuższej chwili.

- Co jest, chcesz oberwać? - przywitała mnie.

- Uważasz, że sobie zasłużyłam? - zapytałam czupurnie, ale mała łza popłynęła mi po twarzy. Zaczynałam mieć dość tej napiętej atmosfery rodzinnej. Jestem wrażliwą artystką, wszystko sprawia mi dziesięć razy większy ból. - Po to przyleciałaś?

- Nie. Przyleciałam, żeby cię szpiegować, kontrolować. Z Helsinek to tylko dwie i pół godziny samolotem.

- Jak się masz?

- Wiesz, Finlandia nie jest zbyt zajmującym miejscem. Ze względu na interesy mieszkam na prowincji, w małym, pomalowanym na czerwono, drewnianym domku, na skraju lasu. Cisza, spokój, czyste powietrze, przyjaźni ludzie; mało jest rzeczy, których nienawidzę bardziej niż to. Ale mnóstwo pieniędzy jakoś mi to wynagradza.

- Na co je wydasz? Te pieniądze.

- Nie chcę ich wydawać, to byłoby bolesne. Mnóstwo pieniędzy jest rzeczą fantastyczną samo w sobie. Sam fakt ich posiadania. Ale trzeba za to płacić. Wiesz, co robię w weekendy? Chodzę do lasu straszyć ludzi. To żalosne. Węgry! - Babka westchnęła ze wzruszenia, spoglądając na pudełko mojej układanki. - Dziecko, to nie jakaś groteskowa przesada: kiedy na lotnisku ujrzałam węgierską flagę, miałam łzy w oczach. Czerwona jak krew, zielona jak flegma, szczęśliwi ci, którzy mogą wysysać tu krew.

Tymczasem zbierałam kawałki układanki, które rozsypały się po całym pokoju. Pełzałam na czworaka, ślizgałam się na kolanach.

- A twoja dziewczynka wciąż nienaruszona. Jesteś niegodna zaufania.

- Chyba tylko dla ciebie jestem niegodna zaufania.

Pracuję nad nią. Wszystko mam pod kontrolą. Jeszcze w tym tygodniu będzie moja.

- Przynajmniej byś się zamknęła. Milcz i spuść wzrok. Jakoś tego dokonasz, być może. Ślepiej kurze trafia się ziarno. Ale gdzie styl, gdzie talent, gdzie dynamika?

Wampirzy rozmach? Ile razy ci popuszczalam, zwodząc samą siebie? Wszystko na próżno.

Nie mogłam znaleźć Budapesztu i jego okręgu administracyjnego, dlatego z rozdrażnieniem powiedziałam: - Daj mi spokój.

Babka poszukała sobie miejsca i usiadła. Przyglądała mi się, jak zrezygnowawszy z poszukiwań stolicy, próbowałam wpłynąć na chaos swego mikro środowiska, gdyż w

pomieszczeniu panował nieporządek zarówno jeśli chodzi o formę, jak i treść.

- Wiesz, Jerne, dla mnie myślenie jest częścią istnienia. I teraz, gdy mam czas na rozmyślania, doszłam do wniosku, że życie rodziny nuklearnej po tym, jak potomstwo nie wymaga już opieki, jest zwyczajną perwersją.

Poza tym: dlaczego więzy rodzinne miałyby mnie zobowiązywać do służenia pomocą, skoro nie odczuwam takiej wewnętrznej potrzeby? Weźmy twój przykład. Uważam, że jesteś odrażająca i żalсна.

- Za to ty jesteś piękna i mądra.

- Zgadza się. Ponieważ nie zrodziłam się w wyniku aktu seksualnego. - Oczy babki przypadkiem zwróciły się w stronę stojącego w kącie pokoju ołtarzyka Oscara Wilde'a.

- Zmień wodę w chryzantemach - nakazała surowo. - Jeśli regularnie nie dostają świeżej, szybko więdną, Zerwałam się natychmiast, puściłam w łazience mocny strumień wody. Babka wspominała: - Wyglądał jak olbrzymi nagi ślimak. Nawet nie wyssałabym mu krwi. Niewykluczone, że w ogóle jej nie miał... ślimaki nie mają.

Słoik ze świeżą wodą postawiłam pod portretem i poprawiłam kwiaty, potem ułamałam jeden z nich i zatknęłam za ramę obrazu.

- Muszę już ruszać, jeśli chcę zdążyć na nocny lot.

Nie cieszę się, że się spotkałyśmy, ale u mnie to już chyba coś w rodzaju nawyku, że się o ciebie troszczę. Cóż mam ci powiedzieć? Staraj się postępować zgodnie z moją wolą, wtedy nic złego się nie stanie - podsumowała babka i sięgnęła po torebkę.

- Pa, babuniu - powiedziałam i zabrałam się za układankę.

Zaczynam coraz bardziej pasować do swojego znaku zodiaku - wykrzyknęła O. naiwnie. Przeglądała jakieś kolorowe czasopismo, ja dostałam polecenie, aby przeczytać w tym czasie wszystkie jej wiersze, które się ukazały w leżącym na stole "Wschodzącym Literacie". - Na początku nie miałam nic wspólnego z tym znakiem, ale teraz opis pasuje do mnie jak ulał.

Tego popołudnia O. była urocza i miła. Delikatne zmieszanie przytłumiło zwykłą gościnność i zmniejszyło gadatliwość O. Chwaliła się lirykami, ale z umiarem. W swojej twórczości rozpostarła ramy wiersza miłosnego na żywych i umarłych. Analizowała doświadczenia ze swoich związków albo na przykład bawiła się myślą, jak dobraną parę stanowiłaby z Walterem von der Vogelweide. Używała całej masy obrazów poetyckich związanych z pustymi naczyniami i różnymi cieczami. Przeczytała mi nawet swój ostatni poemat, mówiący o zespole napięcia przedmiesiączkowego. Świetnie się bawiłyśmy. W miłości szczególnie interesujący i piękny jest początek, i tak właśnie to wyglądało.

Zadzwoiłam i zapytałam, czy panna nie miałaby nic przeciwko temu, żebym osobiście zwróciła pożyczony onegdaj podręcznik gramatyki języka węgierskiego.

Zgodziła się: wezwała mnie do siebie w niedzielę po południu, na piątą. Od tamtej pory - już ponad godzinę spędzałyśmy czas na zajęciach fakultatywnych.

O. mizdrzyła się przede mną, przeciągając się po kociemu - ramiona naprężone, pierś do przodu, plecy proste, pupa wypięta - potem wspiąwszy się na palce, zamknęła okno wychodzące na wewnętrzne podwórze. Kiedy chodziła na bosaka, zawsze stawiała na czubkach palców, żeby jej ciało wyglądało na bardziej sprężyste i pociągające.

- Co za okropny hałas!

Na zewnątrz od dłuższego czasu wydierał się niezbyt kulturalny mężczyzna w średnim wieku.

- Sąsiad z parteru. Drze się na żonę, bo nie zrobiła mu kolacji.

- Z takimi lepiej nie żartować - powiedziałam.

- Racja - przytaknęła O.

- Ale skoro już pora kolacji, to ja pójdę...

- Dokąd się spieszysz, zostań jeszcze - powiedziała O. niesamowicie miękko i wabiąco, a moje oczy odruchowo zaczęły szukać wyjścia ewakuacyjnego. O. zmierzała w moją stronę, na jej twarzy gościło głębokie przekonanie, że budzi pożądanie i że nikt nie zdoła jej się oprzeć. Prężyła się, mocno się prężyła.

- Mam coś do załatwienia... - wydusiłam niepewnie.

- A co? - O. przebiła ostatni balonik, którego mogłam się uchwycić, by uciec przed całą tą sytuacją,

- A niech to, w końcu nie ma nic ważniejszego. - Zebrałam się, wstałam i podszedłszy do okna, zaciągnęłam zasłony.

Część szósta

- Pierdol się ze swoją krową z Rózsadombu - wyrwało się kucharzowi, ale dopiero jak Attyla zamknął za sobą drzwi. - Będzie mi wmawiał, że krowa tylko wtedy daje mleko, jak ktoś jej zmastruje bachora. Zawzięcie trzyma się tej swojej idei pazurami i nie da się w żaden sposób przekonać.

- Mimo że studiował.

- A bo to coś warte? Na uniwersytetach gromadzą się największe głąby na świecie. Na mnie to, że studiował, nie robi żadnego wrażenia. Ja przynajmniej widziałem krowę.

Ponieważ epitety, którymi obrzucił Attiego, znakomicie pasowały również do mnie, zaczęłam się denerwować, że zaraz zapyta, czy kiedykolwiek byłam już gdzieś poza Budapesztem. Szybko zmieniłam temat.

- Zlew się zatkał od fasolki.

- Bo ty też jesteś ciemna, jak bezksiężycowa noc.

Najpierw używasz młynka, i nie jesteś w stanie tego zapamiętać? Zaraz się okaże, że też masz wyższe wykształcenie.

Ale się zdenerwował. Nawet najmniejsze słowo w obronie inteligencji mogło tu tylko zaszkodzić, w milczeniu pochyliłam się więc nad głębokim talerzem, do którego przywarł makaron. Ciągle jeszcze nie byłam ekspertem, ale wiedziałam, że w takich wypadkach pomaga jedynie namoczenie. Kucharz miał rację: mentalnie byłam nieobecna, moje myśli ciągle gdzieś odlatywały - i nie powiedziałabym, że na wyżyny.

Szczególnie tego dnia. Przed południem poszłam do sklepu z artykułami elektrycznymi, żeby kupić sześćdziesięciowarową żarówkę do lampki do czytania. Ale moje myśli poszybowały w inną stronę, gdyż na wszystkich trzydziestu wystawionych telewizorach ujrzałam Samiego. Przerwałam szukanie żarówki, rozsiadłam się przed zestawem kina domowego i znów mogłam usłyszeć mojego przyjaciela z czasów dzieciństwa.

Reporterka o stanowczo brawurowym wyglądzie zrobiła zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i zapytała: - Macie wpływ na kształtowanie stylu swoich płyt?

- Absolutnie - powiedział Sami, który najwyraźniej wybrał imiź ładnego chłopca o anielskim głosie. Podeszłam blisko do potężnego ekranu, tak bardzo urzekła mnie świeżość młodego mężczyzny, jego kolorowy strój, energia. No i doczekaliśmy się - został gwiazdą!

Chciał, pracował na to, udało mu się. Przykład godny naśladowania. Historia jego

sukcesu tak mnie zafrapowała, że zapomniałam o żarówce. Ale jestem dumna, że potrafię się śmiać z własnego roztargnienia.

26.

Od dwóch godzin jadłyśmy suche ciasto i dyskutowałyśmy, aż zrobiły mi się rany na ustach. Przedtem O. pokazywała mi masę przedmiotów, które dla niej przedstawiały jakąś wartość, żeby lepiej poznała jej uczucia, myśli i ją samą.

- Ja muszę być ciągle zakochana. To moja metoda pracy - komentowała O. urocze suweniry, między innymi zdjęcie pewnego beztroskiego artysty: długie włosy, rozpięta koszula, ręce w kieszeniach, a w ustach papieros. - Wiem, że to nie był typowy sarniec, ale i tak śmiałam się, aż dostałam czkawki.

- Jak inaczej mogłabym pisać wiesz? Nie należę do żadnej mniejszości społecznej czy etnicznej, pod względem psychicznym też jestem zrównowazona. Moi rodzice to stosunkowo dobrze sytuowani ludzie, wspierają mnie moralnie i materialnie. Co innego miałoby mnie unieść na wyżyny i zrzucić w przepaść, jeśli nie miłość?

- Psychiczenie zrównowazona? Ja wcale nie chcę znać ludzi psychiczenie zrównowazonych. Boję się ich.

- No dobrze, żartowałam tylko - roześmiała się O. - Przesadziłam, bo jestem rakiem.

- Jasne - przytaknęłam, udając, że rozumiem. - Ale mam nadzieję, że o mnie nie napiszesz wiersza?

Byłam całkowicie pewna, że gdyby sytuacja przybrała tak osobliwy obrót, szczypałabym, kąsała, gryzła i kopała.

- Ty moja wiewióreczko. Jesteś taka słodka. - O. zachichotała i chciała mnie objąć, ale sprytnie się wywinęłam. Nic z tego.

- Porozmawiajmy o miłości! - krzyknęłam entuzjastycznie, tak bardzo ucieszyłam się z pomysłu, który nagle przyszedł mi do głowy. Co za nieoczekiwana zmiana!

- Świetny pomysł. To może... opowiedz mi o swoich dawnych ukochanych. Kto był wielką miłością twojego życia?

Przyznać się do Ani z Zielonego Wzgórza, żeby ratować skórę? Oczarował mnie jej niewinny urok i naiwność.

Jeśli chodzi o Pippi Langstrumpf, to najfajniejsza dziewczyna, jaką poznałam. Jednakże ta znajomość nie stawia mnie w zbyt korzystnym świetle. Jak dotąd największy pociąg odczuwałam wyłącznie do istot będących wytworem wyobraźni - takich, które na pewno nie mogłyby ożyć - bajkowych figur, postaci z powieści albo bohaterów filmów sprzed ponad trzydziestu lat. Odbywane na specjalizacji bajkopisarskiej ćwiczenia z improwizacji

rozwinęły we mnie talent do opowiadania. Mrs. Greens, prowadząca seminarium How To Tell Bedtime Stories, zwykła mawiać:”Poproś o jakiś punkt odniesienia, i dalej nikt cię już nie powstrzyma” (Ask for a point o/ reference, and /rom then on nobody will stop you).

- A którego z byłych masz na myśli? - odbiłam piłeczkę.

- Wybierz któregoś.

- W jaki sposób?

- Takiego, z którego powodu dużo wycierpiałś.

Punkt odniesienia już mamy, teraz przydałaby się historia. Biorąc pod uwagę punkt odniesienia, powinna to być niespełniona miłość. Upiłam łyk zimnej herbaty, żeby złagodzić ból poranionego przez suche herbatniki podniebienia, i zaczęłam:

- Cała historia rozegrała się w prowincji Skšne, pewnej wietrznej zimowej nocy. Wiesz, gdzie leży prowincja Skine?

- Na pewno gdzieś w Skandynawii.

- Zgadza się. Dokładniej w południowej części Szwecji. I właśnie tam, w pewnym małym miasteczku, spędzałam świąta Bożego Narodzenia; nigdy nie spędzam ich w krajach, w których panuje katolicyzm, jak mnie poznasz, zrozumiesz to. Akurat zmierzałam z biblioteki uniwersytetu ludowego do domu, w torbie miałam cudowne podróże Nilsa Holgersona, bo przyznam, że uważam je za dzieło wielce istotne i pouczające.

- Czytujesz bajki?

- Wyłącznie w ramach ćwiczeń językowych. Babka zapisała mnie na kurs szwedzkiego na uniwersytecie ludowym.

- Znasz szwedzki?

- Tego nie twierdę. A więc byłam już tylko kilka kilometrów od drewnianego domku, który służył mi za tymczasowe miejsce zamieszkania, kiedy złapała mnie śnieżycy. Od tamtego czasu serce szybciej mi bije, kiedy widzę zaśnieżoną szosę, po której powoli suną samochody z łańcuchami na kołach, bo wtedy właśnie spotkałam Annikę. Annika była feministką, studentką teologii. Spędzała ferie u rodziców...

- Od tamtego czasu, kiedy myślę o samochodach mknących między ciemnymi, zaśnieżonymi polami, po oblodzonych drogach, robi mi się ciepło koło serca; gdybym tak mogła się tam znaleźć! - Zakończyłam bajkę okrągłym zdaniem.

- Chciałaś się z nią ożenić?... - wpadła w zachwyt O., a w jej głosie dało się wyczuć szczere zdumienie. Mrs.

Greens byłaby ze mnie dumna. Zawsze powtarzała nam, że bajka na dobranoc jest gatunkiem wymagającym umiejętności improwizowania. Namawiała też do oddziaływania na

emocje słuchaczy w sposób, który w pierwszej chwili może wydać się odrażający. Naturalnie - twierdziła - możemy kierować się ogólnymi zasadami, dotyczącymi całej grupy odbiorców; jednak w optymalnym wypadku mamy przecież informacje na temat konkretnej jednostki i możemy je wykorzystać. Zastosowałam też metodę interakcji i jestem przekonana, że tą historią dostarczyłam mojej słuchaczce satysfakcji emocjonalnej, jakiej ode mnie oczekiwała.

Pamiętam, po egzaminie z Bedtime Stories - na którym trzeba było wymyślić bajkę skojarzoną z podanym hasłem - Mrs. Greens w tajemnicy wyznała, że poradziłam sobie świetnie, znacznie lepiej niż inni, i że moja zapierająca dech opowieść na temat włosa w kolorze rudoblond zasługuje na najwyższą pochwałę. Następnie zaś powiedziała: "Jeme" - nie mogłam jej oduczyć angielskiej wymowy - "oczekujemy, że to ty napiszesz Harryego Pottera dwudziestego pierwszego wieku".

Harry Potter! Gdzie tam! Moim powołaniem nie jest pisanie bestsellerów. Pomijając fakt, że aktualnie nie mogę stworzyć absolutnie żadnego dzieła, potrafię jedynie fantazjować, zastanawiać się... Puszczając wodze wyobraźni, na wszelki wypadek oświadczam, że gdyby spod mojego pióra wyszło jakieś dzieło, które przyciągnęłoby prawdziwą rzeszę czytelników, a ludzie zabijaliby się, żeby móc je kupić, byłabym głęboko zawstydzona. Wszystko wzięłoby w łeb, gdyby okazało się; że tak wielu potrafi utożsamiać się z bajkopisarką o tak niezwykłym umyśle, za jaką się uważam.

Wracając od O.: rozmyślałam nad tym, co mi ostatnio opowiedziała. Zeszłej zimy pocałowała w usta Świętego Mikołaja krążącego po ulicy Andrassy, Ponieważ - cytuję - "miał oszałamiająco niebieskie oczy oraz swawolne spojrzenie" i rozdawał galaretki w czekoladzie. Mnie która o tych sprawach chętniej mówi, rozmyśla i czyta, niż bierze w nich udział - taka przekraczająca tabu, nieokiełznana seksualność wydawała się przerażająca. Babka na pewno zaprotestowałaby, słysząc, że znajduję między nami jakieś podobieństwa, ale ja sędzę, że w tym akurat bardzo ją przypominam. Roześmiałam się głośno, gdyż właśnie mijałam budynek konserwatorium i przypomniała mi się przygoda babki z Franciszkiem Lisztem.

- Całe nieporozumienie wzięło się stąd, że babka była trochę podobna do Loli Montez, z którą znany jeszcze wówczas głównie jako pianistawirtuoz, Liszt miał krótki, acz burzliwy romans. Zdaniem babki między nią samą a ową flądram, nazywaną się Lola Montez, nie było żadnego podobieństwa. W każdym razie to babkę Franciszek podrzucił i usadził na fortepianie - chcąc rozpocząć w ten sposób stosunek - w salonie szwajcarskiego pensjonatu, a nie wspomnianą awanturę.

Całej tej historii babka nadała mocno eufemistyczny tytuł roboczy "Niemoralna propozycja", choć w sumie nie padło ani jedno słowo, jedynie - rzucone dla pikanterii - ciche

babci "mon Dieu" (nie mam informacji na temat objawów cielesnych). Babka bynajmniej nie chciała w ten sposób prosić o pomoc, bowiem w następnej chwili uderzyła wielbiącego muzykę cygańską kompozytora w sam żołądek, aż Liszt jęknął. Siła fizyczna wampirów jest niesamowita.

- Potrzebuję na jedzenie. - Mój szybki marsz wstrzymało brudne, zebrzące dziecko, które niemal rozdeptałam, tak się zamyśliłam.

- Mocny argument, ale ja mimo wszystko nie uważam za słuszne dawanie mniejszych sum pojedynczym osobom. Babka przeleje pieniądze na konto Czerwonego Krzyża, i z tego coś dostaniesz. Jak myślisz, za co gotują darmową zupę w Wigilię?

Moja przemyślana polityka społeczna sprawiła, że dzieciak zaniemówił. Nie zaczepiał mnie już, z szacunkiem zrobił mi przejście, gdy skręcałam w wąską boczną uliczkę. Tak jak wcześniej babka skojarzyła mi się z Franciszkiem Lisztem, tak teraz od Liszta moje myśli podążyły ku babce.

Wydaje mi się, że babka - skoro już o niej mowa była święcie przekonana, że nie zauważę, że nasłała na mnie swojego wielkiego przyjaciela, Czerwonookiego Dzieciojada. Choć ze względu na swój wiek od dawna już nie zaliczam się do jego klienteli, Dzieciojad zawsze był wrednym oportunistą; tego zadania, które poruczyła mu babka, z pewnością nie podjął się wyłącznie po przyjaźni.

Właściwie nie rozumiem: minęło dwadzieścia lat od czasów, kiedy babka, nie mogąc sobie ze mną poradzić, gwizdała, i natychmiast pojawiał się Dzieciojad, jakby miał wobec babki jakieś dożgonne zobowiązania. A może to tylko jakaś mania, która mnie prześladowuje? Nie, dzisiaj też mnie śledził, jak co dzień. Jego czerwone - jak wynika z imienia - oczy świeciły w ciemności.

Na ogół przyłączał się do mnie, kiedy wracałam z pracy, szedł trochę z tyłu, przemykając od bramy do bramy.

Odprowadzał mnie korytarzem aż do drzwi wejściowych i tam, przestępując z nogi na nogę, czekał, czy przypadkiem nie będę jeszcze gdzieś wychodzić. Czasami bezczelnie pakował się do szafy wnękowej albo łazienki - gdzie od dwóch tygodni nie wymieniłam przepalonej żarówki - i tam siedział w ukryciu aż do pierwszych promieni wschodzącego słońca.

Para świecących w ciemności czerwonych oczu, podsłuchujący nietoperz na parapecie, szczur obgryzający mi palce u nóg, wilk ocierający się o mnie swoim szorstkim futrem na wymarłej ulicy - jakkolwiek są to tanie sztuczki, we mnie wywoływały niepokój. Z kolei pewnej nocy obudziły mnie żalose jęki: przeraziłam się, ale na szczęście okazało się,

że to tylko żeńska część mieszkającej w sąsiedztwie pary zbliża się do szczytu. Mieszkania powstały tu w wyniku podziału jednego większego, ściana miała nie więcej niż dziesięć centymetrów.

Tak więc Czerwonooki Dzieciojad wytrwale dreptał za mną w odległości pięciu, dziesięciu metrów. Nawet jeśli nie mam nic do ukrycia, potrzebuję trochę prywatności.

Albo niech przynajmniej spojrzy mi w oczy i porozmawia ze mną. Drgnęłam nagle i obróciłam się o sto osiemdziesiąt stopni, gdyż razem z nadprzyrodzonymi zdolnościami przysłała mi też odwaga. Dzieciojad ukrył się w jakimś ciemnym zakamarku, widziałam tylko jego oczy.

- Ej! - krzyknęłam na wymarłej ulicy. - Ja się ciebie nie boję, bo ty zjadasz tylko dzieci, a ja jestem już dorosła. - I dałam drapaka, niczym lapoński renifer, żeby mnie nie dogonił. Tak właśnie wyobrażałam sobie moment, w którym dopadnie mnie infantyizm.

28.

Moim ukrytym zamiarem było sprytnie zaaranżowane przypadkowe spotkanie z Samim, moim drogim przyjacielem, który kiedy ostatnio widziałam go na żywo, świecił białym ciałem, trzymając w ręku bladoróżową koszulę.

Teraz opierał się łokciami o kontuar i zamawiał u barmana "gwizdzącą" palinkę. Przyglądałam się temu z daleka, ponieważ w miejscu, gdzie ostatnio grał zespół Samiego, ceny były takie, że na próżno przeszukałam jedna po drugiej brzęczące od drobniaków kieszenie cienkiego płaszcza babki; nie mogłam bowiem pozwolić sobie na rozrzutność. Sami zauważył mnie natychmiast. Zrobiliśmy trzy czy cztery rundy: "Jak się masz? Co u ciebie?"

Dobrze. A u ciebie?", potem odpoczęliśmy.

- Słyszę, że ostatnio jesteś królem życia. - Tym zdaniem wyprowadziłam nas z diabelskiego kręgu.

- To prawda. Kręci się. A ty co porabiasz?

- Zmywam.

- Ho, ho. To po to się, kurwa mać, uczyłaś? Przynajmniej lubisz to, co robisz?.

- Pewnie, to jest spełnienie moich marzeń.

- Nie jesteś typem karierowiczki.

- Wiesz, jak to jest. Jak człowiek stacza się coraz niżej, to jest coraz gorzej...

Sami słuchał z zainteresowaniem. Nagle dostrzegłam O. W powieści nawet dziesięciomilionowe miasto nie stanowiłoby przeszkody, żeby bohaterowie deptali sobie po piętach, ale w tym wypadku to ja zaprosiłam tutaj O.

- Chodź, chodź. - Pomachałam do niej. - Tu jestem.

Po wzajemnym powitaniu przedstawiłam O. sympatycznego młodzieńca: - Poznaj mojego przyjaciela z dzieciństwa. Dwadzieścia cztery lata, popularny, dusza destrukcyjna, w granicach rentowności. Wielka gwiazda.

Prawda?

- Tak, jestem wielką gwiazdą.

- O. jest poetką. Wielokrotnie publikowała we „Wschodzącym Literacie”.

- Poważnie? - Sami okazał należyty podziw. - To jest coś.

- Cześć, jestem O.ka - powiedziała O., bo już trochę wypła.

- Cześć, J.S. - powiedział Sami, bo też nie był już trzeźwy.

- Ojej - zaczęła O. od razu, wykorzystując moją nieuwagę - jesteś podobny do mojej dawnej miłości, i to niesamowicie. - Słowa te skierowane były do Samiego, a ja, z obawy, że znowu skończy się na nostalgicznym wspomnianiu niezapomnianego pieprzenia, wysłałam O. po szklankę soku wiśniowego. Dopiero co przyszła.

- Więc jesteś z kobietą. To mnie tylko jeszcze bardziej zawstydzę - odezwał się Sami całkiem innym głosem.

- Daj spokój.

- W dodatku ja jestem ładniejszy.

To akurat była prawda! Sami należał do zwycięskiej rasy germańskiej, natomiast O. w liceum dwa razy wygrała konkurs na sobowtóra Margit Kafłki.

- Nigdy nie zadzwoniłaś.

- Przykro mi.

Sami już chciał coś odpowiedzieć, jednak zamilkł, gdyż O. nad podziw szybko wróciła. Postawiła przede mną mój sok wiśniowy i czekała na pochwały. Ponieważ jej oczekujące spojrzenie nie skłoniło mnie do żadnych wyrazów uznania, zwróciła się do Samiego.

- Jesteś przyjacielem Jerne jeszcze z dzieciństwa, tak?

Jaka wtedy była? Ładna?

- Wcale. Już wtedy wyglądała jak jakaś matkobójczyni. Za to ja byłem ładnym dzieckiem. Panie nauczycielki uwielbiały mnie. Byłem małym blondynkiem i chowałem im się pod spódnicę. Były zachwycone.

- Wierzę - powiedziała O., śmiejąc się z zachwytem.

- Później, jeszcze w niższych klasach - kontynuował Sami, nabrawszy odwagi - zabierałem dziewczyny w krzaki.

- Co z nimi robiłeś?
- Co tam się nie wyprawiało! Wszystko.
- To niemożliwe. Ile miałeś lat?
- Siedem, osiem. Nie pamiętam dokładnie. Ale już wtedy wszystko wiedziałem.
- Ale przecież dziewczynki - zaprotestowała O. te dziewczynki były jeszcze niedojrzałe.

Nie czekałam na argumenty Samiego, przeprosiłam i zostawiłam ich samych. Wyszłam przed kawiarnię czy też pub i odetchnęłam świeżym powietrzem. Ludzki instynkt rozmnażania jest porażający, jednak dla mnie nieosiągalny, gdyż zmusza do tłoczenia się w ciasnych, zadymionych, hałaśliwych miejscach, w celu znalezienia partnera. O matko, co za kosmiczna gadka, co to się ze mnie wylewa!

Zbliżał się koniec maja, wczoraj pocztą przyszedł bilet na samolot do Tallina. Gdybym miała pewność, że nie istnieje życie po śmierci, łatwo byłoby mi podjąć decyzję. Wydedukowałam już, po co wynaleziono Niebo, więc w zasadzie mogłabym być przekonana, że go nie ma.

Jednakże mimo wszystko istnienie wampirów - a więc i moje - brzydko paskudzi piękną teorię na temat pierwotności rzeczywistości materialnej. Nie miałam odwagi dalej nad tym rozmyślać, żeby znowu nie wyskoczyć z jakimś filozoficznym banałem. Często sama siebie niemile zaskakiwałam tym, że mój umysł wciąż jeszcze biega w kółko, jak po sali gimnastycznej.

Kiedy wróciłam, tych dwoje pograżonych było w pozbawionym jakiegokolwiek sensu flircie.

- Już tyle razy chciałam być lesbijką...
- Ja też... - Sami uśmiechnął się tajemniczo i oblizał dolną wargę.
- Wiesz, kobiety są piękniejsze, miłsze, a mężczyźni tyle razy mnie już zranili...
- Mnie wiele razy zraniły kobiety, a jednak chciałbym być lesbijką - przekomarzał się

Samimi.

- Ciekawa zbieżność - stwierdziłam, żeby zwrócić ich uwagę na swoją obecność. O. zerwała się, przeprosiła i przepychając się, ruszyła w stronę toalety.

Samimi dopił to, co zostało mu w kieliszku, położył mi rękę na ramieniu i ponownie rozpoczął pogodną konwersację.

- To co słyhać, Jeri?

- Rozmyślałam. Wiem już, że istnieją żywe trupy, które są wśród nas nawet po śmierci, ale co dzieje się z nimi potem, kiedy już opuszczają ziemski padół? Czy człowiek może mieć

nadzieję na osiągnięcie nirwany? Co o tym sądzisz? - powiedziałam, ale tak tylko, bredząc bez sensu, wiedziałam bowiem dobrze, że Sami nawet zamiast religii nie wybrałyby przedmiotu o nazwie "praktyczny światopogląd dla ateistów".

- Nie teraz, dobrze? Słuchaj, Jerne, muszę się czegoś szybko dowiedzieć. Chciałbym zapytać o charakter twojego związku z tą dziewczyną.

- A konkretnie? Nie obiecuję, że odpowiem.

- Czy zdenerwowałoby cię, gdybym jeśli nadarzy się okazja, przeleciał to urocze stworzenie?

- Nie martw się, Sami, to w żaden sposób nie wpłynie na naszą dozoną przyjaźń.

- Ty nigdy nie byłaś zazdrosna. - Sami poklepał mnie po ramieniu. - Uwielbiam cię. To idę, poproszę, żeby dała mi swój numer.

- Nie. Jeszcze nie nadszedł czas. Jak nadejdzie, zawiadomię cię w pierwszej kolejności.

- Jak uważasz - powiedział Sami i natychmiast się oddalił. Tego wieczora już go nie zobaczyłyśmy, chociaż o. bardzo o niego wypytywała. Sic transit gloria mundi.

Sami już nie ze mną chciał się pieprzyć. Tak czy inaczej pomysł się nadaje: jest w nim symetria, a ja mam bzika na punkcie każdej symetrycznej formy. Co się zaś tyczy Samiego i O., szanuję ich, ponieważ są ładni i utalentowani.

Rano podali w radio, że monachijska policja zatrzymała kobietę, która biegła po ulicy, krzycząc: "Jestem wampirem i wszystkich was pokąsam". Z niepokojem podążyłam do pobliskiej kafejki internetowej, ponieważ babka od kilku tygodni nie dawała znaku życia. Ulżyło mi więc, kiedy tego dnia przyszła od niej dość brutalna wiadomość, zaczynająca się słowami: "Jak to co masz robić, ty żałosna kreaturo?!". Wyglądało na to, że nasze stosunki zaostrzają się.

W tym roku nie pojechałyśmy razem na Syberię. Pozbawiło nas to nie tylko prawdziwego odpoczynku i możliwości wzmocnienia się krwią reniferów, ale i takich programów integrujących, jak dwa lata temu, kiedy to zmusiłyśmy do ucieczki dążącą do przejęcia władzy nad światem mafię zachodniopółnocnozachodnią. Nie muszę chyba mówić, że umysł tryumfował tam nad nagą siłą fizyczną.

To są już tylko wyblakłe wspomnienia, które pomagają mi w duchowym pogłębianiu (spiritual deepening), czułam jednak, że w mojej obecnej sytuacji jakiegokolwiek życie duchowe - nawet najmniejsze skrupuły - może mieć bardzo negatywny wpływ. Dlatego też zaczęłam się spokojnie szykować do uczciwego zakończenia sprawy.

Część siódma

30.

O. przedstawiała mi skomplikowaną historię swoich dwóch przyjaciół, którzy w sobotę wieczorem wyruszyli, żeby zorganizować kosztowną kolację, bo babka jednego z nich zapragnęła takiego właśnie jedzenia. Opowieść ta raczej mnie męczyła, niż bawiła; mogłabym ją porównać do bajki o tonącej kurce i szukającym dla niej pomocy, biegającym w tę i z powrotem zajączku. A ja dla podtrzymania rozmowy wtrącałam: - Ale przecież to jest temat na opowiadanie.

- Zgadza się. Tylko że nie dla mnie. To nadawałoby się dla jakiegoś małego realisty. Na dodatek nie występują tu kobiety.

- To sprzedaj go. Albo wyślij do Attyli Hazaiego. On zawsze cieszy się z dobrych pomysłów.

- Nie, raczej dam komuś w prezencie. Mój przyjacielpisarz za kilka tygodni ma urodziny, odłożyłam mu już jeden temat. Zapiszę oba na jakiejś ładnej kartce. Na pewno się ucieszy.

- Uroczy pomysł.

- Nie bądź taka drętwa! Zobacz, świeci na nas słońce!

- Na każdego świeci słońce. Nawet na stonkę ziemniaczaną.

- To dokąd marny pójść, żebyś się dobrze poczuła?

- Donikąd.

- Dobrze więc, zostań, nie zobaczysz nigdy / Jak piękny jesienny poranek / Nie dowiesz się, jak cichy jego czar /

Gdy tak zachwyca, oplata, olśniewa - recytowała O. i rytualnie tańczyła wokół mnie. Jeśli chodzi o deklamację, moja cierpliwość była już na wyczerpaniu, a nade wszystko denerwował mnie ten w kółko wspomniany jesienny poranek.

- Jesteś wykończona nerwowo? - zapytała w końcu O. - Co się dzieje, powiedz!

Jestem wrażliwa, w związkach zawsze wykazywałam się delikatnością i w ogóle, ale ta panna od tygodnia była moja, i zaczynało mnie to już nudzić.

- Coś ostatnio przytyłaś - powiedziałam O., jak najbardziej twierdząco, żeby ją ostatecznie do siebie zniechęcić.

Śniło mi się, że w kłótni rozmawiałymy ze sobą heksametrem, i byłam dumna, że

przynajmniej we śnie udało mi się osiągnąć aż tyle, gdyż normalnie nie byłam w stanie nawet czytać czegoś takiego. Streszczając pokrótce, o co nam poszło w tym śnie, opisałam nasz związek w bajce o lekkim zabarwieniu erotycznym, ale mojej pani bynajmniej nie chodziło o publiczne pranie brudów, tylko o to, że interpretacja jest "zła", że ja źle napisałam. Dokładnie tak, użyła najbardziej pospolitego z epitetów. Nie znalazłam zbyt wielu kontrargumentów, i dlatego byłam w stanie przemówić jedynie we wspomnianej już, dość regularnej formie - szok, spowodowany negatywną krytyką bliskiej mi osoby, oddziałał na mój ośrodek mowy. Podniesionymi głosami mieszałyśmy z błotem - nie siebie! - ona moje dzieło, ja jej małoduszne myśli.

Ale na jawie nie życzyłam sobie żadnej heksametrowej hysterii. Postanowiłam, że wstawię ją bez słowa, po męsku, obojętnie. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że to wtedy na mojej twarzy pojawił się ów grymas okrucieństwa, który niedawno odkryłam w okolicy ust. To mógł być ten moment. Nie mówię tego, żeby się bronić, ale ja też muszę się trzymać zasad międzynarodowej konwencji, zgodnie z którymi wampir ma być bezwzględny, niemoralny, konserwatywny, elitarny, arogancki i agresywny. o. - tę rzeczywistość - porzuciłam, kiedy weszła do cukierni po lody."Dla mnie migdałowe i czekoladowe z bitą śmietaną", powiedziałam obłudnie, po czym, kiedy zobaczyłam, że jej zmysły wstały całkowicie opanowane przez cukierniane bodźce, odeszłam, robiąc co najmniej półmetrowe kroki.

Stamtąd skierowałam się do antykwariatu, gdzie przy półce z pierwszymi wydaniem prozy okresu międzywojennego zaczęłam płakać, roniąc potężne łzy na bardzo elegancką, płócienną oprawę, zrobioną na podstawie pomysłu braci Korvin. Ależ ja nienawidzę tego robić. W dodatku od słonej wody - lub płynących smarków - piekła mnie skóra. Wybrałam kilka książek, które spodobały mi się, zapłaciłam z funduszy na kulturę, choć babka wyraźnie zaznaczyła, że w rachubę wchodzi wyłącznie piarze żyjący albo ci, którzy w ciągu ostatnich dwudziestu lat zginęli w wypadkach samochodowych, umarli na raka, AIDS lub marskość wątroby. Z półki w dziale filologii klasycznej zdjęłam antologię antycznych wierszy miłosnych, żeby wysłać O. jako prezent pożegnalny - to ładny gest, prawda? Przy kasie wyjęłam jeszcze jeden banknot o większym nominale.

- Rozmieni mi pani? Potrzebuję na telefon.

Siedząca w kasie kobieta nie była zbyt zadowolona i z ociąganiem położyła przede mną drobne. Kilka przecznic od sklepu znalazłam budkę telefoniczną. Samiego nie zastałam w domu, ale na automatyczną sekretarkę nagrałam mu następującą wiadomość:

- Cześć Sami. Mówi jerne VoltaAmpere, Uprzejmie polecam twojej uwadze

wschodzącą poetkę, jeśli to dalej aktualne. Pięknej wiosny, wszystkiego najlepszego - po czym podyktowałam numer telefonu O., jej adres, a także mocne i słabe strony. Po telefonie wysłałam O. perełki liryki miłosnej; nikt nie może mi zarzucić, że nie potraktowałam się jej po ludzku.

31.

- Co za zakłamaný świat - powiedział kucharz, po czym założył swoją sportową bluzę i sięgnął po menażkę wypchaną resztkami, które zanosił do domu. To zdanie można było uznać za konkluzję naszej półgodzinnej rozmowy dotyczącej tego, że kelner, wykorzystując swoją sytuację, zawsze wybiera z resztek najsmaczniejsze kąski, a kiedy ktoś zapyta, gdzie są smażone woleju karczochy, udaje, że nic nie wie.

- Dobranoc - powiedziałam. Po wyjściu kucharza pojawił się Atti, wymachując naczyniami po maśle kokosowym.

- Najwyżej sześć. Umyj je od razu, bardzo cię proszę.

- Chciałam iść do domu. Już po wpół do dziewiątej.

- Wieczorem z radością, rano paznokciami. - Tym i podobnymi dewizami starał się na mnie wpłynąć, ale i tak rzuciłam gąbką do zmywania.

- Ja już skończyłam. - Od trzech dni czekałam na pretekst, żeby odejść, ale zbyt dobrze mnie traktowali. Teraz wreszcie rozbłysła nadzieja, że będę się mogła za coś obrazić.

- Spokojnie, spokojnie. - Atti natychmiast odstawił naczynia.

- Rezygnuję.

- Zastanów się. Przemawia przez ciebie złość.

- Moja decyzja jest nieodwołalna. Zmywających nie obowiązuje chyba okres wypowiedzenia?

- Omówmy to na spokojnie w moim biurze - powiedział Atti, a z uwagi na zaistniałą sytuację kryzysową z jego porów emanowała podwójna dawka peace&love.

Biuro - w którym nigdy wcześniej nie byłam - przypominało małą współczesną galerię, ponieważ zaprzyjaźnieni z Attim artyści - z którymi połączyło go roślinożerstwo - namiętnie obdarowywali go swymi dziełami.

- Proszę cię, opowiedz, co jest przedmiotem konfliktu. Rozumiesz, co mówię?

- Rozumiem.

- Krótko: o co chodzi?

- O nic. Nie chcę już tutaj pracować.

- Więc nie lubisz naszego małego zespołu? Czyż nie było dobrze razem pracować? Mnóstwo wspaniałych, kreatywnych ludzi! I jak skutecznie zmywałaś! Byliśmy z ciebie

naprawdę zadowoleni.

- Chciałabym już wyjść.

- W porządku. Nie będę cię siłą zatrzymywał. Ale ostrzegam, że będę zmuszony zawiadomić twoją opiekunkę,

- Ale to jest połączenie międzynarodowe.

- Owszem, ale to będzie rozmowa na koszt odbiorcy. - Atti już szukał w notesie numeru telefonu.

- Powiedz jej też, że będę pisać bajki.

- No, no, nie odgrażaj się - powiedział Atti, ze zmęczonym uśmiechem, błakającym się w kątku ust.

Wiedziałam: on też nie jest szczęśliwy, i dlatego nie gniewałam się na niego. Jego wiara w lepsze jutro to tylko maska, zasługa narkotykowych bosów i dilerów. Drażniły mnie czasem jego przypadkowe dobre zamiary, ale nie osądzam go, też jest cierpiącą istotą, cieszymy się, jak długo żyje. Kopniakiem zamknęłam drzwi i powoli, ostrożnie stanęłam za plecami Attiego, podczas gdy on z pochyloną głową wytrwale szukał w notesie telefonu do babki. Zachrypniętym, o pół tonu niższym od normalnego wampirzym głosem - do dziś nie wiem, jak udało mi się go z siebie wydobyć - wyprodukowałam następujące zdanie:

- Jak mogłabym cię tu zostawić?

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, ale nie bronił się.

32.

Wszystko trwało ponad godzinę, ale warto było.

Zmęczona, lecz dumna, szłam przejściem podziemnym wzdłuż szpaleru żebraków - być może ostatni raz w życiu. Mogłabym uczynić ten dzień pamiętnym, gdybym tym razem wyjątkowo coś im dała, przyszło mi do głowy.

Oscar Wilde dałby im jałmużnę, szczególnie gdyby go zaczepili. H.Ch. Andersen bez prośzenia szastałby drobnymi. Jeśli zaś chodzi olewisa Carrolla, sięgnąłby do kieszeni wyłącznie dla żebraków mających mniej niż dziesięć lat; niewykluczone, że umówiłby się z nimi, że chętnie porobi im zdjęcia, jeśli bez rodziców odwiedzą go w jego mieszkaniu.

Ale ja dziś też nic im nie dam, na próżno miałam przed oczami czyny moich idoli. Dzisiaj też jestem zła i bez serca, nie mówiąc o tym, że dopiero za sto lat zyskam dostęp do swojego majątku, jeśli przyjmę narzuconą mi przez babkę rolę. Za sto lat będę rozdawać euro mieszkańcom przejścia podziemnego - o ile jeszcze tu będą - jednak w tej chwili nawet to nie było pewne, gdyż właśnie miałam zamiar zrobić coś niezgodnego z wolą mojej babki, matki, siostry, opiekunki. Powiedziałam sobie: "Cicho, moje serce!" (nie bij tak mocno).

Artyści - do których sama siebie zaliczałam, mimo iż od pół roku nie przelałam na papier ani jednej głupiej bajki o zwierzętach - muszą się czasem buntować, to jest coś, co nadaje smak ich życiu.

W klatce schodowej wyciągnęłam ze skrzynki odesłany z poprzedniego adresu list. "To jakiś żart", zamruczałam półgłosem, widząc znaczek z napisem POLSKA. Wchodząc po schodach, rozerwałam kopertę i zaczęłam czytać: napisał do mnie Edward Leszczycki, który ani przez chwilę nie był mniejszym idiotą niż ja.

Moja Droga, Pamiętam... Siedzieliśmy na wykładzie ze światowej literatury dziecięcej. Wykładowca mówił językiem, do którego zapisania nie potrzeba liter ze znakami diakrytycznymi, ograniczona jest też liczba występujących po sobie samogłosek. Mimo to nasze kartki pokryte były kropeczkami i przecinkami, na mojej występowały obficie też samogłoski. Każde z nas pisało własną bajkę, uśmiechnęliśmy się do siebie...

A potem... Tych kilka miesięcy... Powinniśmy byli spotkać się gdzie indziej, kiedy indziej, w innych wcieleniach, zresztą sama wiesz. Żebyś uwierzyła, że dużo o Tobie myślę, i być może wybaczyła mi moje długie milczenie, przyjadę tam, gdzie mieszkasz. Chciałbym zobaczyć Budapeszt, dla niego samego, ale z Tobą...

Przyjeżdżam za dwa tygodnie, 7 czerwca, pociągiem z Krakowa. Wyjdiesz po mnie na dworzec?

Twój na zawsze...

Edward

„A niech cię. Nie masz w sobie ani krzty dramatycznego wyczucia, pisząc akurat wtedy, kiedy ja za dwa dni wyruszam w podróż dookoła świata. A przede wszystkim: z wujkiem Oskarem! I na dodatek: znowu kłamiesz!”, sapałam, ale tylko do siebie. Potem przyszło mi jeszcze na myśl, że tymi wielokropkami i pisanymi wielką literą zaimkami wpędzi mnie do grobu. Nie potrafi się od tego odzwyczaić, nie jest w stanie zrezygnować ze swojego naiwnego romantyzmu.

A niech to, Edward Leszczycki, s, z, c, z, y! Jednakże już dawno nie miało to żadnego znaczenia. Dotarłam do drzwi, spod progu ciekła krew. W środku stały czerwone kałuże. Co za idiotyczny dzień, miałam już tylko ochotę położyć się spać. Ostrożnie ominęłam krwawe przeszkody i rzuciwszy się na materac, zasnęłam.

33.

Niech się leje krew! Niech sięga nam po kolana! Zdarzało mi się już wygłaszać podobne życzenia, kiedy zbierały się nade mną burzowe chmury, ale teraz, kiedy faktycznie do tego doszło, uznałam to za przesadę. Nadto na kartce przyklepionej magnesem do drzwi

lodówki ktoś groził mi śmiercią. Taką ilość listów w dobie telefonu oraz internetu uznałam za zbyt dramatyczną.

Jerne VoltaAmpere!

Straciłam już cierpliwość, ty wyrodny bachorze, nawet jeśli w naszych żyłach płynie ta sama krew. Zdechniesz tam, gdzie znajdę cię 6 czerwca, o szóstej wieczorem.

Całuję, Babunia ES.: spokojnie, to tylko świńska krew.

Ciekawe, co powie właścicielka mieszkania, kiedy zobaczy, że biała fuga w przedpokoju nasiąkała krwistoczerwoną cieczą, co zdecydowanie wpłynęło na jej kolor? Kiedy babka znajduje czas na urządzenie takiego efekciarskiego performance? Takie pytania zaprzętały mnie w trakcie szorowania terakoty. Muszę to jakoś tak zorganizować, żeby nikt nie zobaczył mieszkania, dopóki nie wyjadę do Tallina, gdzie z pewnością niepodobna trafić na mój ślad.

Co się tyczy babki: dziesięć litrów świńskiej krwi, list napisany krwią, i jedyny wniosek, jaki mi się nasuwa, to ten, że firmy kurierskie nie mają teraz żadnych skrupułów, jeśli klient dobrze płaci.

Następnie zadałam sobie kolejne dwa pytania: na ile sprawia mi radość mój ponury nastrój i chory umysł, nawet jeśli mam podejrzenia, że jest to oznaką geniuszu?

Czyli: na ile wprawiają mnie w zachwyt ziemskie cierpienia, skoro podejrzewam, że po śmierci mnie i moją działalność otaczać będzie niezwykle podziw? Moja odpowiedź w obu wypadkach brzmi: wcale. Cóż, w takim razie po co więc się wysilać? Polizałam zaschniętą świńską krew, ale nie smakowała mi, nie dawały mi też spokoju wątpliwości, czy za sformułowanym przed chwilą odważnym stwierdzeniem nie kryje się przypadkiem coś w rodzaju maksymy *carpe diem*. Nie chciałabym mieć racji, ale czy aby nie czai się we mnie pragnienie radości życia, a ponieważ napotykam duchowe przeszkody w osiągnięciu jej, ślepo zmierzam ku śmierci?

Ogarnęłam przedpokój dumnym spojrzeniem, po czym wylałam brudną wodę do muszli.

34.

Gdybym kiedyś otwierała salon masażu *sadomaso* co jest dość mało prawdopodobne - umeblowałabym go samymi sprzętami biurowymi: ciemny fornir, biurko z płyty wiórowej, krzesło obrotowe ze sztucznej skóry, na kółkach. Znalazłabym kilku urzędników, którzy przyuczuli się do zawodu jeszcze za socjalizmu - choć naturalnie młodszy też są zdolni i pracowici - i z nimi rozpocząłabym całe przedsięwzięcie.

Vengerki zyskały sławę pod koniec dziewiętnastego wieku, chętnie brano je do

sultańskiego haremu albo eleganckich burdeli wschodnioeuropejskich. Dlaczegoż więc urzędniczki awansowane na damy do towarzystwa nie miałyby odnieść podobnego sukcesu? W dzisiejszym globalizującym się świecie specyfika narodowa cieszy się szczególnym uznaniem. Niemiec albo Fin, któremu węgierska referentka do spraw podatkowych objęła plecy skórzanym pejczem, nigdy już nie zapragnie nikogo innego.

Nowe pokolenie vengerek dla Europy Zachodniej! To jest oryginalna propozycja, więc nawet francuscy chłopcy nie powinni strajkować.

Chciałam zostawić po sobie porządek, chciałam załagodzić incydent, z powodu którego ścigał mnie urząd skarbowy. Chodziło o to, że nikczemnie czerpałam zyski z dwóch źródeł: zmywania i bycia odbiorcą kultury. Tylko dlatego w jednym z ostatnich moich dni udałam się do urzędu skarbowego. Ten dzień mógłby być orgiastyczną przyjemnością, gdybym tylko miała szczególne upodobanie do upokarzającego tonu i pogardy. A ponieważ tak nie było, dopracowywałam mój pomysł z vengerkami. Szkoda, że urzędniczka od razu zareagowała tak wrogo: przedstawiłabym teraz babce mój pomysł na złoty interes, ona dysponuje potrzebnym kapitałem i doświadczeniem w biznesie. Zapisałam wszystko na kartce, żeby babka znalazła mój projekt, kiedy po śmierci będzie mi przeszukiwać kieszenie.

- Nie można - odpowiadała na każde moje pytanie kobieta o delikatnym makijażu, i już mi się to znudziło. Pomyślałam, że lepiej będzie pójść do domu i spisać testament.

Swego czasu śmierć dosięgła mnie bardzo niespodziewanie, choć w rezultacie i tak trafiłam do poprzednich warunków. Teraz chciałam, żeby wszystko było na tip-

- top, jak najlepiej. Umyłam się, przygotowałam odświętne ubranie, przemyślałam testament i list pożegnalny.

Wyjęłam kartkę A4, napełnione pióro i patrzyłam na białą powierzchnię. Ale zanim zaczęłam, poczułam, że c. Je zamieszanie jest zupełnie niepotrzebne. Po pierwsze, takie maniackalne czynności przywodzą na myśl chrześcijański kult śmierci, po drugie, nie miałam zielonego pojęcia, komu mogłabym zapisać ozdobne wydanie opowiadań Oscara Wilde'a. Zrzuciłam buty i w ubraniu wyciągnęłam się na materacu, który pozostał jako wyposażenie mieszkania. Po południu do torby podróżnej wepchnęłam kilka przedmiotów, do których byłam przywiązana, i na następny dzień zostało mi już tylko oddanie kluczy właścicielce.

Jednakże rano przyszedł mi do głowy jeszcze jeden pomysł. Wykonałam dwa telefony. Zadzwoiłam do znanego węgierskiego wydawnictwa i zapytałam, gdzie i kiedy na tegorocznym tygodniu książki będzie podpisywał Antaľ Szerb. Wytłumaczono mi grzecznie, że Antaľ Szerb żył w latach 1901-1943, czyli jego ciała od kilkudziesięciu lat nie ma już z nami, natomiast jego duszę od przyszłego tygodnia będę mogła zakupić w każdej dobrej

księgarni. A więc w tym roku też nie. Była to jedyna rzecz, która mogłaby mnie tu zatrzymać.

Oprócz tego wykręciłam numer Samiego i odczekałam chyba z dziesięć dzwonek. W końcu w słuchawce usłyszałam zniecierpliwiony głos O.

- Halo, halo, kto mówi?

Rzuciłam słuchawkę. Wszystkie kobiety to kurwy, z wyjątkiem mojej matki i babki. Dla scharakteryzowania moich krewnych to delikatne określenie jest niestety niewystarczające. Dopiero potem zamówiłam taksówkę na lotnisko.

Część ósma

35.

Zatrzymaliśmy się w hotelu Santa Barbara, na Roosikrantsi, ponieważ jak twierdził wujek Oskar, dobrze być blisko Vabaduse valjak. Zgodziłam się z nim całkowicie.

Wujek Oskar i ja bezgranicznie cieszyliśmy się sobą, dzieliliśmy wrażeniami, nie słuchając jedno drugiego. W mojej walizce nie było nic do ukrycia, mówiłam więc swoje, usta mi się nie zamykały. Opowiadałam akurat, że na wystawie biżuterii zobaczyłam medalion z zatopioną w żywicy syntetycznej, ozdobioną perełkami zdechłą myszą i że dzieło to - die kleine Prinzessin - wywarło na mnie magiczne wrażenie, kiedy wujek Oskar skierował wzrok na parapet okna.

- Zobacz, jaki słodki, mały nietoperz. Coś mu się stało w nóżkę - entuzjasmował się.

Spojrzałam i w ohydny, wredny zwierzątku rozpoznałam babkę, która swoją bezradnością próbowała wzbudzić tanią litość. Jeśli dobrze pamiętam rozkład, to musiała przypląć jakieś pół godziny temu, promem z Helsinek.

- Złamał sobie nóżkę, biedaczek. Zapytam obsługę, gdzie o tej porze znajdziemy weterynarza. Jeśli go tak wypuścimy, zje go jakiś paskudny kocur.

- Daj spokój. Latać i tak może, skrzydła ma całe. Po co tyle zamieszania z powodu jakiejś padliny. Wyrzucmy go na beton.

Ze zdziwieniem obserwowałam pojawiającą się we mnie wolę życia. Prawdę mówiąc, przeraziło mnie, że mój kat przybył z pewnym wyprzedzeniem. W żadnym wypadku nie chciałam umierać już teraz, w samolocie zaczęłam bowiem czytać arcydzieło literatury światowej i byłam dopiero w połowie. Pomyślałam, że jeśli nie pójdę spać, w nocy uda mi się dokończyć, i jutro rano będę jeszcze miała czas na zwiedzenie średniowiecznego starego miasta, zanim nadejdzie godzina śmierci.

- Zaczekaj tu na mnie!

- Wujku, co z ciebie za człowiek! Śmierć własnej babki cię nie wzruszyła, a biegasz z powodu jakiegoś paskudnego nietoperza.

- Nawet nie wiesz, Jerne, jak rozkoszuję się tym, że za pomocą pieniędzy można załatwić wszystko - powiedział wujek Oskar i pobiegł, żeby znaleźć nietoperzowi lekarza.

Kiedy zostałam sam na sam ze zwierzęciem, otworzyłam walizkę i wyciągnęłam flagę Republiki Kornu, którą odkąd oślepiłam nią kiedyś wilka górskiego, zawsze noszę przy sobie

w celach obronnych. Tym "narzędziem" chciałam zgonić nietoperza z parapetu. Stałam w odległości drzewca od flagi, z jego pomocą otworzyłam okno i delikatnie popchnęłam zwierzaka. Wtedy stała się rzecz nieoczekiwana - a co innego mogło się stać! - babka zaczęła się szaleńczo miotać, skrzecząc, odbiła się o moją twarz, wzleciała aż pod sufit - miejsca było dość, Santa Barbarę wybraliśmy między innymi z powodu imponującej wysokości pokoi. Po osiągnięciu najwyższego punktu lotem nurkowym znów zmierzała w moją stronę.

Rzucając za siebie flagę Republiki Kornii, uciekłam niczym pokonana armia.

Na korytarzu poczekałam na wujka Oskara, który nie przyprowadził wprawdzie weterynarza, ale za to zdobył kosz piknikowy, świetnie nadający się do transportu nietoperza, oraz listę pobliskich lecznic dla zwierząt.

- Odleciał, na dodatek najpierw demonstrując swoją siłę, Udawał tylko. Jak mogłeś dać się nabrać takiemu wampirycznemu stworzeniu?

- Po prostu nie chciałam, żeby oglądać go w takim stanie. Wolałam zebrać wszystkie siły i...

- Nie przeceniajmy życia duchowego nietoperzypowiedziałam i położyłam rękę na lewym ramieniu wujka Oskara. To było przyjemne uczucie: dotykać jego miękkiego, ciepłego ciała.

- A mogłam spełnić swój codzienny dobry uczynek - westchnął wujek Oskar. - Mogłam pomóc biednemu, zdanemu na naszą łaskę zwierzątku.

- Skończmy już ten temat, dobrze? Nie jesteś głodny, wujku? Kiedy jadłeś ostatnio? W samolocie. Mam rację?

- Nie mylisz się. Moglibyśmy pójść coś zjeść, napić się... Podobno alkohol jest tu wyjątkowo tani.

- Mam nadzieję, że nie wpadniesz z tego powodu w cug? W twojej sytuacji finansowej i z twoją przeszłością naukową...

- O, przepraszam. Jak widać, na próżno pochodzę z dobrej rodziny i jestem spadkobiercą znacznej fortuny. Lata spędzone na europejskim wygnaniu zostawiły na mojej osobowości dziwne ślady. Na przykład ten hotel wybrałem też ze względu na korzystną ofertę cenową. Przeróżające, prawda? Ale staram się, jak mogę. Wsuwam ludziom pieniądze do kieszeni, żeby spełniali moje zachcianki. Widzisz, ten koszyk udało mi się zdobyć dzięki banknotowi wciśniętemu w rękę kelnerowi. Poza tym wciąż cierpię na przymus dawania łapówek. Przyleciałem prosto z Marrakeszu.

- Pomogę ci. Zaproś mnie na kolację w jakieś naprawdę drogie miejsce.

Ciekawe, czy seafile ma coś wspólnego z morzem?

- Wątpię. Estoński to język ugrofiński.

- Ale sporo w nim wpływów germańskich.

- Zjedz coś innego. Znajdź takie danie narodowe, w którym jest imię albo nazwa własna. Szukaj następujących wyrazów: Kijów, Strogonow, Waldorf, Nelson.

Właśnie takich.

- Ale za tymi akurat nie przepadam. W porządku, wiem, że ty i ja walczyliśmy przeciwko ukrywającej się pod hasłem globalizacji, zamaskowanej anglosaskiej hegemonii, ale czy nie moglibyśmy mimo wszystko poprosić o anglojęzyczne karty?

- Nie ma mowy.

W drodze tutaj - co oznacza, że żadne z nas nie było jeszcze pijane! - postanowiliśmy, że nie poddamy się i nie użyjemy angielskiego jako lingua franca, w razie czego będziemy dukać. Wujek Oskar może uważać się za Węgry z powodu pochodzenia, ja - z powodu obywatelstwa. Jakkolwiek było: to radość i duma należeć do tak sławnego narodu i nie dać się pochłonąć światu anglojęzycznemu. Oboje czuliśmy, że tysiące kilometrów od Budapesztu bardzo dobrze jest być Węgrem. Musieliśmy wytrwać w bastionach naszej inności, i w związku z tym szperaliśmy w kartach dla tubylców.

- To ja zaryzykuję - powiedział wujek Oskar i odważnie zwrócił się do przybyłego kelnera: - Seafile.

- Wiesz, jernie, nie jestem ortodoksyjnym Żydem, ale jakoś i tak czuję niechęć do kotleta schabowego - krzywił się wujek Oskar.

- Zjedz moje, wygląda mi na jakąś rybę.

- A ty zjesz moje seafile?

- Ja nie jestem głodna.

- Daj spokój. Jedzmy! Delektujmy się smakami.

Wspólne jedzenie jest najlepsze - zachęcał mnie wujek Oskar, a ponieważ nie chciałam psuć mu humoru, na kilka chwil zamknęłam oczy, żeby przy pomocy wspomnień przygotować się do rozkoszowania się smakami.

- Monsignore był dobrym przyjacielem mojego ojca i kiedy przyjechał do Stanów z wizytą dyplomatyczną, zawitał też do nas. Przedstawili mu jedyne dziecko w rodzinie, czyli mnie, który miałem wtedy dwanaście lat. Prałat podał mi nawet rękę, choć poinformowano go, że wyznaję religię po matce. "Czym ty się, synku, interesujesz?", zagadnął mnie uprzejmie. "Rola Watykanu w Drugiej Wojnie Światowej", odpowiedziałem szczerze. "Dziecko powtarza to, co słyszy", powiedział Monsignore ojcu czerwonemu ze wstydu. Według matki mój czyn znacznie wykroczył poza ramy chłopięcych wybryków. Karą było zamknięcie w bibliotece, która mieściła modernistyczny zbiór mojego dziadka. Przez

tydzień żyłem chlebem, wodą i węgierskimi powieściami.

Byliśmy przy deserze oraz przy dzieciństwie wujka Oskara.

- Wyszedłem stamtąd ze zniszczonym umysłem.

Nie chciałem słyszeć o naiwnych pannach z czystą duszą, które drząc, wpadają w ramiona zepsutych mężczyzn.

- No tak. Z czegoś takiego w zupełności wystarczyłyby dwa tytuły. Jednakże czasem poczucie dobrego smaku buntuje się już przy pierwszej książce.

- Jak myślisz, może byłem na to po prostu za młody?

- Nic nie myślę.

- Nie, moi rodzice nigdy się nie dowiedzieli. To nie dlatego się mnie wyrzekli. - Wujek Oskar, już przy winie, zabrał się za rozważania duchowoseksualne. - Miałem z ojcem konflikt natury politycznej. Wiesz, pewnego letniego poranka siedzieliśmy na tarasie naszego domu i jedliśmy śniadanie. Z sąsiedztwa dobiegły nas krzyki, ponieważ Norman Mailer czasami zaczynał bić żonę dość wcześnie. Poza tym panowała cisza, każdy smarował swoją kromkę chleba, ojciec czytał gazetę. I wtedy ja nagle westchnąłem, jakby głośno rozmyślając: "Tęsknię do towarzyszy". Ponieważ czułem się w rodzinie bardzo osamotniony ideologicznie. Dlatego mi się wyrwało.

- I co dalej?

- Ojciec powoli złożył gazetę, wstał i spokojnym krokiem udał się do salonu. Przez weneckie okno obserwowałem, co robi: wyjął książkę telefoniczną, wertował ją dłuższą chwilę, potem gdzieś zadzwonił i dyktował numer konta. Jak się później okazało, załatwił mi bilet na samolot do Moskwy. Powiedział tylko: "Leć do swoich towarzyszy". Na co ja odpowiedziałem: "Dobrze".

- A potem?

- Potem poleciałem do Londynu. Wymieniłem bilet.

- Obecnie moje życie intymne wygląda jak kondukt żałobny. Za udaną mogę ostatnio uznać przygodę na jedną noc, ale to było kilka miesięcy temu. Całkiem zwariowałem na punkcie tamtego mężczyzny, i teraz myślę o nim zawsze, kiedy widzę niskich, siwiejących, grubawych facetów.

Ponieważ zachęcona przez wujka Oskara spożywałam alkohol, wydawało mi się, że na całym świecie nie ma ciekawszego tematu niż życie uczuciowe mojego przyjaciela.

Pochyliłam się do przodu i z błyszczącymi oczami spijałam słowa wujka Oskara.

- Ale powoli się uspokoiłem. Od czasu do czasu czytałem książkę telefoniczną, sprawdzając, czy któreś wiersze nie brzmią podobnie do tego, co usłyszałem, kiedy mi się

przedstawiał. Nic nie zapamiętałem, ponieważ byłem kompletnie pijany, poza tym możliwe, że wcale nie podał prawdziwego nazwiska. Od tamtej pory nic. Nic a nic.

- Ale ty wciąż jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną, wujku.

- Dziękuję. Inni też mi to mówią, ale ja nie wierzę.

Poważnie tak sądzisz?

- Mówię szczerze.

- I nie jestem gruby?

- Po prostu jesteś dobrze zbudowany, wujku.

- Dlaczego nie nazywasz mnie po prostu Oskarem?

Wiem, że mógłbym być twoim ojcem, ale może nasza wieloletnia przyjaźń...

- Jeśli tak sobie życzysz...

- Życzę sobie. Ale nigdy nie mów do mnie Oskarku.

Ani Oskareńku.

Wreszcie nadszedł mój czas. Nie odczuwałam już konieczności ukrywania moich największych pragnień.

- To mi dodało odwagi, żeby cię o coś poprosić. Nie wiem, co na to powiesz, ale ja już od bardzo dawna chciałabym... Mogę powiedzieć?

- Mów, śmiało.

- Boję się, co ty na to. Spokojnie możesz odmówić, jeśli nie będziesz chciał.

- Mów wreszcie - poganiał mnie niecierpliwie mój towarzysz.

- Chodzi o to, że... Chciałabym... Moglibyśmy porozmawiać o Dostojewskim?

- Nawet nie wiesz, od jak dawna czekam, żebyś mnie o to poprosiła - powiedział Oskar z radością.

I tak minęła nam noc.

37.

To, co w Tallinie jest stare, jest naprawdę stare - takie stwierdzenie zawierał mój przewodnik. A od tego, co jest nowe, trzeba odwracać wzrok i obejrzeć dopiero wtedy, kiedy będzie już uchodzić za stare. Ale po co mam się oszczędzać! - przemknęło mi przez myśl. - Po co mam oszczędzać swoje zmysły i jak trudno jest wiedzieć, że to już koniec, że nigdy więcej nie zobaczę socjalistycznych bloków z betonu! Ten argument dodał mi odwagi, żeby oglądać również wszystko to, co nie należało do architektury miast Hanzy.

Dumnie maszerowałam w koszulce z napisem *Qualis artifex pereo*, którą kupiłam jeszcze na Węgrzech; zostały już tylko takie, Che Guevara skończył się poprzedniego dnia, a nowych nie dowieziono. Z radością obserwowałam zdziwione spojrzenia innych

wykształconych ludzi, przemykające nad moim biustem, to była moja ostatnia szansa na obwieszczenie świata: po pierwsze, jestem osobą dowcipną, po drugie - wieżę z kości słoniowej! Spacerowałam sobie, jakbym nie miała innych problemów niż to, za co kupię chleb i mleko. Jednakże pod spodem czaiło się napięcie: bezustannie spoglądałam na wieżę zegarową, i ciągle na nowo obliczałam, ile mi jeszcze zostało godzin ziemskiego istnienia. Doszłam jednak do wniosku, że dopóki nie zechcę się ochrzcić i wyświadczyć, nie ma większego problemu, gdyż dopiero to byłoby oznaką ostatecznej rozpacz.

Mimo wszystko jakość moich doznań nieznacznie spadła, choć Tallin jest naprawdę nastrojowym miejscem, jedną z pereł regionu bałtyckiego, obok Rygi i Wilna. To miasto handlowe, o bardzo korzystnym położeniu, wzniesione przez zakon rycerski, było bramą do Europy Środkowej i Skandynawii. W moim przewodniku piszą masę interesujących rzeczy o Tartu - stare miasteczko uniwersyteckie - i Parnu, tak, tak, w estońskim nie obowiązuje harmonia samogłosek, ale żadnego z nich nie uda mi się zwiedzić, ponieważ od południa już mnie tu nie będzie.

Oskar spędzał dzień na zwiedzaniu tallińskich galerii, a ja nie towarzyszyłam mu tylko dlatego, że chciałam trochę pobyć sama ze swoimi myślami: przypomniał mi się chełpliwy Inicjatyw, Kret o aksamitnym futrze, choleryczny Chomik i bajki o owcach, wszystkie moje porzucone pomysły. Zastanowiwszy się nad swoją działalnością, poczułam, że byłam prawdziwą dyletantką, wielbicielek sztuki, która szczerze zachwyca się dziełami, i za to miałam do siebie szacunek. Biorąc pod uwagę całokształt, uważam się za osobę rozważną i sceptyczną, jednak dziwnym trafem moja syzyfowa praca w dziedzinie bajkopisarstwa mnie samą głęboko poruszyła.

Do tych konkluzji doszłam pod świątynią z kopułą w kształcie cebuli, na której wieży nie dojrzałam zegara. Nieuchronnie przyszło mi na myśl, że babka czeka już pewnie w pokoju hotelowym, z zardzewiałym szpikulcem w dłoni, i patrząc na zegarek, klnie, gdyż nie pojawiłam się o wyznaczonej porze. Puściłam się biegiem: w takiej sytuacji nie wypada się spóźniać. Dopiero kilkaset metrów dalej dostrzegłam wieżę z zegarem, który wskazywał parę minut po piątej. Uspokoiliłam się i doszłam do wniosku, że zdążę jeszcze zrobić zakupy, o które prosił mnie Oskar.

Za piętnaście szóstą wróciłam do Santa Barbary. Ku mojemu zdumieniu Oskar czekał na mnie w drzwiach pokoju, mimo iż sprytnie umówiłam się z nim na spotkanie o szóstej przed Riitellkonna Hoone, żeby nie płatał się gdzieś blisko, kiedy babka będzie przebijać moje nieczułe wampirze serce. Oskar złapał mnie za łokieć i odciągnął na bok. Mówił szeptem, na jego twarzy zagościła panika.

- Brzydzą się tymi komediowymi bohaterami, którzy długo lamentują, gdy przytrafia im się coś dziwnego albo niezgodnego z naturą. W teatrze i w kinie odwracam wtedy głowę, a oglądając telewizję, zmieniam program.

Nie chciałbym w życiu popełniać błędów tych bohaterów, ale wiedz, że jestem zdenerwowany, pomimo iż nie krzyczę i nie klnę. A teraz fakty: kiedy około czterdziestu minut temu wszedłem do pokoju, zaatakował mnie jakiś czarny cień. W okolicy zeber poczułem ostry metalowy przedmiot; widząc, że napastnik zdecydowanie zagraża mojemu życiu, po krótkiej szarpaninie odebrałem mu ów przedmiot i wbiłem w niego.

- Rezultat?

- No właśnie. Garstka prochu.

- Tym właśnie jest człowiek - westchnęłam i nareszcie odważyłam się postawić siatki z zakupami, które wrzynały mi się w dłonie.

- Wybacz mi: po kremacji, zgadzam się. Ale tego tutaj nie dosięgła wysoka temperatura. Nie ma tu miejsca na religijne banały.

- To ty mi wybacz, ale popełniasz wspomniany właśnie błąd. Przyjmij z godnością to, czego twój umysł nie jest w stanie pojąć. Nie rozmyślaj, nie podnoś głosu. Mówisz, że to stało się trzy kwadransy temu?

- Dokładnie.

A mówiłam jej, chyba ze sto razy, jak ciekawą i przydatną rzeczą jest nauka fińskiego! Estońskiego również: mało praktyczne, ale fajne hobby. Naturalnie gdyby potrafiła obserwować otaczający świat, wiedziałaby, że między Helsinkami a Tallinem różnica czasu wynosi godzinę.

Jednym uchem weszło, drugim wyszło. Profesjonalistka z krwi i kości, a zapomina, że diabeł tkwi w szczegółach.

Mówię o babce, o mojej babce, która od pół godziny jest już czasem przeszłym.

- Chciałabym zobaczyć szczątki.

- Jeśli jesteś materialistką, lepiej tam nie wchodź.

- Ze względu na pochodzenie nie mogę być materialistką, choć zawsze mnie strasznie kusilo. - Nacisnęłam na klamkę.

Pozostałości po babce rozsypały się na dywanie, w postaci prochu. Punkt wyjścia do identyfikacji mógł stanowić walający się na podłodze charakterystyczny tytanowy zegarek; pamiętam, jak kilka miesięcy temu babka chwaliła się, że kupiła go za dwudziestopięciokrotność mojej pensji - węgierskiego minimum socjalnego.

- Oskarże, jesteś rycerzem światłości. Dałeś nauczkę szatanowi. Jestem pełna podziwu

dla twojej wspaniałej siły.

- Uważasz, że mam słabe nerwy?

- Ty masz mocne. To ja mam słabe. Gdzie znajdziemy odkurzaczy?

- Obsługa posprząta. Zaraz im powiem. - Oskar rzucił się do działania, wymachując kartą American Express.

- Zostaw, ja to załatwię - wyciągniętą lewą rękę położyłam mu na piersi, żeby ostudzić jego zapal. Nie chciałam wdawać się w tłumaczenie, że to ja chcę odkurzyć własną babkę.

- Zzzzzzzz - powiedziałam do pierwszej kobiety, którą spotkałam na hotelowym korytarzu, i wetknęłam jej do ręki sto koron. Sytuacja kryzysowa dodała mi odwagi. Odkurzaczy - produkcji zachodniej, mały rozmiar, duża wy - dajność - wsadziłam pod pachę i wróciłam do pokoju.

Babka prawdopodobnie chciałaby usłyszeć o swoich szczątkach, że od czasów Doriany Graya świat nie widział takich pozostałości Doppelgängera, ale tak naprawdę wyglądało to raczej na wymiociny wiewiórki albo kocie zarcie. Przede wszystkim uderzyło mnie to, że ziemskim resztkom brakowało tej gracji, która charakteryzowała babkę.

Nastawiłam siłę ssania tak, żeby nie wciągnąć wszystkiego za jednym razem, i powoli, z pietyzmem, zebrałam prochy babki. Ceremonia ta nie zajęła mi więcej niż pół minuty, przez cały czas myślałam o tym, że przydałby się jednak odkurzaczy wyprodukowany na wschodzie, o śmiesznej wydajności - on oddałby należną babce cześć. Ale najwyraźniej wpływy Rosji znacznie się w Estonii zmniejszyły, i powstało państwo narodowe. Wyjęłam z odkurzacza worek, zapakowałam go do torebki foliowej i włożyłam do wewnętrznej, zamykanej na suwak kieszeni walizki.

To już koniec Kiedy po wyczerpującej podróży dookoła świata wróciłam na Węgry, zawierającą babkę papierową torebkę wrzuciłam do węgierskiego kontenera na śmieci, nucąc po cichu hymn szeklerski, gdyż to była jej melodia. Królewicz Csaba, tralalalala... tekstu nie pamiętam. Wiem, że tak by sobie życzyła, w końcu tyle pięknych lat spędziła w Kotlinie Karpackiej.

Udało mi się odnaleźć jedynie niewielką część materialnej spuścizny babki, w wieczną ciemność zabrała ze sobą tajemnicę wielu, wielu kont bankowych. Ale to, co odnalazłam, to też nie było co. Kiedy razem z wujkiem Oskarem wyczerpaliśmy już wszystkie możliwe sposoby trwonienia pieniędzy, połączyliśmy swoje majątki i założyliśmy fundację, żeby raz na zawsze pozbyć się dóbr zgromadzonych przez przodków.

Tak więc nareszcie mam pracę adekwatną do mojej wiedzy: sama zakopuję swoje kasztany, a potem je wykopuję.

Jako kurator naszej fundacji spośród wielu wniosków wybieram naj ciężej chorych, najbezbronniejsze dzieci, najbardziej zapalonych uczonych i najbardziej niezyciowych artystów, i biorąc pod uwagę rasę, płeć, religię oraz orientację seksualną, obdarowuję ich dużymi kwotami. Mam się dobrze i dzięki mojej szczęśliwej naturze wystarcza mi, jeśli tylko raz na pięć, sześć miesięcy wrzucam na ząb coś krwistego. Ale jest mi to bardzo potrzebne. Pieniądze są, nic więcej mi nie trzeba. Niedawno Oskar zapytał, czy czuję jeszcze pociąg do literatury.

- Nie - odpowiedziałam - jestem na to zbyt szczęśliwa.

Nie zdradziłam mu, że napisałam tę książkę.

Budapeszt, czerwiec 2001 r.